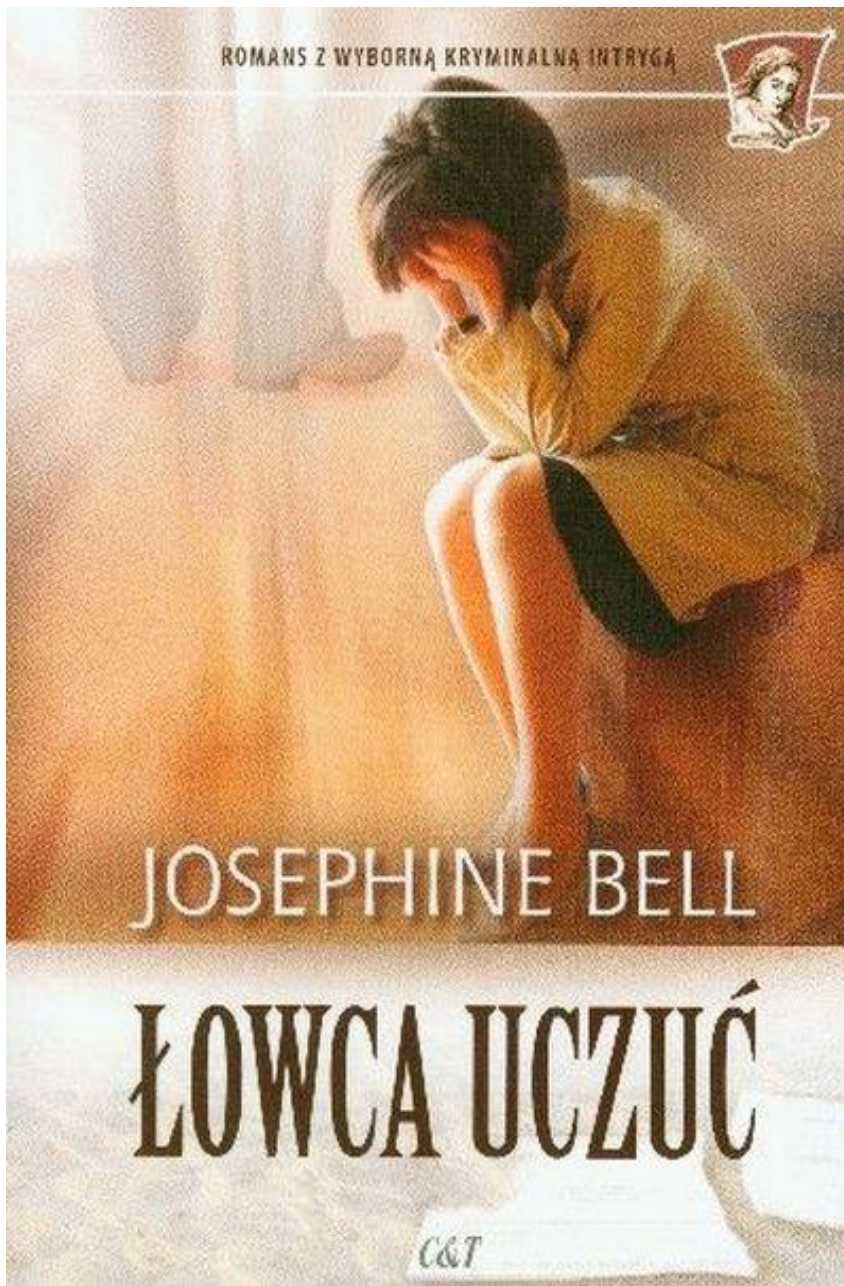




# JOSEPHINE BELL ŁOWCA UCZUĆ

Przekład: AGNIESZKA KLONOWSKA



# CZEŚĆ PIERWSZA

## POLOWANIE

### 1

Na dziedzińcu uczelni roilo się od studentów. Jedni zmierzali w kierunku bocznej bramy, drudzy snuli się w blasku wiosennego słońca, upatrując w nim znacznie lepszą pożywkę niż niedogrzone posiłki w uczelnianej stołówce. Jeszcze inni, kompletnie lekceważąc główny cel długiej przerwy, siedzieli i wygrzewali się na szerokim łuku schodów prowadzących do okazałego, flankowanego kolumnami wejścia w stylu wiktoriańskim.

Tędy właśnie z cienia holu wyłonił się z wolna Simon Fawcett i stanął w blasku słońca na szczycie schodów, ogarniając wzrokiem tłumy na dziedzińcu. I choć zjawił się tam bezdźwięcznie, a potem stał tylko bez ruchu, nie odzywając się ani słowem, to i tak pięćdziesiąt par oczu skierowało się prosto na niego, a wiele z nich utkwilo w nim wzrok, jakby czekając na jakiś znak, że ich zauważył, że przykuli jego uwagę, czy też po prostu rozkoszując się wdziękiem i urodą stojącej nad nimi, otoczonej kolumnami postaci.

Bo Simon miał niezwykle urodziwą, śniadą twarz o idealnych rysach, która szła w parze z jego szczupłą sylwetką, niezbyt rosłą, ale dość silnie i dobrze zbudowaną. Kiedy trwał w bezruchu, tak jak teraz, otaczała go aura smutku, która — gdyby nie jego obojętna mina — wywołałaby pewnie falę głębokiego współczucia.

Tłum u jego stóp wciąż obserwował go wyczekująco. Profesor fizyki, który właśnie przechodził przez dziedziniec w towarzystwie matematyka, zaśmiał się złośliwie.

—I znowu gapią się w tego Fawcetta jak w jakiegoś boga — zauważył zjadliwie.

Ale matematyk nie miał takich uprzedzeń.

—Nie sędzę, żeby chłopak robił to celowo. Przecież to nie jego wina, że ma taką urodę.

—A skąd, to umyślne zagranie. On wprost uwielbia obserwować ich reakcję.

—Myślisz, że robi to z czystej próżności? Wybacz, ale tu się z tobą nie zgodzę.

—Jak zwykle zresztą.

I po chwili obaj zniknęli w drzwiach stołówki. Penelope Dane, która kręciła się tam, mimo wszystko nie tracąc nadziei, że otrze się o Simona Fawcetta idącego na lunch, przypadkiem usłyszała ich ostatnie słowa. Poczzerwieniała z gniewu, wbiła wzrok w otwartą książkę, którą trzymała w ręce, i dalej udawała, że czyta, dopóki jej nadzieje na spotkanie z Simonem nie okazały się płonne.

Simon tymczasem, po rytuale uwielbienia i wdzięcznym przyjęciu oddanego mu kultu, wyłowił okiem swoich dwóch studentów ostatniego roku historii, opartych o zdobne urny u podnóża schodów. Chichotali, ubawieni swoimi dowcipami. Twarz Simona od razu przybrała inny wyraz, promieniejąc ochoczo całą serią chłopięcych min, kiedy roześmiany zbiegał lekkim krokiem po schodach, by znaleźć się w ich towarzystwie. Następnie chwycił każdego z nich za łokieć i pchnął przed siebie, włączając się do ich rozmowy, jakby doskonale wiedział, o czym właśnie rozmawiali, i przebijając ich cięte uwagi ostrymi i sprośnymi ripostami, wykraczającymi poza ich ramy intelektualne.

Po schodach spokojnym krokiem szli profesor literatury angielskiej oraz rektor uczelni, który specjalizował się w filozofii. Po raz pierwszy tej wiosny słońce skłoniło ich do wyjścia z budynku w czasie przerwy. Zachowanie Simona budziło w nich mieszane uczucia zadowolenia i lekkiej odrazy.

—Ten Fawcett pracuje tu już od sześciu lat — zauważył rektor — a ciągle nie wiem, co o nim myśleć. To łebski gość, umysłowo dojrzały, a jednak mimo woli ciągle zadaję sobie w myśli to pytanie, tak jak przed chwilą, kiedy zbiegał po schodach: kim właściwie jest ten spryciarz? A może jednak jestem niesprawiedliwy?

—Niestety, tak. Przecież to doskonały wykładowca w swojej dziedzinie. Nawet ci dwaj leserzy, z którymi się teraz przechadza, biorą się przy nim do roboty. Obaj są bardzo bystrzy, ale za to piekielnie leniwi, a Fawcett ma do

nich świetne podejście. Niby sobie z nimi żartuje, ale jak co do czego przyjdzie, to potrafi ich przycisnąć. Ci dwaj jedzą mu z ręki. Już on dopilnuje, żeby obaj skończyli studia z wyróżnieniem.

— O tak. Są jak niewolnicy, zresztą podobnie jak wielu innych. Przypuszczam, że nie ma w tym nic zdrożnego...

Wymienili porozumiewawcze spojrzenia i profesor roześmiał się.

— Nie myślisz chyba, że Fawcetta łączą lub kiedykolwiek łączyły bliższe stosunki z niektórymi studentami, co? On traktuje wszystkich tak samo, jest sympatyczny, rozmawia z nimi jak z równymi sobie, nie angażując się przy tym uczuciowo. A to naprawdę godne podziwu.

Rektor skinął głową, choć bez przekonania. Po paru rundach spaceru na słońcu wrócił do budynku, by samotnie zjeść lunch w swoim gabinecie. Profesor z kolei był umówiony w Ateneum ze swoim znajomym. Skierował się do głównej drogi i wsiadł do autobusu. Z jego pensją nie było go stać na taksówki, a jeśli już, to bardzo rzadko.

Przy wejściu do uczelnianej stołówki wciąż krążyła Penelope Dane, ze wzrokiem utkwionym w stronicę książki, nasłuchując brzmienia ukochanego głosu. A kiedy Simon wreszcie znalazł się w pobliżu, wciąż trzymając swoich studentów pod rękę, dziewczyna podniosła głowę z udawanym zdziwieniem. Ale zrobiła to tak niezdarnie, że aż spłonęła się ze wstydu. Obaj studenci byli tak zafrapowani, że nawet jej nie dostrzegli, a Simon zerknął w jej stronę, w odruchu uprzejmości skinął machinalnie głową i zgrabnie ją wyminął. Rozwścieczona Penelope gwałtownie zatrzasnęła książkę, w duchu wyła z rozpaczy. Odeszła, przysiadła na schodach i wgapiła się gdzieś w pustkę.

Teraz już nic nie zdołało przywrócić jej życia, którym był dla niej Simon i tylko Simon. Za każdym razem, tak jak właśnie teraz, gdy znowu jawnie ją odtrącił, wracała pamięcią do ich pierwszego spotkania, po raz kolejny doznając bólu niepewności. Zanim rozpoczęła studia, każdy chłopak czy mężczyzna, którego przyprowadzała do domu, z którym spotykała się u Allinghamów lub widywała się na wykładach, zawsze bez wyjątku postępował według któregoś z dwóch wzorców: jedni byli towarzyscy, kontaktowi i chętni do rozwijania znajomości, a drudzy sztywni i obojętni. Ale Simon nie pasował do żadnej z tych kategorii. U Allinghamów, gdzie wtedy jadała z ojcem obiady, Simon zjawił się jako piąty. Siedział przy niej, jakby miał ją na wyłączność, prawil jej komplementy, zabawiał, dotykał i oczarował ją bez reszty. Dopiero następnego dnia dowiedziała się, że Simon jest wykładowcą na uczelni, bo właśnie zaczął się rok akademicki, a dla niej był to pierwszy semestr studiów. Z tego, jak silna i głęboka była jej fascynacja, zdała sobie sprawę dopiero, gdy jego zainteresowanie nią zgasło tak nagle, jak się pojawiło.

A więc tacy są ci starsi mężczyźni, myślała z goryczą, siedząc na schodach, pogrążona w rozpacz, i to zupełnie nieświadomie, jakby tonąc w głębinie, wierzgała nogami, szukając dna. A przecież mogła przewidzieć, że kawaler po trzydziestce to trudny czy choćby niecodzienny przypadek. Zebrała się na szczerłość. I co właściwie jej z tego przyszło? Była zakochana, kompletnie zaślepiona — jak w kółko powtarzała jej przyjaciółka Caroline. A Simon? Kiedy się spotykali, był uprzejmy, wręcz czuły — zabawny, fascynujący, odczytany światowy człowiek. Pieścił ją wzrokiem, ale ani razu jej nie pocałował. Nigdy nie był u niej ani ona u niego. Poszli tylko do teatru i na balet, zjedli razem kilka kolacji w tanich restauracjach. A teraz, kiedy udało jej się dostać bilety...

—Jadłaś już lunch czy odpuściłaś sobie?

Stał tuż nad nią, spoglądając na jej twarz, którą skierowała ku górze, prosto w jego stronę. Nie zauważyła ani nie słyszała, jak nadszedł. Poczowała znowu piekące policzki, łzy wręcz szczypały ją w oczy. Była wściekła.

—Właśnie miałam się zbierać — odparła, aż nazbyt świadoma absurdalności własnych słów. Podniosła się z miejsca. Być tak blisko niego i trzymać na dystans było nie do zniesienia. — Wiesz, mam bilety — dodała, siłując się na

uśmiech.

—Jakie bilety?

—No, na ten koncert w przyszły wtorek. Sam mówiłeś, że...

—A tak, racja. Mówiłem.

Nie wyglądał na zadowolonego i dawał po sobie poznać, że nie chce przedłużać tej rozmowy. To odwracał od niej wzrok, to znów spoglądał na nią, jakby szacował, do jakiego stopnia rozbudził ciekawość w umysłach dwóch stojących obok studentów.

Penelope chciała odejść, ale jej kończyny, sparaliżowane uczuciem, nie słuchały głosu rozumu. — No wiesz, jeśli nie chcesz iść... — rzuciła, rozdrażniona do żywego.

—A skąd ci to przyszło do głowy?

Te słowa zabrzmiały łagodnie, ale głęboko ją poruszyły.

—No bo ostatnio... A zresztą czy to ważne? Jaki to w ogóle ma sens?

Simon nabrał powietrza i powoli je wypuścił. Odebrała to jako westchnienie, oznakę znudzenia.

—Mogę przecież pójść z Carol — dodała szybko.

—Nie. — Simon wyciągnął rękę. — Daj mi te bilety. Spotkamy się przed filharmonią na kwadrans przed koncertem, a potem pójdziemy coś zjeść.

Bez słowa wyjęła z torebki bilety i podała mu. Biorąc je, dotknął jej palców swoimi, a wycofując rękę, musnął jej nadgarstek. Po tym, jak się oddalił, Penelope stała tam jeszcze przez dobrą minutę, aż wreszcie powoli skierowała się w stronę stołówki. Szła, jakby dryfując w złotej aurze rozkoszy. Jej wątpliwości zostały rozwiane, głos rozsądku stłumiony, a serce wypełniało mgliste współczucie dla koleżanek, którym nie dane było nosić na dłoniach dotyku kochanka...

Zjawiała się pod filharmonią pięć minut przed umówioną porą, za to Simon przybył z pięciominutowym spóźnieniem. Muzyka, którą tak bardzo kochał i rozumiał, od razu pochłonęła go bez reszty, a Penelope siedziała obok, odurzona jego bliskością.

Cały ten koncert wydał jej się magiczny, upiękuszony i przesycony jej uczuciem do niego. Jednak potem, podczas kolacji, niespodziewanie spotkał ją głęboki zawód.

Simon był wprost zachwycony koncertem. Zresztą przedstawienie było naprawdę znakomite: dwaj Ojstrachowie, ojciec i syn, zagrali razem, a w ich rękach muzyka śpiewała, wznosiła się, lśniła niespotykanym, upojnym blaskiem. Oboje wyszli stamtąd podekscytowani, oszołomieni, wręcz uniesieni.

Na pierwszym skrzyżowaniu ulic Penelope zeszła z krawężnika prosto na ruchliwą jezdnię. W nieprzerwanym zgiełku klaksonów i pisku opon Simon chwycił ją za rękę i wciągnął z powrotem na chodnik. Rozradowani, zaśmiali się tylko i dalej szli już nieco ostrożniej, wciąż trzymając się za ręce. Najpierw przeszli przez most Waterloo do Strand, a potem minęli zaplecze szpitala Charing Cross i St. Martins Lane, aż wreszcie Simon wskazał małą restaurację, do której chciał ją zabrać. Tam dopiero się rozdzielili i usiedli naprzeciwko siebie.

Wtedy też, po sposobie, w jaki przeglądał menu, zerkając na nią pustym wzrokiem, Penelope zorientowała się, że Simon, w przeciwieństwie do niej, błędził myślami gdzieś bardzo daleko — tak daleko, że prawie jej nie zauważał. Czując w sercu nagły chłód, zrozumiała, że jego wyśmienity nastrój wcale nie miał nic wspólnego z nią, może oprócz tego, że był jej wdzięczny za załatwienie biletów na koncert. Po tym, jak złożył zamówienie dla nich obojga, posłał jej swój czuły, uprzejmy uśmiech i powiedział: — To chyba najlepszy wieczór, jaki zaplanowałam, co? — Mówił tak zawsze od ich pierwszej wspólnej kolacji.

Zaśmiała się, ale w jej uszach zabrzmiało to jakoś nieszczerze.

— No coś ty. Wybrałam ich, bo są sławni. Zresztą świetnie się spisali. Byli wspaniali, prawda?

Nawet nie raczył odpowiedzieć. Uznała, że jej uwaga, tak błaha i banalna, nie zasługiwała nawet na żadną reakcję. Simon gapił się gdzieś w ścianę nad jej głową. Jego oczy posmutniały nagle, ale po twarzy wciąż błąkał się gdzieś ten jego wymowny uśmiech. Wyglądał bardzo młodo i niewinnie.

— Byłem już kiedyś na koncercie Ojstracha, jego pierwszym w Anglii — zakomunikował. — Ta sama rewelacyjna muzyka, to samo zadziwiające

piękno. Dałem się wtedy ponieść emocjom tak jak dzisiaj, chociaż wtedy byłem z kimś... — przerwał na tyle, by ściągnąć na siebie zbołały, pełen niechęci wzrok Penelope. — To był ktoś, na kim bardzo mi zależało. I nadal mi zależy. I to bardzo, ale to naprawdę bardzo — powtórzył, przeciągając głoski.

Kelner przyniósł właśnie dymiącą zupę. Penelope nabrała na łyżkę parzący płyn i włożyła do ust, dzielnie znosząc ból, który nie dorównywał nagłej rozpaczy jej zranionego serca. Wstrząs był ogromny, tak jak chciał tego Simon.

Ale Penelope nie dała się zbić z tropu. On tylko popisuje się swoim doświadczeniem, jak to starszy mężczyzna, zapewniał ją rozpaczliwie jakiś wewnętrzny głos. No cóż, w takim razie trzeba mu się przypodobać.

—To pewnie twoja dawna miłość? — powiedziała nieco za głośno, zbierając się na odwagę.

Po twarzy Simona przemknął cień, coś jakby przelotny wyraz gniewu, ale już po chwili wrócił ten uroczy uśmiech i delikatny, rozbawiony ton głosu.

—Byliśmy ze sobą bardzo blisko — rzucił, uciekając od niej wzrokiem i rozglądając się po sali, zadowolony, że jego osoba została już dostrzeżona, po czym znów spojrzął na Penelope i pochylił się w jej stronę.

—I nadal jesteśmy — szepnął.

Tym razem Penelope nie poczuła zupełnie nic. To, co oznajmił jej wcześniej, już zdążyło ją zmrozić. Cios był zbyt silny i gwałtowny. Całymi tygodniami obserwowała go, przysłuchiwała się rozmowom na jego temat, uświadamiając sobie, że jest nieprzystępny, zwłaszcza jeśli chodzi o seks. Jego nazwisko nie wiązało się z żadnymi skandalami, jeśli nie liczyć nieśmiałych pogłosek o jego impotencji. Tak naprawdę jego życie osobiste pozostawało dla studentów tej uczelni tajemnicą. Nie chciało im się wierzyć, że takowe nie istniało, choć nie mieli na nie żadnych dowodów.

Czekał na jej reakcję, ale kiedy tak na niego patrzyła, zrodził się w niej bunt.

—To dlaczego się z nią nie ożenisz? — spytała bez ogródek.

Simon uśmiechnął się jeszcze szerzej i bardziej współczująco.

—Bo ona ma dzieci. Nie mógłbym nalegać, żeby je zostawiła — odparł.



— To ona jest mężatką?

— Oczywiście.

— Co w tym takiego oczywistego?

— Inaczej bym się z nią ożenił.

Jego arogancja strasznie ją ubodła.

— A nie mogłaby po prostu się rozwieść?

Znowu ujrzała przelotny cień gniewu na twarzy Simona, który jednak zniknął tak szybko jak przedtem. Mówiąc do niej, był skupiony na sobie, a jego oczy znów wpatrywały się w ścianę za jej plecami. — Jej mąż sam najchętniej całowałby ziemię, po której ona stąpa — odparł.

Kelner przyniósł im czyste talerze, podał duże steki z filetów i nalał wino. Penelope zastanawiała się, czy będzie w stanie w ogóle coś przełknąć, ale postanowiła zmusić się do jedzenia. Było jej tak niedobrze, że kolacja nie mogła już bardziej jej zaszkodzić.

Za to Simon wręcz delectował się posiłkiem. Po udanym koncercie nabrał apetytu i ucieszył się, że Penelope też zabrała się do jedzenia. To przecież nie jego wina, że ciągnął się za nim sznur cierpiętników. Za to zawsze sprawiał mu przyjemność widok ludzi pogodnych i silnych. Zaczął wypytywać Penelope o jej koleżanki z uczelni, a zwłaszcza o Caroline Feathers.

— Nie mieszkanie razem, co?

— Nie. Ja mieszkam z ojcem. Nie mam innego wyjścia.

— A to dlaczego?

— Bo od śmierci mamy zajmuję się domem.

Był zdziwiony, że tak mało wie o jej przeszłości. Znając siebie, zwykle bywał bardzo dociekliwy względem swoich partnerek.

— Zmarła cztery lata temu — dodała Penelope na powrót normalnym tonem. Rozmowa z nim zawsze szła jej łatwo, dopóki nie zaczęła się w nim duryć. A teraz, kiedy jej uczucie zostało okrutnie zmiażdżone tak silnym ciosem, poczuła dziwną ulgę, odpowiadając na jego pytania swobodnie i po

przyjacielsku, jak dawniej.

—Tata często bywa poza domem — ciągnęła. — Może oprócz weekendów. Ale chyba nigdy nie myślał o tym, żeby sprzedać dom, mimo że jest za duży dla nas obojga. Kiedy mama zmarła, chodziłam jeszcze do szkoły. Mamy wprowadzić gospodynię, która nam gotuje: panią Byrnes, uroczą kobietę. Wszystkim się zajmie. Ja muszę tylko obsługiwać gości.

—Twój ojciec jest adwokatem?

—Tak.

Nastąpiła cisza, podczas której Simon dokończył swój posiłek. Zaproponował Penelope owoce, a sam zjadł ser i zamówił jeszcze kawę.

—To pewnie rzadko ci się zdarzają samotne wyjazdy? — spytał wreszcie.

—Bardzo rzadko. Nie mamy wielu krewnych. Kiedyś jeździłam na wieś do domku Allinghamów, bo mnie zapraszali po śmierci mamy. Bill Allingham to bliski przyjaciel taty. Ale to już chyba słyszałeś? Przecież poznaliśmy się właśnie u Allinghamów.

Przez chwilę zastanawiała się, dlaczego interesował go zawód jej ojca.

—A tak — przyznał Simon. — Opowiadałaś mi o ich domku na wsi.

—Richard, ich syn, miał wtedy tylko dziesięć lat. Susan jest jakieś dwa lata młodsza. Ale czasem przyjeżdżał bratanek Billa, który służy w marynarce. No i tata brał go do załogi.

—Do czego?

—Mamy jacht. To znaczy, mój tata... Latem zawsze wypływamy w rejs. Mama tego nie lubiła, ale ja wręcz uwielbiam.

—A więc jesteś już stałym członkiem jego załogi?

—Ma się rozumieć. Ale John już z nami nie pływa. Ma sporo pracy w marynarce. A ty? Żeglowałeś kiedyś?

—Broń Boże. Nie znoszę fal, nawet tych najmniejszych. Dla mnie przeprawa przez kanał to prawdziwa udręka.

Penelope czuła, że dzieli ich jeszcze więcej, ale Simon zachęcał ją do mó-

wienia o sobie i swojej rodzime i szybko o tym zapomniała. Kiedy wychodzili z restauracji, wydawała się pogodna, zadowolona, wdzięczna za wspólną kolację i w ogóle sprawiała wrażenie, że miała udany wieczór. Na pożegnanie ścisnął jej rękę obiema dłońmi i odszedł, zadowolony z takiego obrotu sprawy, a Penelope wróciła do domu autobusem, coraz głębiej pograżając się w otchłani rozpacz, a potem przepłakała gorzko pół nocy, a resztę przespała z wycieńczenia i rano obudziła się z podpuchniętymi oczami i dokuczliwym bólem głowy. Pani Byrnes bezbłędnie rozpoznała przyczynę tego stanu, uznała jednak, że w wieku Penelope nie wymaga to żadnej szczególnej kuracji. Z kolei Hubert Dane uznał, że córka złapała grypę i wbrew jej protestom nakazał przeleżeć cały dzień w łóżku, argumentując, że nie wolno jej pozarażać innych studentów.

Tymczasem Simon po pożegnaniu z Penelope wolnym krokiem udał się ruchliwymi ulicami do Hampstead, do mieszkania przyjaciela, George'a Clarka. Simon też miał mieszkanie, ale w Kilburn.

George był akurat w domu i serdecznie przywitał kolegę. Był fizykiem, który zrezygnował z nauczycielstwa dla działalności przemysłowej z uwagi na dużo lepszą płacę i nowocześnie wyposażone laboratoria. George zawsze lubił Simona za jego kompletną niewiedzę w dziedzinie nauk ścisłych i jego wnikliwe, choć powierzchowne spojrzenie na świat i jego problemy.

Simon opowiedział mu, jak spędził wieczór, nie szczędząc szczegółów.

—A więc to twoja kolejna zdobycz? — spytał George z uśmiechem.

Simon zaśmiał się.

—A czy to moja wina, że traktują mnie tak poważnie?

—Jeśli nie twoja, to czyja?

— Zgłaszam protest.

—Możesz sobie protestować, ale nie zaprzeczysz, że jesteś wniebowzięty, jak cię adorują.

—A kto by nie był? Zresztą chyba bardzo dobrze je wszystkie traktuję. *L'éducation sentimentale*. I nie biorę za to pieniędzy, choć Bóg mi świadkiem, że czasami nieźle się muszę namęczyć.

— No a co z tą biedną dziewczyną? Jej też zadałeś *coup de grace*? Pewnie przechwalałeś się swoją zameżną kochanką, opowiadałeś, jaki jesteś jej wiemy i jakie to dla ciebie poświęcenie?

Simon znów się zaśmiał, ubawiony, ale i zażenowany.

— Wiesz, że ona naprawdę istnieje.

— No coś ty.

George jakoś nigdy nie wierzył w tę wielką miłość przyjaciela. W ogóle nie bardzo dawał wiarę w opowieści Simona, czy to

— w przeważającym stopniu — o nim samym, czy też, w szerszym kontekście, o ludziach, których znał. George lubił Simona za to, że różnił się od wszystkich innych osób, które spotykał na co dzień w laboratorium. Dla George'a, wybitnego intelektualisty o pokojowym nastawieniu, Simon był kimś, kto nie sprawiał żadnych emocjonalnych problemów.

## 2

Diana Allingham stanęła tuż przy wielkim, otwartym oknie salonu na trzecim piętrze bloku przy Welmore Street.

Znad okna wystawała markiza w kształcie baldachimu, ocieniając miejsce, w którym stała Diana, ale gorące czerwcowe powietrze, przesycone londyńskim kurzem i spalinami, przy każdym wdechu rozdzierało jej płuca. Słońce paliło ją przez baldachim. Poczula cienką suknię lepiącą się do jej nagich pleców, gdy tylko poruszyła się niespokojnie, usiłując wyrzeć na ulicę i jeszcze dalej, choć tak naprawdę wcale jej nie zależało, by cokolwiek zobaczyć. To był tylko taki nawyk z przeszłości, z czasów, kiedy Bill, skutecznie pnąc się na szczyt kariery, umieścił na drzwiach wejściowych od ulicy swoją tabliczkę tuż obok połowy tuzina innych. Przyznano mu w bloku małe, ciemne pomieszczenie na biuro i udało mu się też dostać mieszkanie na trzecim piętrze, w którym mieszkali z Dianą aż po dziś dzień.

Często zastanawiała się, dlaczego Bill tak bardzo nalegał, żeby tu zostać.

Po narodzinach dwojga dzieci zrobiło im się ciasno, ale jej sprzeciw zagłuszyło kupno domu na wsi. A teraz, kiedy dzieci mieszkały w internacie, a przerwy w nauce, może oprócz świąt Bożego Narodzenia, spędzały właśnie na wsi, ich mieszkanie znów wydawało się ogromne, a wręcz za duże. A już w samym środku lata, tak jak teraz, zdaniem Diany było tu prawdziwe piekło.

Gdy tylko uchyliła okno ku górze, zgiełk uliczny stał się jeszcze głośniejszy. Zamknęła je i oparła czoło o zimną szybę. W tej samej chwili z tyłu objęły ją czyjeś ręce.

Zachwiała się, wydając lekki okrzyk, a znad jej ramienia wyłoniła się twarda głowa Simona. Pocałował ją w szyję, przesuwając wargi ku jej pierśsiom.

— Nawet nie słyszałam, jak wszedłeś — rzuciła bezmyślnie, dysząc pod wpływem jego dotyku.

— A niby jak miałaś słyszeć, skoro gapiałaś się na ulicę? Jakby czekało cię tam nie wiadomo co...

Nie chciała po raz kolejny tłumaczyć mu, skąd ten nawyk. Doskonale wiedziała, a poza tym teraz i tak nie miało to już większego znaczenia. Zaraz po tym, kiedy się tu wprowadzili — a właściwie nawet dłużej, dopóki nie poznała Simona — wypatrywała powrotu Billa z pracy. A teraz chciała się po prostu upewnić, że jeszcze nie wraca.

Uwolniła się z jego objęć, odsunęła się i opadła na krzesło.

— Nie sądziłam, że przyjdiesz właśnie dzisiaj — orzekła beznamiętnie. Upał wyraźnie ją zmęczył. Takie popołudnie nie było najlepszą porą na miłosne rozkosze.

— A co? Masz płodne dni?

Skrzywiła się trochę. Jego prostolinijność i rozmyślność w oszukiwaniu Billa zawsze ją zaskakiwały, bo przy tym nieustannie go podziwiał i szanował, traktował go jak przyjaciela, ciesząc się w zamian jego sympatią. Był najbardziej niemoralną istotą, jaką kiedykolwiek знаła.

— Pewnie czekasz na Williama, co? — dociekał. — To dlatego stałaś z nosem przyklejonym do szyby, taka zapatrzona, że nawet nie słyszałaś, jak

wszedłem?

—Nie — odparła, zdejmując ręce z krzesła i kładąc je z powrotem w innym miejscu, gdzie perkal był jeszcze chłodny. — A skąd, on nie przyjdzie. Mam tylko nadzieję, że po drodze nikogo nie spotkałeś.

—Jechałem pustą windą.

Zmarszczyła brwi. — A długo na nią czekałeś?

—Nie, stała akurat na parterze. Nigdzie w pobliżu nie było tej groźnej pani Stone. Nikt mnie nie widział, dlatego jestem tu, i pragnę cię.

Przez chwilę stał przy oknie, w miejscu, gdzie się od niego odsunęła. Nagle podszedł do niej, chwycił ją za ręce, podniósł z krzesła, szybko i zręcznie rozpiął jej suknię, która opadła jej wokół stóp. Następnie uniósł ją do góry.

Pojękiwała cicho, kiedy jego dłonie przesuwały się po jej całym ciele. Nawet w taki dzień ogień żądz strawił jej rozdwojoną tożsamość, ewentualne protesty, a nawet chwile oczekiwania na rozkosz czy strach przed tym, że coś mogłoby ją zepsuć. Trwała w bólu, dopóki jej nie posiadał, a wtedy poddała mu się bez reszty.

Simonowi błyszczały oczy, był dumny i z siebie, i z niej. Uśmiechając się, obserwował, jak budzi się z ekstazy, ale gdy tylko dostrzegł jej chłodny wzrok, od razu zerknął na zegarek.

—No, czas się ubierać — powiedział, poklepując ją po udzie przyjaznym, pobłażliwym gestem. — Dziś nie wpadłem zobaczyć się z Williamem. Jestem umówiony.

—Ciekawe, z kim? — spytała w nagłym przypiływie zazdrości. Krążyły plotki, niby niewinne, a jednak natrętne, że widziano go z Penelope Dane. Diana zaczęła gorzko żałować, że zaprosiła Simona na kolację razem z Dane'ami.

—Tylko z George'em. Chyba nie widzisz w tym nic zdrożnego?

—Oczywiście, że nie.

—Nic w tym oczywistego. Ostatnio przyjaźń między dwoma facetami staje się ryzykowna.

— Chyba jednak przesadzasz.

— Ani trochę. Gdybyś tylko posłuchała plotek na uczelni. Ludzie opowiadają niewiarygodne rzeczy.

Kiedy już się ubrali, Diana przyniosła dwa koktajle z lodem. Usiedli daleko od siebie, sącząc w rozmarzeniu.

— Wiesz, teraz musisz być bardziej ostrożny — odezwała się Diana.

— Przecież jestem ostrożny. Ciągłe mam się na baczności, choćby po to, by nie narażać twojej reputacji. Czy to się nie nazywa ostrożność?

— Chodzi o to, że przyjeżdża do nas matka Billa.

— Aha.

Spojrzał na nią, a w kącikach jego ust błąkał się lekko złośliwy uśmiezek.

— Kochanie, ja nie żartuję. Jej stary, ohydny dom za miastem właśnie przechodzi remont. W Little Fairing nareszcie podłączają wodę i kanalizację i na dobrą sprawę trzeba będzie wyburzyć i odbudować cały dom, a przynajmniej na to wygląda.

— A to ci niespodzianka. To przez tyle lat mieszkała bez łazienki?

— No coś ty. Ma studnię i starego ogrodnika, który co wieczór pompuje jej wodę, a co trzy miesiące przyjeżdża szambo- wóz.

Simon zrobił znudzoną minę.

— Sęk w tym — ciągnęła Diana — że nie możesz tak po prostu tu wpadać, kiedy tylko najdzie cię ochota. Będiesz musiał najpierw do mnie zadzwonić. Tylko uważaj, bo teściowa może odebrać telefon. Obawiam się, że spędzi tu ładnych parę tygodni.

Ale Simon wciąż wyglądał na znudzonego i Diana nie bardzo wiedziała, czy jej słowa w ogóle do niego dotarły. Miał denerwujący nawyk puszczenia mimo uszu tego, co nieszczególnie go interesowało.

— Słyszałeś, co powiedziałam? — spytała ostro.

Simon zmarszczył czoło, po czym roześmiał się.

— Że od tej chwili nie będziemy się tak często widywać? O tak, słyszałem.

— Nie, to nie tak! — Z przerażenia aż zabrakło jej tchu. — Po prostu musimy bardziej uważać. Teraz, dajmy na to, zachowujesz się całkiem lekko-myślnie. Gdyby Bill nie był taki...

— William jest, jaki jest. Inaczej pewnie nie zostałabyś moją kochanką, nie?

Na jego twarzy znowu pojawił się uśmiech. Zabolą ją, że zbliżająca się niepożądana wizyta jej teściowej ani trochę go nie poruszyła.

— To nie miało nic wspólnego z Billem — odparła ściszym głosem. — Kiedy poznałam ciebie, czułam się zagubiona.

Takiej odpowiedzi się spodziewał i znów potraktował jej słowa lekko i bez troski. Zbyt bez troski, podpowiadało jej serce z lekkim ukłuciem zazdrości. Jego wygląd i niezmierny urok osobisty zepsuły go do cna. Jego życie było niekończącym się pasmem łatwych zwycięstw, zwłaszcza w kontaktach z ludźmi. Szedł naprzód, po drodze jakby stąpając po innych, ale robił to tak delikatnie i żartobliwie, że nikt nie czuł bólu, tylko ustępujący ciężar i pustkę po jego odejściu.

— Głowa do góry — rzucił, odstawiając pustą szklankę i podnosząc się z miejsca. — Jakoś dam sobie radę.

— To znaczy, dasz radę się ze mną widywać? — spytała, czując, że staje się natarczywa, ale nie mogła się opanować. — Czy raczej obejdiesz się beze mnie?

— I jedno, i drugie — odparł Simon, wciąż uśmiechnięty, i skierował się do drzwi.

— A nie pocałujesz mnie na pożegnanie?

Nie znosił tego zjadliwego tonu w jej głosie. Czy ona nigdy się nie nauczy? Zaczekał na nią przy drzwiach. — Nie umiem okazywać czułości — powiedział, oparł dłonie na jej ramionach i jakoś dziwnie spojrzał jej w oczy. — Za to namiętność jak najbardziej...

— Ale nie miłość — dopowiedziała, wiedząc, że przerabiali to już wiele razy.



Nie ucieszył jej chłodny uścisk na pożegnanie. Stała w uchylonych drzwiach mieszkania, dopóki nie usłyszała w korytarzu odgłosu zatrzymującej się windy.

Simon był już spóźniony na obiad u George'a Clarka. Zastanawiał się, czy nie pójść pieszo z Welmore Street, ale kiedy wyłonił się z cienia labiryntu wysokich biur, poczuł pełnię popołudniowego słońca i od razu zboczył z kursu, udając się do Regent's Park. Tam usiadł pod drzewem i zapomniał o upływie czasu. Dopiero na widok wydłużających się cieni dźwignął się leniwie na nogi. W autobusach panował już tłok, a wracający z pracy ludzie ustawili się w długich kolejkach przy krawężniku. Simon wziął taksówkę.

Z naturalnych ludzkich pobudek robił to często, choć wcale nie stać go było na taki luksus. Przeważnie rekompensował to sobie na sto różnych sposobów, dopraszając się o odwiezienie czy też pożyczając drobne sumy pieniędzy, których zwykle nie oddawał.

George dobrze znał jego zwyczaje. Wypatrując Simona przez okno, dostrzegł nadjeżdżającą taksówkę i zszedł po schodach, szukając w kieszeni drobnych.

— Czy mógłbyś... — zaczął Simon na widok George'a, przeszukując kieszenie. — Bo pan chyba nie ma wydać.

— Będą drobne, szefuniu? — rzucił taksówkarz, wyjmując garść monet i banknotów.

— Jasne — odparł George i zapłacił.

Jego monety dołączyły do pieniędzy w garści taksówkarza i po chwili znalazły się w kieszeni tamtego, a George wziął przyjaciela pod łokieć i szybkim krokiem zaprowadził do domu.

— Jak zwykle się spóźniasz — zauważył, kiedy byli już w holu.

— Tym razem bardziej niż zwykle, niestety — przyznał Simon bez cienia skruchy.

George przywołał pomoc domową, a Simona posadził przy stole. Wieloletnie doświadczenie i niebywałe wyczucie pani Tranter sprawiły, że posiłek był doskonały — mimo tak długiego opóźnienia.

—Nie zasłużyłeś sobie na to — stwierdził George. — Któregoś dnia sam wszystko zjem o ustalonej porze, a ty będziesz umierał z głodu.

—To nie moja wina, że nie umiem żyć według zegarka — bronił się Simon. — I że tak wcześnie jadasz obiady, do cholery.

— Pani Tranter nie mieszka ze mną, musi zdążyć potem dojechać do domu. Przecież pracujesz w szkole, gdzie stawiają na punktualność. Po co wyżywasz się na przyjaciółkach?

—Bo to mnie odstresowuje — odparł Simon, jakby nigdy nic.

—Masz przecież zegarek — ciągnął George. Wściekał się na siebie, że zapłacił za tę taksówkę, tym bardziej że nie było takiej potrzeby, bo Simon też miał w kieszeni jakieś drobne, a że było już po wszystkim, szybko schował je z powrotem. — Masz zegarek, i to całkiem niezły. Nie rozumiem, po co ojciec ci go dał, skoro nawet nie raczysz na niego spojrzeć. Ale mógłbyś się chociaż postarać.

—Nie mogłem — rzucił Simon, jedząc ze smakiem, bo tego dnia odpuścił sobie lunch. — Oddałem go w zastaw — wyjaśnił.

—Jesteś okropny.

Obaj się roześmiali.

—Lepiej mi powiedz, co za skandale krążą ostatnio po tej waszej budzie — zaproponował George, widząc przyjaciela w dobrym nastroju.

—Uczelnia utrzymuje swoje sprawy w największej tajemnicy — odparł Simon. — Co niektórzy nadal ze sobą kręcą, ale na razie jeszcze niczym nikogo nie zaszokowali. A moje problemy doczekały się zaszczytnego końca.

—Co chcesz przez to powiedzieć?

—Facet, o którym ci mówiłem... ten stary piernik, który zawsze tak hojnie mnie wspomagał, przedwczoraj wieczorem przeszedł do rzeczy. Najpierw zaprosił mnie do siebie i poczęstował obiadem, prawie tak wyśmienitym jak ten twój, a kiedy rozmawialiśmy na jego ulubiony temat, spytał, jakby nigdy nic: no, drogi chłopcze, to kiedy idziemy do łóżka?

—I co ty na to?

—A ja mu tym samym zdawkowym tonem: nigdy, proszę pana — ani dziś, ani kiedy indziej. Chyba był w lekkim szoku, a ja dodałem jeszcze, że gustu się nie da oszukać, i wyszedłem.

—No i całe szczęście.

—Jakie tam szczęście. Facet był kopalnią ważnych informacji i fajnie się z nim gadało, a do tego świetnie gotował. Będzie mi go brakować!

George wstał od stołu. Pani Tranter zebrała naczynia i przyniosła kawę, a on wyjął brandy, nalał spory kieliszek Simonowi i odrobinę sobie.

Podszedł do Simona, który stał oparty o gzyms kominka i nagle wysunął figlarnie stopę, licząc na to, że kolega się o nią potknie. Ale George zdążył już to przewidzieć. Udało mu się ominąć pułapkę, odstawić bezpiecznie kieliszek z brandy i zemścić się na przyjacielu w dokładnie ten sam sposób.

—Zupełnie jak dzieci — relacjonowała pani Tranter swojej siostrzenicy po powrocie do domu. — I to w takim wieku. Obaj mają po trzydziestce. Tarzają się po podłodze jak dwa nastoletnie głuptasy. Oczywiście, nic w tym złego. Pan Clark to bardzo miły człowiek i w normalnych okolicznościach nawet poważny. Odbija mu tylko wtedy, gdy odwiedza nas pan Fawcett.

Łapiąc oddech z wysiłku, obaj panowie wkrótce dali sobie spokój, podnieśli się i usiedli. Zgrzani i zdyszani, zaczęli saczyć gorącą kawę. George, który nigdy nie mógł się nadziwić, skąd w Simonie tyle siły, wpatrywał się w przyjaciela. Po tym, jak doznał lekkiego zwichnięcia nadgarstka, przestał być dla niego taki pobłażliwy. Myślami wrócił do ostatniej niedorzecznej anegdoty Simona. Czy mówił prawdę? Może i tak, ale równie dobrze mógł to wszystko zmyślić. Próżność Simona nie miała granic, a on sam kompletnie nic sobie z tego nie robił, tylko stale podsyczał ją tymi swoimi mrzonkami i niewybrednymi fantazjami. A jednak...

— Tak więc twoja ostatnia wątpliwa przyjaźń podzieliła losy innych? — zagadnął. — Wiesz, trochę mnie to dziwi, bo ten...

—Tylko bez nazwisk — przerwał mu Simon ściszonego głosem, zerkając w stronę drzwi.

—Ona nic nie usłyszy, a nawet gdyby, to i tak nie zapamięta.

—Wcale nie byłbym tego taki pewny.

—W każdym razie to koniec romansu?

—Nie było żadnego romansu, ale masz rację: to koniec. Żadna ze stron nie ucierpiała, tylko jak na moje, trochę szkoda.

—Widzę, że uczucia innych nie bardzo cię obchodzą?

Simon zmarszczył brwi.

—Głowę daję, że ten facet jakoś przeboleje tego kosza od ciebie — ciągnął George. — Jest na tyle doświadczony i zamożny, że na pewno ma inne możliwości. Wcale mi go nie żal i nie mam dla niego ani odrobiny litości. Ale radzę ci, żebyś przestał mącić ludziom w głowach, choćby dla własnego dobra.

Simon wlepił w niego wzrok i George spostrzegł nagle, że jego maska opadła. Jeszcze przed sekundą jego przyjaciel miał chłopięcą, rozbawioną, trochę cyniczną minę, a teraz stał się całkiem obcy i patrzył na niego ponurym, odległym, lodowato gniewnym wzrokiem. Ktoś ukryty pod maską, za tymi dziwnymi oczami, okazał się jakąś obcą, tajemniczą istotą.

—Nie chcę, żebyś się wkurzał — kontynuował uparcie George, zdając sobie sprawę, że mówi wbrew własnemu przekonaniu, a jego słowa trafiają w próżnię. — Ale ciągle mam w pamięci tamtego chłopaka sprzed kilku lat. Tego, który na ostatnim roku nagle wyjechał, nie kończąc studiów.

—O co ci chodzi z tym chłopakiem? — spytał spokojnie ten całkiem obcy Simon.

—Źle go potraktowałeś.

—Po prostu nie chciałem pójść z nim do łóżka. I co w tym złego? Uważasz, że to niemoralne? To znaczy, że miałem ulec jego chorym instynktom i narazić nas obu na konsekwencje prawne? Mój drogi George'u, gdzie twój zdrowy rozsądek?

—Przecież od początku wiedziałeś, jaki był. Mogłeś od razu go spławić.

Ale Simon nawet nie raczył odpowiedzieć, tylko gapił się w ścianę gdzieś nad ramieniem George'a.

—Szkoda, że cię wtedy nie poprosiłem, żebyś zdradził mi jego nazwisko

— ciągnął dalej George, bardziej do siebie niż do przyjaciela.

— Żebyś zaczął się wtrącać? — spytał chłodno Simon.

— Mógłbym przynajmniej dać mu jakoś do zrozumienia, że to nie jego wina, że nie miał powodu czuć się gorszy czy żaloszny. I może wyjaśniłbym mu, jak beztrósco traktujesz te sprawy.

— *Beztrósco?!*

Na chwilę maska wróciła i w ułamku sekundy George dostrzegł na jego twarzy szok przerażenia i jakiś dziwny grymas bólu, po czym jednak znów zniknęła.

Simon wstał i uprzejmie podziękował przyjacielowi, kierując się do wyjścia. George zdał sobie sprawę, że posunął się za daleko. Nagle pożałował swoich słów, czując, że Simon nieprędko go odwiedzi.

— Zostań jeszcze — poprosił. — Niedługo wyjeżdżam na trzy miesiące. Firma wysyła mnie do Stanów.

— No, to baw się dobrze — rzucił Simon w drodze do drzwi.

— A czy tamten chłopak... czy on nie wyjechał właśnie do Stanów, co? Czy raczej do Kanady? — zagadywał George, próbując zakończyć temat, byleby zatrzymać Simona i spędzić z nim resztę wieczoru w przyjaznej atmosferze. — Oby tylko odnalazł spokój i przyjaźń, gdziekolwiek by nie był — dodał bez przekonania, nie słysząc żadnej odpowiedzi.

— Na pewno jakoś sobie poradzi — odparł Simon poważnym tonem, po czym pożegnał George'a i z promiennym uśmiechem podziękował mu za wspaniały wieczór.

William Allingham zgarnął z biurka papiery i przez chwilę siedział, wpatrując się w stos kartek, a następnie naciśnięciem dzwonka wezwał sekretarkę.

Właśnie zakończył dyżur w swoim gabinecie przy Welmore Street. Zabrało mu to trzy godziny, podczas których przyjął sześcioro pacjentów: dwóch amerykańskich biznesmenów, dwie starsze bezrobotne wdowy i dwie osoby autentycznie cierpiące na przewlekłą astmę.

Specjalność doktora Allinghama nie wymagała wielkiego wysiłku, ale za to była jego prawdziwą pasją i pozwalała mu maksymalnie wykorzystać swoje niewątpliwe umiejętności, bystry umysł i niespożyte pokłady energii. Był endokrynologiem ze szczególnym zamiłowaniem do różnych rodzajów alergii, co akurat wykraczało nieco poza jego dziedzinę nauki, stanowiąc raczej problem dla specjalistów od płuc i skóry. Oszczędziło mu to licznych wizyt starzejących się kobiet, zwiedzionych mylnym przekonaniem, że za pieniądze zdołają odzyskać choćby cień swojej dawnej młodości. W odpowiednich rękach byłby to całkiem dochodowy interes, i niejeden taki już kwitł, ale Allinghama jakoś to nie pociągało. Wolał pracę w szpitalu na pełen etat, opłacaną przez Państwową Służbę Zdrowia, a chcąc uzyskać określoną sumę dochodów, zwiększał je dzięki praktyce prywatnej, gdzie szastający pieniędzmi pacjenci zasługiwali na należytą uwagę i opiekę.

Doktor Allingham z wolna przewertował stos kartek, wyciągnął kilka z nich, poskładał rozrzucone raporty, od czasu do czasu wyjmując jakąś nieistotną notkę, by ją zmiąć i wyrzucić do kosza na śmieci.

A gdy już skończył, wezwał sekretarkę i podyktował jej ciąg listów, większość do lekarzy ogólnych, którzy skierowali do niego chorych, a kilka do stałych pacjentów, czekających w domach na wyniki ostatnich badań. Po tym, jak przejrzał ponownie swój stos kartek, sekretarka poszła wydrukować listy, a doktor Allingham sam powkładał notatki i raporty do osobnych teczek w szafie na dokumenty i zamknął ją na klucz. Następnie wsiadł do windy i pojechał na górę do mieszkania, spodziewając się wkrótce pani Stone z listami do podpisu. Mimo że pani Stone pracowała jeszcze dla trzech innych lekarzy, a

oprócz tego pełniła także funkcję recepcjonistki, jakoś nigdy nie sprawiała wrażenia przytłoczonej nadmiarem obowiązków. Doktor nawet nie musiał prosić jej o dostarczenie listów na górę. Wiedział, że przed pójściem do windy i tak zajrzy ona jeszcze do gabinetu.

Na górze zastał puste mieszkanie, co wcale go nie zdziwiło. Pomoc domowa zwykle zjawiała się o dziewiątej, a wychodziła o drugiej, a kiedy zapraszali na kolację gości, mieli do swojej dyspozycji jeszcze jedną osobę, a niekiedy Diana gotowała sama. Dziś jednak nikogo się nie spodziewali. Doktor zerknął na zegarek, zauważył, że właśnie minęła szósta, i uznał, że Diana lada chwila powinna być w domu. Nie chciał wyciągać żadnych konkretnych wniosków co do tego, gdzie ona się właściwie podziewa, dlatego nalał sobie whisky z wodą sodową, wziął szklankę i podszedł do okna. Podciągnął żaluzję, która o tej porze niepotrzebnie blokowała światło, i wpatrywał się w dachy budynków stojących naprzeciwko i jeszcze dalej.

Na dźwięk dzwonka do drzwi wzdrygnął się. Na panią Stone było jeszcze za wcześnie. Zmarszczył brwi. Niespodziewany gość byłby teraz udręką. Doktor czuł się zmęczony, wręcz wypruty z wszelkiej chęci do jakichkolwiek rozmów. Przyjęcie sześciorga pacjentów pod rząd tego upalnego popołudnia strasznie go wyczerpało. Mimo to od razu ruszył do drzwi i otworzył. Na progu ujrzał Huberta Dane'a, swojego dobrego przyjaciela.

— O, to ty! — rzucił.

— Tak, wiem, nie spodziewałeś się mnie — powiedział Dane, mijając go i kierując się prosto do salonu. — Zresztą mogłem cię nie zastać, dlatego powinienem był zadzwonić.

— To czemu tego nie zrobiłeś? — spytał William.

—Bo dopiero parę minut temu naszło mnie, żeby wpaść do ciebie po drodze do klubu.

—No a skoro już jesteś, to posiedź chwilkę, dobrze? Diany jeszcze nie ma, choć lada moment powinna wrócić.

Silił się na taki ton, jakby wiedział, gdzie jest żona, udając, że go to nie obchodzi, ale w duchu uznał, że wcale mu się to nie udało.

Hubert zerknął na niego przelotnie i odwrócił wzrok.

—Chciałem zamienić z tobą słówko w sprawie Penny — oznajmił i zamilkł, jakby nagle odjęło mu mowę.

William zrobił mu drinka i poprosił, by usiadł zamiast chodzić tam i z powrotem po pokoju.

—Bo widzisz, po śmierci Phil... — zaczął, roztargniony.

—Rozumiem — przerwał mu William. — Nie dajesz sobie rady. Nie bardzo wiesz, jak postępować z nastoletnią córką. Czujesz, że cię to przerasta. Ale przecież Penny jest taka miła, ładna, zdolna, lubiana...

—I zakochana w mężczyźnie dwa razy starszym od siebie, którego mam ochotę nazwać skończoną gnidą, ale tak się składa, że to twój przyjaciel.

—Simon Fawcett? — spytał od razu William i spojrzał wyzywająco na kolegę, wyczuwając podskórną sugerię.

—A więc rozumiesz mnie? — mruknął ponuro Hubert.

William zarumienił się.

—Sam nie wiem — odparł, rozdrażniony. — Właściwie to nie mam prawa go krytykować, choć w pewnym sensie mu współczuję. To nie jego wina, że wygląda jak mały bożek, jak jakiś smagły anioł. Facetowi taka uroda przynosi pecha, zwłaszcza w kraju, gdzie piękny mężczyzna zawsze budzi podejrzenia, a wręcz kojarzy się z perwersją. Fawcett cieszy się na uczelni ogromną popularnością, a przy tym to nieoceniony pracownik. Tak przynajmniej słyszałem.

—Od kogoś bardziej wiarygodnego niż sam Fawcett? — dociekał Hubert.



Jego rozgoryczenie zdziwiło Williama.

- W każdym razie nie od Fawcetta. Ale co ty właściwie do niego masz?
- Mówiłem ci już. Penny jest zakochana w tym draniu po uszy.
- I co on na to?

Hubert podniósł się i znów zaczął niespokojnie krążyć po pokoju. — Nie wiem. *Pojęcia* nie mam, mówię przecież. Ale strasznie mnie to martwi. Gdyby tylko Phil... Już ona by wiedziała...

— Na pewno — przyznał łagodnie William. — Ale może Penny ma jakąś przyjaciółkę, której chętnie się zwierza? — zagadnął.

— Tak, Caroline Feathers. To dobra dziewczyna, często bywa u nas w domu. Ale co z tego? Mam tak po prostu ją spytać, czy ich wykładowca uwiódł moją córkę?

— Z tego, co mówisz, wynika, że wcale jej nie uwiódł — powiedział powoli William. — Gdyby odwzajemniał jej uczucia, to nie byłaby taka markotna, jak sugerujesz. Wręcz przeciwnie.

— Ona jest markotna tak czy inaczej — zauważył ponuro Hubert. — To taki zdradliwy wiek — dodał, usiadł z powrotem na krześle i westchnął głęboko.

— Chyba nie powinieneś traktować tego aż tak poważnie — poradził mu William. — Czy Penny sama ci się zwierzyła, że się w nim kocha?

- Nie, nic podobnego.
- No więc skąd ta pewność?

— Bo na okrągło o nim mówi. Tyle że ani słowem nie wspomina o ich związku i w ujmujący sposób unika tego tematu. Ale te anegdotki o jego uprzejmości, błyskotliwości, poczuciu humoru... Mdli mnie na sam dźwięk jego imienia. Przecież doskonale wiem, co się pod tym wszystkim kryje.

— Ale chyba informuje cię, że się z nim umawia?

— O tak. Próbuje się pohamować, ale to samo z niej wychodzi. No cóż, chyba było, minęło. Koniec z tym.

— Och, skąd ci to przyszło do głowy?

— Bo ostatnio jest strasznie zdołowana. Coś musiało się wydarzyć. Boże, tak bardzo chciałbym wiedzieć co...

—Założę się, że puścił ją kantem. Nie pierwszy raz zresztą. Po mojemu ten Fawcett ma w sobie coś z neurotyka. Podejrzewam tu zachwianie równowagi hormonalnej.

—I znów zaczynasz ten swój maniacki bełkot, i to właśnie *teraz*, w takim momencie!

William roześmiał się i zamilkł, ale w gruncie rzeczy jego przypuszczenie co do medycznych przyczyn dziwnych zachowań Simona było całkiem poważne. Dlatego właśnie nieustannie bał się o Dianę. Nie potrafił wyzbyć się swojej teorii. Za to w Hubercie najwyraźniej nie wzbudziła ona żadnych emocji.

— Na pewno jej przejdzie — rzucił William, myśląc także o Dianie. — Zresztą jest jeszcze bardzo młoda. Pamiętam, jak w jej wieku przynajmniej raz na pół roku traciłem głowę dla jakiejś dziewczyny, a było ich całkiem sporo.

—Ale do Penny to niepodobne. Ona nigdy nie brała na poważnie żadnego mężczyzny, nawet Johna.

—O, ten to pewnie już chciałby się z nią żenić, co?

—Tak mi powiedział. Ale w tym roku nie miał szans. Większość czasu spędza na Morzu Śródziemnym. Latem zeszłego roku nawet nie popłynął ze mną w rejs.

—A to szkoda. I gdzie on teraz jest?

—Na Gibraltarze. Tego lata pewnie też będzie zapracowany.

—No ale ty, jak zwykle, wypływasz? I pewnie zabierasz ze sobą Penny?

—Jeśli w ogóle się zgodzi.

—Jasne, że tak. Przecież uwielbia to tak samo jak ty, i to od dawna. Ale dobrze by było, gdybyś przyjął do załogi jakiegoś sympatycznego młodzieńca. Najlepiej kogoś, kto zna Penny i ma na nią oko. Mógłby wykorzystać jej

rozterki, a przy okazji rozwiązać też twój problem!

Hubert odstawił szklanę. — Tu nie ma z czego żartować — rzucił sztywno.

— Mówię zupełnie poważnie — zapewnił go William. — Wiem, że to brzmi jak tanie romansidło, ale takie rzeczy zdarzają się dość często. Mógłbyś chociaż spróbować. I, na litość boską, przestań wreszcie się zadreć tym Fawcettem. Wiem, że niezły z niego utrapieniec, ale za to nieszkodliwy. Już sześć lat pracuje na uczelni. Nie wydaje ci się, że gdyby rzeczywiście było z nim coś nie tak, to już dawno jakiś skandal wyszedłby na jaw?

—Przecież już raz tak było, nie? — zdziwił się Hubert. — A sprawa tego Dawsona? No chyba że nie uważasz samobójstwa za skandal?

—W zasadzie to nie — odparł chłodno William. — Nazwałbym to tragedią, błędem lekarzy albo, zważywszy na okoliczności, niechybnym końcem nieuleczalnej choroby. Ale nigdy nie powiedziałbym, że to skandal.

—A jeśli to samobójstwo było podszyte skandalem?

—Słuchaj, czy możesz mi coś wyjaśnić? — rzucił William, poirytowany, czując, że dość już ma obsesyjnych podejrzeń Huberta. — Twierdzisz, że Penny straciła głowę dla faceta, a sam pałasz do niego taką nienawiścią. Czy to nie przypadkiem jakiś homoseksualny kompleks Edypa?

—Tylko bez takich świństw! — rzucił wściekle Hubert.

William nappełnił szklanki i usiadł w milczeniu.

Hubert zdążył już zapanować nad sobą, ale wciąż targały nim skrajne emocje. — To przez Fawcetta ten chłopak Dawson zawałił studia — wyrzucił wreszcie. — Postanowił wyjechać do Kanady, a jego rodzicom udało się załatwić mu tam miejsce w college'u, żeby mógł kontynuować naukę. Ale po drodze zaginął gdzieś na oceanie, a w kajucie zostawił dla Fawcetta list, który kapitan słusznie oddał jego rodzicom wraz z jego rzeczami osobistymi. A oni skontaktowali się ze mną.

—Ale najpierw sami przeczytali list do Fawcetta?

—No tak. Myślę, że mieli ku temu powody.

—Rozumiem. I ty też przeczytałeś ten list?

—Oczywiście.

—I niby co takiego w nim było? Że to Fawcett zniszczył chłopakowi życie?

—Fawcett go rzucił, i to po tym, jak się do siebie zbliżyli.

—Chyba nie bardzo rozumiem.

—Chodzi o intymny kontakt fizyczny.

—Och, na litość boską! — rzucił rozdrażniony William. — Jakiś niezrównoważony chłoptaś o homoseksualnych skłonnościach durzy się w starszym facecie, a kiedy tamten przywołuje go do porządku, wpada w histerię i postanawia się utopić. To wina nieudolnych, mało spostrzegawczych rodziców, ale, broń Boże, nie Fawcetta!

—Ty nic nie rozumiesz. Mówiłem im, że już nic się nie da zrobić. Poradziłem, żeby dostarczyli ten list Fawcettowi, a nawet sam miałem mu go dać, zastrzegając, by go nie niszczył na wypadek, gdyby znaleziono ciało i wszczęto dochodzenie, co było mało prawdopodobne, bo Dawson zaginał na środku Atlantyku. Myślałem tylko, że może Fawcett potraktuje to jako ostrzeżenie. Uprzedziłem też rodziców chłopaka, by nie wnosili przeciwko Fawcettowi oskarżenia. Wyjaśniłem im, że to grozi procesem o zniesławienie. A ci biedni ludzie nie chcieli rozgłosu, bo to zszargałoby pamięć ich syna bardziej niż cokolwiek innego. — Tu przerwał na chwilę, patrząc na Williama z cieniem przerażenia w oczach. — Nigdy nie zapomnę miny Fawcetta, kiedy czytał ten list.

—Pewnie przeżył niezły szok?

—Przez ułamek sekundy był zdziwiony i wystraszony, jakby rażony panicznym lękiem, ale potem zebrał się w sobie i przeczytał list do końca. Stał nieruchomo jak posąg, zapatrzony w kartkę, z tak zaciętą miną, że trudno mi opisać. Przypominał mi jakąś postać na egipskich wazach — no wiesz, ofiary, kapłani w maskach, kojarzysz?

—Bóstwa ciemności — mruknął William. — Saturnalia, szatan i jego sztuczki... Naszej tradycji nie da się tak łatwo wykorzenić.

—Nie bardzo wiem, o czym mówisz — odparł podejrzliwie Hubert, obawiając się, że przyjaciel znów potraktował go zbyt pobłaźliwie.

— Ja sam chyba nawet nie wiem — przyznał William. — No, ale w każdym razie jestem pewien, że Penny nic takiego nie grozi. Jej uczucia, nawet tak burzliwe, są jak najbardziej normalne. A to co innego. Zresztą w dzisiejszych czasach dziewczęta nie wariują już z miłości.

—Nie sądziłem, by kiedykolwiek wariowały.

—Najlepiej zabierz ją w rejs, skompletuj porządną załogę. To kiedy wypływasz?

—Za dwa tygodnie. Mam już chyba nawet dwóch chłopaków, których Penny zna i którym się podoba...

—Tym lepiej, bo uwierzy w siebie, jak zaczną o nią rywalizować. A ty pomóż jej dokonać wyboru albo chociaż spróbuj ją wzbudzić jej zainteresowanie.

Hubert rzucił przyjacielowi spojrzenie pełne dezaprobaty. — Nie rozumiem, skąd u ciebie to lekceważące podejście. Przecież to biedne dziecko naprawdę bardzo cierpi. Dla niej to śmiertelnie poważna sprawa.

—No właśnie, i dlatego musimy potraktować ją z przymrużeniem oka.

—Nie zgadzam się z tobą.

—Jasne, że nie — odrzekł William, przybierając nagle poważną minę. — Jak mógłbyś się ze mną zgodzić.

Po tej rozmowie Hubert nie zabawił długo. William wprowadził go do domu, ale mu nie pomógł, ale samo zwierzenie się przyniosło ulgę. Zresztą jak na osobę bezstronną, jego opinie i argumenty były dość logiczne i wielu innych znajomych Huberta na pewno je podzielało, może oprócz tych, którzy też mieli dorosłe córki. I tu właśnie tkwił problem Williama. Jego własne dzieci były jeszcze za małe na takie sprawy. Żałował, że tak późno się ożenił, bo od tamtej pory obu przyjaciół zaczęła dzielić pewna drobna bariera.

William odprowadził Huberta do windy, wrócił do salonu, zabrał szklanki, zaniósł je do kuchennego zlewu i postawił na suszarce. Poruszał się automatycznie, pochłonięty myślami o Hubercie. Wśród jego uczuć znalazło się też

miejsce na litość dla Penelope, którą dotąd ukrywał przed przyjacielem.

Doskonale wiedział, dlaczego zachował się w ten sposób i dlaczego rozmowa o Simonie Fawcetcie wywoływała u niego zawsze te same reakcje. To było konieczne, dla jego własnego spokoju, przez wzgląd na Dianę. Sam musiał uwierzyć w wizerunek Simona, jaki przedstawił Hubertowi; musiał oprzeć się na powierzchownym podejściu Simona do życia i na całej prawdzie o jego pozornej niedojrzałości uczuciowej, kolidującej z jego dojrzałym umysłem. I wybić sobie z głowy historie podobne do tej, którą tego dnia opowiedział mu Hubert — a William słyszał ich już wiele, choć ta była najohydniejsza z nich wszystkich. Inaczej, z powodu Diany, jego osobiste życie ległoby w gruzach, a wraz z nim to, co liczyło się dla niego jeszcze bardziej — jego praca, ta ciągła, mozolna, nieustanna, trudna, pełna nowych odkryć podróż po wąskiej rzece, która była dla niego wszystkim.

Diana wróciła do domu jakieś dziesięć minut po wyjściu Huberta. Była zgrzana i zmęczona i marzyła o tym, by się rozebrać i zanurzyć w wannie z letnią wodą, ale na widok smutnej i przejętej miny Williama poczuła instynktowną potrzebę, by do niego podejść, pocałować go czule i spytać, co się stało.

—Przed chwilą był tu Hubert. Strasznie się zamartwia z powodu Penny.

Diana zasepiła się na wspomnienie plotek. — Penny? A co jej jest?

—Hubert uważa, że dziewczyna cierpi, bo zakochała się bez wzajemności.

—I to aż tak go gnębi?

Williamowi nie podobała się ta gra na zwłokę. Skoro plotki dotarły do niego, to Diana też musiała słyszeć to i owo, chociaż ani razu o tym nie rozmawiali.

Zerknęła na niego, zdając sobie sprawę, że przesadziła z tą swoją udawaną niewinnością. — Chyba nie chodzi o Simona, co? — rzuciła obojętnie, odsuwając się na bok. — Przecież nic między nimi nie zaszło.

—A właśnie, że chodzi o niego. Jesteś pewna, że nic? To znaczy, z jego strony, bo Penny chyba strasznie cierpi. Myślisz, że sama jest sobie winna? Czy to prawda, wina leży tylko po stronie dziewczyny?

Oczy Diany otworzyły się szeroko. Ogarnęło ją głębokie oburzenie. — O tak, to tylko i wyłącznie jej wina! — rzuciła żarliwie z naciskiem. — I dobrze jej tak! Wszystkie nękają go tylko tymi dziecinnymi amatorami i zanudzają na śmierć, a on... — przerwała, by zaczerpnąć tchu.

— Ty chyba świetnie go znasz, co? — zauważył William. — Skoro zwierza ci się z takich rzeczy... — uciał. Przez chwilę wpatrywali się w siebie nawzajem, tracąc zimną krew, chcąc uciec przed nadciągającą katastrofą.

— Muszę *koniecznie* wziąć kąpiel — powiedziała Diana. — Ohydnie się czuję. Kolacja jest w lodówce. Wszystko zimne. W ten upał nawet nie brałam się za gotowanie czegoś.

— Bo i po co? — odparł uprzejmie William. — Nie śpiesz się, nie jestem szczególnie głodny. — Zerknął na zegarek. — Pani Stone miała mi podrzucić na górę listy. Widocznie była na tyle taktowna, żeby nie przeszkadzać mi w rozmowie z Hubertem. Lepiej zejść na dół. A poza tym czeka na mnie artykuł, który muszę przeczytać dziś wieczorem.

Szybko się powstrzymał, by za długo nie mówić, a Diana pokiwała głową i wyszła.

W chłodzie, ciszy i mroku małego gabinetu na parterze William usiadł z napisanym przez kolegę po fachu artykułem medycznym w ręce, z wolna otrząsając się z szoku po tym, jak jego życie omal nie zamieniło się w ruinę.

Tymczasem na górze w wannie Diana obwiniła się za ten gwałtowny, przerażający moment ryzyka. — Ależ ze mnie idiotka — mówiła sobie w myślach. — Pieprzona idiotka do potęgi. Pozwoliłam na to, żeby spotkali się poza uczelnią. Jak mogłam nie dostrzec, że ta dziewczyna już dawno przestała być dzieckiem.

I wzdrygnęła się na myśl o całej masie kobiet, które mogłyby być jej rywalkami.

Pani Allingham zjawiała się na Welmore Street pod koniec pierwszego tygodnia lipca. Diana odebrała ją z Paddington, sumiennie wzięła jej walizki, złapała taksówkę, a na miejscu, kiedy pani Allingham udała się na odpoczynek, przeniosła je do domu przy energicznej pomocy pani Stone, rozpakowała je i poukładała ich zawartość w pokoju dla gości, na półkach i w licznych szafkach wbudowanych w ścianie.

Jasne słońce, które prażyło w mieście prawie przez cały czerwiec, przykryły ciężkie chmury, gnane przez nieprzyjemny, suchy wiatr, od którego na ulicach wirowały kłęby spalonego pyłu. Powietrze wciąż pozostawało gorące, wręcz duszne. Pani Allingham, wysoka, tęga staruszka krótko po siedemdziesiątce, była widocznie bardzo zmęczona podróżą, bo zaraz rozsiadła się w fotelu w salonie Diany, oparta o stos poduszek, spuchnięte kostki ułożyła na stojącym przed nią krześle, i już zaczęła tęsknić za swoim wiejskim domem zaszytym u podnóża wzgórz Cotswold. Z żalem mówiła o tym, jak projekt instalacji urządzeń sanitarnych zaskoczył ją i jej dom. Uważała, że studnia i szambo bez problemu posłużyłyby jej do końca życia. Atak czekały ją tygodnie pełne napięcia. Pod jej nieobecność zarośnie ogród. A w ogóle lipiec to najgorszy miesiąc na wyjazd do Londynu dla osoby starszej, otyłej i z początkami artretyzmu, która straciła już wszelkie zainteresowanie teatrem, muzyką i sztuką. Zresztą teraz była gotowa przyznać, że to zainteresowanie i tak nigdy nie było zbyt wielkie.

Przymykając oczy, pani Allingham sprężyła się, by stłumić w sobie wewnętrzne niezadowolenie. W całym tym nieładzie towarzyszyło jej silne przekonanie, że została odcięta od spraw wyższego rzędu. Bo obecnie całe jej życie toczyło się wokół przekonań i obrzędów religijnych. Uznała więc remont za sprawę do pilnego załatwienia, i tyle.

Ale gdy tylko wysiliła się na odrobinę radości i pozytywnego myślenia, choćby ze względu na społeczność wioski Little Fairing, dla której kanalizacja oznaczała poprawę zdrowia i warunków życia; gdy tylko przyznała się do podłości swojej pełnej egoizmu postawy i zdążyła uświadomić sobie, że teraz przynajmniej czekają codzienny kontakt z jej wyjątkowym, odnoszącym sukcesy synem Williamem, do pokoju wkroczyła Diana z herbatą, cienką grzanką z masłem i talerzem rozmaitych słodkich ciasteczek na tacy.



Herbata, na którą w swoim przekonaniu nawet nie zasłużyła, wyraźnie ożywiła panią Allingham. Opiekuńcza postawa Diany wywołała w niej kolejne poczucie winy, ale mimo to trochę się uspokoiła. — Boję się, że przysparzam wam dodatkowej pracy i zacho- du — powiedziała. — Żałuję, że tak się stało. Chyba powinnam była zatrzymać się u państwa Brunt.

— A kim są ci państwo?

— To pastor i jego żona. Nie pamiętasz? Poznałaś ich, jak wpadłaś z wizytą zeszłego lata w drodze powrotnej z Kornwalii, prawda?

— A tak, już pamiętam, tylko nazwisko wyleciało mi z głowy.

— No więc mieli mnie wziąć do siebie, a ja nie chciałam sprawiać im kłopotu. A zresztą czuliby się urażeni, gdybym chciała im za to zapłacić, bo inaczej nie mogłabym u nich zamieszkać.

— Ano tak — przyznała Diana. O wiele taniej było tej starej babie wprowadzić się do ich mieszkania, pomyślała. Czemu od razu im nie powiedziała? Przecież niczego jej nie żalowali. Pod wpływem religii ludzie stają się pokrętni. A więc przez następne kilka tygodni czekała ich prawdziwa udręka. — To jak długo potrwa ten remont? — spytała. — Oczywiście, musisz tu zostać, dopóki nie skończą — dodała szybko. — Chodziło mi tylko o szkolne wakacje.

— Wiem — odparła pani Allingham, wyraźnie niezadowolona. — Sama też o tym myślałam.

Nie do końca było to prawdą, ale i tu musiała dopatrzeć się jakiegoś powodu do radości. Zdecydowanie za rzadko widywała swoje wnuki. Gdyby tylko umiała lepiej zrozumieć Dianę — albo raczej nie rozumiała jej tak doskonale — podpowiedziała jej podła natura, która w tym trudnym dniu bardzo dawała jej się we znaki.

Z biegiem czasu pani Allingham — zawsze spragniona spokoju umysłu, zrozumienia, miłości i zawsze ofiarująca swoje problemy Bogu, skąd zwykle czerpała siłę — zdołała ustalić pewien porządek codziennych zajęć i wypracować powściągliwy sposób życia, unikając wszelkich bezpośrednich konfliktów, co pozwalało zarówno jej samej, jak i jej synowej na znaczną swobodę zachowań pod wieloma względami. A to bardzo ułatwiło życie Dianie, bo

wkrótce wiedziała już dokładnie, w jakich porach pani Allingham jest pochłonięta praktykami religijnymi, czy to w kościele, czy u siebie w pokoju. I gdy tylko udało jej się nakłonić Simona, by odwiedzając ją, przestrzegał tego rozkładu zajęć, wyzbyła się przykrego uczucia napięcia. Towarzyszyło jej nawet pewne rozbawienie na samą myśl o tym, jak pani Allingham wielkodusznie sprzyja jej w kontynuowaniu spotkań z kochankiem.

Nastał koniec lipca. Prace remontowe w Little Fairing trwały w najlepsze. Którejś niedzieli William zabrał tam autem matkę i Dianę, by zobaczyć, na jakim są etapie. Zastali rozkopaną główną ulicę, szereg rowów wzdłuż bocznych dróg, a wszędzie pełno błota. Nad rowem przy domu pani Allingham położono wąską drewnianą kładkę, by móc dostać się do bramy ogrodowej.

Rzecz jasna, pani Allingham nie miała jeszcze dokąd wracać. Równie oczywisty był fakt, że do ich domku, choć położonego w tak bliskim sąsiedztwie, nie da się zabrać dzieci, które w czasie wakacji powinny wyjechać z miasta. W drodze powrotnej William i Diana spierali się co do różnych planów, nie znajdując żadnego wyjścia i chociaż pani Allingham było przykro, to postanowiła się nie wtrącać.

W końcu, jak zwykle zresztą, problem rozwiązała pani Stone: jej owdowiła siostra z wielką chęcią zajęłaby się i dziećmi, i domem wiejskim doktora Allinghama przez tyle czasu, ile tylko im potrzeba. Dla niej też byłby to miły wypoczynek, a przy tym lubiła i rozumiała dzieci. A to już było jakieś wyjście.

Tydzień później któregoś dnia rano pani Allingham wyszła ze swojego pokoju około dziesiątej, jak to miała w zwyczaju, i podała Dianie zwiniętą gazetę.

—Piszą, że córka Dane'ów się zaręczyła — oznajmiła spokojnie. — Ależ te dzieciaki szybko rosną.

Z chłodem w sercu, bezwolnie, drżącymi palcami Diana wzięła gazetę i zaczęła czytać.

—Richard Carrington? A my znamy w ogóle jakichś Carringtonów?

Odczuła tak głęboką ulgę, że omal nie roześmiała się w głos, a jej twarz promieniała taką radością, że pani Allingham była zdumiona.

— Nie znasz go? W takim razie William musi go znać. Zna wszystkich przyjaciół Huberta Dane'a.

— Co wcale nie znaczy, że ten chłopak jest jednym z nich. Jakoś nie chce mi się w to wierzyć — rzuciła oschle, po czym zmieniła zdanie i dodała: — Chociaż właściwie to chyba masz rację. To musi być jeden z tych, co popłynęli z nimi w rejs. No, no, co za szczęście!

Ale pani Allingham miała zamyśloną minę. Doszły ją słuchy oniedawnych kłopotach Penelope. Nie rozmawiała wprawdzie z Hubertem czy samą Penny, bo nie było ich w domu, ale zdążyła już sporo usłyszeć od Williama i zameżnej siostry Huberta, z którą od chwili przybycia do Londynu raz czy dwa jadła lunch. Ale nic nie powiedziała. Za to w zachowaniu Diany temat dziewczyny budził pewne rozdrażnienie, choć nic poza tym.

— Muszę napisać do Penny — powiedziała cicho. — Mam nadzieję, że będzie bardzo szczęśliwa. Taka kochana z niej dziewczyna. Gdyby tylko jej biedna matka...

— To znaczy, że już *wrócili!* — zawołała Diana. — Nie wiedziałam...

Miała w głowie mętlik. To nagle, niepożądane wtargnięcie Dane'ów w jej codzienność kompletnie zbiło ją z tropu. Do tej pory jakoś udawało jej się o nich nie myśleć, wykreślić ich z jej życia, a tymczasem oni powrócili, i to w bardzo niepokojącym stylu. Jak zareaguje na to Simon? Przecież został w Londynie. Był u niej jeszcze niedawno, przed dwoma dniami. Semestr wprawdzie już się skończył, ale Simon nadzorował i prowadził coroczne kursy letnie. Co on sobie pomyśli? Co teraz zrobi? Pragnęła chwycić telefon i zadzwonić — do Dane'ów, do Simona, do siostry Huberta. Ale pani Allingham zdążyła już przejść przez pokój, usadowiła się przy stoliku z telefonem i wzięła książkę telefoniczną. To bez sensu, trzeba będzie zaczekać.

W gorączkowym zniecierpliwieniu Diana opuściła pokój i udała się do kuchni, żeby zająć się czymś, jednocześnie usiłując nad sobą zapanować.

A gdy po chwili wróciła, w pokoju nikogo nie było, za to niezwłocznie pojawiła się pani Allingham w kapeluszu i długim, czarnym letnim płaszczu, naciągając rękawiczki.

— Nie wrócę na lunch, moja droga — oznajmiła.

— Skontaktowałaś się z Penny?

— Nie. Jeszcze nie wrócili. Nora twierdzi, że wiadomość przyszła z Major-ki. Hubert zacumuje tam swój jacht i pod koniec tygodnia wrócą wszyscy samolotem. Miałaś rację, Richard Carrington popłynął z nimi. Zdaje się, że postąpili mądrze.

Diana znowu odczuła ulgę. Zanim Dane'owie zdążą wrócić, wieść o ślubie już rozejdzie się po kościach. Czy Hubert umyślnie to zaaranżował? Nie, nie był na tyle subtelny. Po prostu nie posiadał się z radości, że wszystko poszło po jego myśli.

— Biedna Penny — rzuciła niespodziewanie pani Allingham wieczorem przy kolacji.

Diana oniemiała ze zdziwienia.

— Byłam dziś na lunchu z Norą — ciągnęła pani Allingham. — Opowiedziała mi coś więcej o sprawach, o których wcześniej tylko wspominała. To dla was oczywiste...

— Wiem, mówisz o tej idiotycznej aferze z jej młodzieńczym zadurzeniem w Simonie Fawcecie. Za nic nie mogę pojąć, dlaczego wszyscy robią problem z takiej błahostki.

— Tego, co się tyczy pana Fawcetta, nie można nazywać błahostką — zauważyła pani Allingham poważnym tonem. — To niewłaściwe słowo. On jest bardzo niebezpieczny.

— Bez przesady! — jęknęła poirytowana Diana.

— William na pewno się ze mną zgadza — upierała się jego matka.

William podniósł wzrok, niezadowolony, że wciąga się go w takie bezcelowe dyskusje. — Co to, to nie — powiedział cicho.

— Tu się z tobą nie zgadzam, mamó. To fakt, niezły z niego dziwak, a przynajmniej w pewnym sensie, i nawet mam co do tego swoje ściśle medyczne poglądy, o których wolałbym nie mówić. Ale żeby zaraz niebezpieczny... Tego bym nie powiedział. No chyba że dla samego siebie.

Jego reakcja wprowadziła panią Allingham w zdumienie, ale rozsądek kazał

jej zakończyć ten temat.

Przez chwilę jedli bez słowa, po czym Diana z trudem zmusiła się, by kontynuować rozmowę, kierując ją na bezpieczniejsze tory.

Chociaż wciąż zależało jej, by przedstawić teściowej Simona w bardziej korzystnym świetle i gdy tylko usłyszała o otwartym wykładzie, jaki miał wygłosić w ramach kursów letnich, namówiła panią Allingham, żeby poszła z nią posłuchać, a potem osobiście poznała wykładowcę.

—Przecież ani razu jeszcze z nim nie rozmawiałaś, prawda? — powiedziała. — Zgodzę się, że nie zawsze dopisuje mu dobry humor. Czasami umyślnie zachowuje się dziecinnie albo idiotycznie, ale to tylko dlatego, że zwyczajnie mu się nudzi.

—Tak będzie w moim towarzystwie — stwierdziła cierpko pani Allingham.

—Ależ skąd. Och, zupełnie nie rozumiem, dlaczego jesteś, do niego taka uprzedzona. Myślałam, że w ta twoja religia nakazuje kochać wszystkich ludzi.

—Mam nadzieję, że to także *twoja* religia — odparła pani Allingham, rumieniąc się. — A nazywanie zła po imieniu nie jest uprzedzeniem.

—Kompletnie cię nie rozumiem.

Mimo wszystko pani Allingham zgodziła się pójść na wykład i, wbrew silnemu przekonaniu o wątpliwym charakterze i braku wartości Simona, była naprawdę zachwycona. Tematem wykładu była „biografia w dwudziestym wieku”. Simon dokładnie, błyskotliwie i wyczerpująco omówił współczesny rozwój tego gatunku, który stał się bardzo bliski fikcji. Stąd jego popularność w bibliotekach, wyjaśnił, przedstawiając trafne ilustracje i cytując fragmenty jakiejś rozmowy. Odniósł się też do wielkich biografii z literatury powszechnej, tworząc porównanie pouczające, ale bez przesadnego dydaktyzmu. Przez cały czas skupiał na sobie uwagę słuchaczy, którzy na koniec nagrodzili go gromkimi brawami.

Pani Allingham była pod wrażeniem, o czym nie omieszkała wspomnieć.

—A teraz chodź go poznać — zaproponowała Diana. — W świetlicy poda-

ją kawę dla VIP-ów.

— To my się do nich zaliczamy?

— Przy tej okazji jak najbardziej.

Znalazły Simona w otoczeniu grupki młodych nauczycieli oraz ich przyjaciół, którzy jeszcze nie zdążyli wyjechać na wakacje. Wśród nich byli też organizatorzy kursów letnich. Simon żałował tylko, że do świetlicy nie wpuszczono obecnych na jego wykładzie dziennikarzy, przez co nie mógł liczyć na nic więcej niż krótką wzmiankę w jednym czy dwóch czasopismach edukacyjnych. Jak na razie nikt też nie zaproponował mu opublikowania wykładu, a profesor historii rzucił nieco uszczypliwie: — Po mojemu omówiłeś ten temat nadzwyczaj dokładnie, Fawcett. Zwłaszcza lata dwudzieste i trzydzieste. Przypomniał mi się pewien... — i tu wspomniał tytuł podobnego referatu, opublikowanego przed paroma laty. — Musiał wpaść ci w ręce, kiedy opracowywałeś ten temat — dodał na koniec.

Simon przyznał, że rzeczywiście do niego zaglądał i że materiał okazał się niezły i dość przydatny. Tymczasem prawda była taka, że to właśnie ów referat stanowił podstawę i sedno jego wykładu, ale Simon ani myślał się tłumaczyć z tego, że jego praca trąci plagiatem. Kiedy profesor się oddalił, Simon, korzystając z chwili wytchnienia, przywitał się z Dianą i „tą starą zdziwaczalą dewotką”, matką Williama.

Przyjął od nich gratulacje i wszelkie pochwały, siłąc się na skromność, a zarazem dając im do zrozumienia, że mu się należą. W duchu zauważył, że pani Allingham nie boi się go już tak jak zwykle, za to Dianę ogarnęło jakieś dziwne nerwowe podniecenie.

— Trzeba koniecznie podzielić się z panem Fawcettem naszą nowiną, Dian — powiedziała wreszcie pani Allingham.

— Jaką nowiną? — Simon popatrzył po nich, dostrzegając na twarzy Diany nagły rumieniec złości.

— O zaręczynach Penelope — odparła starsza pani.

— Pewnie sam zdążył już o tym przeczytać — zauważyła szybko Diana. — Albo usłyszeć od Penelope — dodała.

—A ja myślałem, że Penelope znosi jeszcze mordęgę wakacyjnego rejsu z ojcem — rzucił sztywno Simon, nie chcąc okazać Dianie, jak bardzo zaskoczyła go ta wiadomość. To zmieniało istniejący między nimi układ.

—I wcale się pan nie myli — zapewniła go pani Allingham, przytaczając mu szczegóły zaręczyn, których dowiedziała się od siostry Huberta Dane’a.

—W takim razie też muszę jej pogratulować — powiedział na koniec Simon, posyłając pani Allingham swój szeroki, wyjątkowo czarujący uśmiech. — Ale zdaje się, że nieczęsto będziemy teraz widywać ją na uczelni.

Rozejrzał się dokoła. Ktoś z drugiego końca sali dał mu znak, więc uprzejmie się pożegnał i zostawił panią Allingham i Dianę w grupce obcych ludzi. Ta druga była wściekła, a jej teściowa niespokojna i nieco zagubiona. Zrozumiała w duchu, nie po raz pierwszy zresztą, że bezmyślnie powtarzane opinie często wywołują szok w konfrontacji z rzeczywistością. Wrażenie, jakie wywarła na niej barwna osobowość Simona, sprawiło, że jej dotychczasowy wizerunek tego człowieka wydał się raczej nędzny i blady. Wywołało to w niej pewnego rodzaju pokorny lęk, którego nie doznała nigdy przedtem.

Simon tymczasem możliwie najszybciej opuścił uczelnię. Kawałek drogi przejechał autobusem, a dalej poszedł pieszo, rozmyślając o Penelope i rozważając się nad tym, że wiadomość od niej całkowicie go ominęła.

Było mu przykro, że Penelope nawet nie raczyła napisać mu o swoich zaręczynach. W duchu przyznał, że bardzo ją lubi i pragnął dzielić jej radość. Czuł się niesłusznie pominięty, a to budziło w nim głęboki smutek. I znów ta sama stara śpiewka. Życie bywa źródłem przyjemności — a zarazem piekielnej udręki. A ludzie wybierają to drugie i z uporem maniaka tworzą sobie własne piekło, zamiast czerpać tylko ze źródła przyjemności, by wszyscy byli życzliwi, szczęśliwi i spełnieni, tak jak on z Dianą, gdy tylko dopisywał jej dobry nastrój, co nie zawsze się zdarzało. Nie miał jednak zielonego pojęcia, co ją dziś ugryzło.

Idąc przed siebie, westchnął głęboko. Ten straszny, zaborczy kobiecy instynkt. Ciągłe musiał się z nim zmagać. Dlaczego one nie umieją cieszyć się nim tak samo, jak on nimi, bez chęci posiadania go na własność? To chyba normalna męska reakcja? Uśmiechnął się lekko i, ku swemu zdziwieniu, po-

wiedział na głos: — Wszystko, czym tylko zechcę być. Ale lepiej stać z boku i się przyglądać. Jeden z najlepszych mózgów... Twórczy umysł...

Mijał ludzi, a gdy co niektórzy odwracali głowy, posyłał im swój chłopięcy uśmiech i wyraźnie dostrzegał, jak odpowiadają mu tym samym.

Penelope. Urocza, słodka Penelope. Oddaje swoje złamane serce jakiemuś chłopakowi, którego ledwo co poznała. A może rana w jej sercu już zdążyła się zagoić? Miał głęboką nadzieję, że tak się stało.

W drodze do mieszkania zdołał nabrać przekonania, że Penelope doszła już do siebie i że na pewno będzie niezmiernie szczęśliwa — przynajmniej na jakiś czas — bo żadne szczęście nie trwa wiecznie, a w małżeństwie najwyżej przez dziesięć lat. Ale skoro jest już szczęśliwa, to on sam może się czuć rozgrzeszony.

Chciał opowiedzieć pomyślny finał tej historii George'owi, ale zaraz po wykręceniu jego numeru i pierwszym sygnale w słuchawce przypomniał sobie, że jego przyjaciel wyjechał za granicę. Zawiedziony i nieco zmarkotniały podszedł do kominka, by przyrzeć się sobie w wiszącym tam lustrze.

A gdy już skupił wzrok na swoim odbiciu, wewnętrzny niepokój powoli ustąpił, a jego miejsce zajęła nieopisana błogość. Czyli jednak w świecie zwątpienia istnieje jeszcze jakaś pewność, w świecie kłamstw jakaś prawda, a w świecie odrzucenia najwyższa potęga akceptacji. W pierwszej i ostatniej świątyni swojego istnienia Simon oddał się samouwielbieniu, oplatając wokół siebie ciasny, niewygodny szal własnej niedojrzałości.

## 5

Dane'owie wrócili do Londynu tydzień później. Penelope zastała ogromny stos listów z gratulacjami i ledwo zdążyła wejść do domu, kiedy rozdzwonił się telefon, odrywając ją od rozpakowywania walizek i całego rytuału powrotu do domu po całomiesięcznych wakacjach.

Mimo wszystko jakoś nie miała ochoty wracać. Jej zaręczyny, do których



doszło pewnej księżycowej nocy w niewielkim porcie naprzeciw wysp Porquerolle, były jak ponowne narodziny i błogosławieństwo ulgi po bólach i cierpieniach z początku lata. Ale teraz jej nastrój uległ zmianie. Tu, z dala od wąskiej, doborowej załogi jachtu, zrozumiała, że prócz zamiłowania Richarda do żeglarstwa tak naprawdę nie zna jego zainteresowań, nawyków, poglądów i nie wie nic o jego codziennym życiu na lądzie. Był młodym, ambitnym adwokatem, któremu nie brakowało sukcesów, a jego rodzice byli dość bliskimi znajomymi jej ojca. Ku swemu zdumieniu rozczuliła się na myśl o Richardzie w zabrudzonych dżinsach i grubym, szerokim szwedzkim swetrze, a chwilę potem czuła niemal strach przed ujrzeniem go w codziennym ubraniu.

Tymczasem następnego dnia czekała ją wizyta, i to dość krępująca, bo bardzo oficjalna. Carringtonowie zaprosili ją i jej ojca na kolację, na której miała być także siostra Richarda z mężem, żeby obejrzeć Penelope jak jakiś eksponat, a następnie uczcić, podpisać, przypieczętować i ogłosić zaręczyny. Już sama myśl o tym przyprawiała ją o mdłości, które z trudem opanowywała.

Wśród licznych telefonujących do niej osób była Diana. Co za wspaniała nowina, orzekła serdecznym, szczerym tonem. A to się Hubert ucieszy. Carringtonowie to przemili ludzie. William widywał się z nimi od czasu do czasu, a ona sama kiedyś była nawet u nich na przyjęciu.

Penelope nie przerywała jej monologu. Diana wprawdzie bardzo słabo знаła Carringtonów, ale co to miało do rzeczy?

—No, to kiedy się zobaczymy, żebyś mogła pokazać nam pierścionek? — spytała Diana.

—Sama nie wiem. Richard idzie dzisiaj do jubilera. Wróciliśmy dopiero wczoraj wieczorem, a jutro jedziemy z tatą do nich na kolację... to znaczy, do rodziców Richarda, i wtedy dostanę pierścionek.

Oto cały Hubert, pomyślała Diana. Wszystko musi być oficjalne, zapięte na ostatni guzik i załatwione jak najszybciej. Że też Penelope się na to godzi!

—To świetnie — rzuciła głośno. — Kolacja na pewno będzie wspaniała. Carringtonowie mają piękny dom. Ale może przedtem zajrzelibyście z Hubertem do nas? To przecież po drodze, prawda? Wypiłabyś drinka, żeby wzmocnić się przed tą ciężką próbą. Chociaż dla ciebie to pewnie nic wielkiego.

—Niezły pomysł — odparła Penelope. — Czuję, że naprawdę przyda mi się coś na rozluźnienie.

— Och, nonsens. Ale w każdym razie czekamy na was o wpół do szóstej. Może być?

—Tak, jeśli tylko uda mi się przekonać tatę.

—Założę się, że teraz tatuś je ci z ręki.

Po suchym pożegnaniu Penelope i zakończonej rozmowie Diana szybko pożałowała tej ostatniej uwagi. Zastanawiając się głębiej, uznała, że jej słowa były zupełnie nie na miejscu i kompletnie pozbawione taktu i dobrego smaku, który od tak dawna chciała w sobie wypracować. Tak czy inaczej, Penny i Hubert mieli się u nich zjawić nazajutrz, a wieczorem Diana oznajmiła to Williamowi i jego matce.

—A niech to — mruknął William i zamilkł.

—O co ci chodzi?

—Bo John właśnie wrócił z Gibraltaru na trzytygodniową przepustkę, a potem odsyłają go na statek Jej Królewskiej Mości. Coś wspaniałego!

—A jak się nazywa ten statek? — dociekała pani Allingham.

—Właściwie nie będzie już pływał na statku. To praca w jakiejś nadbrzeżnej firmie w Portsmouth.

—I pewnie zaprosiłeś Johna tu do nas? — wtrąciła Diana, widząc niepokojącą minę Williama.

— Jak na nieszczęście. Usłyszał czy wyczytał już gdzieś o zaręczynach Penelope, ale nie chce do niej dzwonić, dopóki nie dowie się szczegółów. Zresztą nie wiem, czy w ogóle ma ochotę rozmawiać z nią przez telefon, biedaczysko. Bardzo ciężko to znosi.

—A więc zaprosiłeś go na jutrzejszy wieczór i jeśli nie zmienię umówionej godziny dla niego lub dla Penny, to ci dwoje się spotkają i czeka nas wyjątkowo niezręczna sytuacja.

—Niezręczna to za mało powiedziane — rzekł William. — To będzie przykre dla Penelope i piekielnie nieznośne dla Johna.

—Przynajmniej będą mieli tę bolesną konfrontację już za sobą — wtrąciła śpiesznie pani Allingham. — Nie podoba mi się ta dzisiejsza maniera chro-  
nienia innych przed każdym życiowym cierpieniem.

—A czy życie musi być pasmem cierpień? — spytała Diana.

—Oczywiście. Jako żona lekarza powinnaś to wiedzieć. Cierpienie jest po-  
uczające. Każda oficjalna uroczystość — a zwłaszcza ślub i pogrzeb — to  
świetna okazja doznania godności, ukojenia i rytualnego oczyszczenia z głę-  
bokich emocji, i nie mówię tu o sile i pocieszeniu, które daje religia.

—Nie chcę porównywać zaręczyn Penny do pogrzebu — rzuciła gniewnie  
Diana.

—Mówimy o nadziei Johna, która już pewnie wygasła — wyjaśnił Wil-  
liam, dostrzegając wypieki na twarzy matki.

Obie kobiety zamilkły, pozostawiając problem bez rozwiązania. Diana  
uznała, że lepiej będzie zostawić tę sprawę. Skoro William zaprosił bratanka,  
a ona Dane'ów, to niech się dzieje, co chce. Zresztą nikomu od tego włos z  
głowy nie spadnie.

John przyjechał o szóstej. Przy otwartym oknie zastał swoją babkę, zaczy-  
taną w jakiejś książce. Odłożyła ją, kiedy wszedł do pokoju i schylił się, by ją  
ucałować.

—Nie widziałem cię całe wieki — powiedział z uśmiechem. Mimo jej  
dziwactw, do których zaliczał jej praktyki religijne, darzył ją ogromną sympat-  
ią. — No i jak tam ta wasza kanalizacja?

—Położyli już rury na podwórzu, ale w domu chyba jeszcze nie.

—I musisz się męczyć w tej duchocie tutaj?

—Ależ skąd. Dzieci dobrze mnie traktują i prawie wcale nie wychodzę, bo  
od spacerów po betonie puchną mi kostki. Ten upał rzeczywiście trochę mi  
dokucza, ale William twierdzi, że serce mam w porządku.

—No to świetnie.

Odwrócił się plecami i rozejrzał po pokoju.

—Diana późno wróciła — wyjaśniła spokojnie pani Alling- ham. — Wła-

śnie się przebiera. Zaraz tu będzie.

Skinął głową, spoglądając za siebie na ścianę i na wiszącą tam grafikę, której przedtem nie widział.

—Kochanie, zaręczyny Penny to pewnie dla ciebie straszny cios — ciągnęła staruszka niezmiennie spokojnym tonem. — Trzeba ci wiedzieć, że ona zajrzy tu z ojcem na chwilę dziś wieczorem.

—Penny tu przyjdzie? — spytał przez ściśnięte gardło.

—Niestety tak. Diana ich zaprosiła, jeszcze zanim dowiedziała się o twoim powrocie. — Tu przerwała, po czym dodała cicho: — Tak mi przykro, że się zawiodłeś. Może faktycznie była za młoda, kiedy się poznaliście.

Nie odwracając się, pokiwał głową. — To było zaraz po śmierci jej matki. Mieszkała u Billa i Di. Miała wtedy szesnaście lat i była całkiem załamana. To były jej pierwsze wakacje bez matki... Penny zawsze zwierzała się jej z plotek w szkole i innych spraw. Jej biedna twarzyczka była taka blada i zastygła jak maska. Pamiętam, jak się ucieszyłem, kiedy po raz pierwszy udało mi się ją rozbawić...

—I wtedy się w niej zakochałeś?

—Chyba tak. To musiało się stać już na samym początku. Mamy ze sobą tyle wspólnego. To znaczy, mieliśmy.

Chwilę potem do pokoju weszła Diana, niosąc tacę z kieliszkami i butelkami. John wziął ją od niej i odstawił, po czym ucałował Dianę w policzek.

—Cudownie wyglądasz, Di — przyznał całkiem szczerze. Jej wciąż idealne ciało ubrane było w piękną suknię, jej twarz bez śladu zmarszczek, rozpromieniona radością na myśl o czekającym ich przyjęciu.

—Lizus z ciebie — odparła. — Ale ty też niezłe wyglądasz. Mam nadzieję, że posiedzisz z nami trochę. — Zerknęła w bok, na panią Allingham: — Czy on już wie?

—Jasne, że wie — odparła spokojnie staruszka.

Jej dalsze słowa przerwał dźwięk dzwonka u drzwi. Z twarzy Johna Diana wyczytała jednak, że chłopak jest gotów na to spotkanie.

— To pewnie... — zaczęła, ale John nie dał jej dokończyć.

— Pozwól, że ja otworzę — oświadczył stanowczo, wychodząc z pokoju.

— Biedny John — westchnęła Diana. — Niektóre dziewczuchy mają pstro w głowie.

Pani Allingham nic nie odpowiedziała.

Nawet jeśli Penelope poczuła się zażenowana obecnością Johna, to jakoś nie dała tego po sobie poznać. Wkroczyła do salonu, zdejmując jedwabny płaszcz, a kiedy szła przywitać się z panią Allingham, haftowany gorset jej krótkiej wieczorowej sukni połyskiwał w padających na ukos ostatnich promieniach słońca. John pomyślał, rozgoryczony, że jeszcze nigdy przedtem tak pięknie nie wyglądała. Odwrócił się, by pomóc Dianie rozdać drinki.

Krótko po tym zjawił się William. Z początku wszyscy byli pochłonięci ogólną rozmową, ale z czasem dwoje młodych oddzieliło się od reszty i usiadło razem. Przez parę minut rozmawiali luźno o tym i o tamtym, z trudem wyszukując tematy, aż w końcu ich spojrzenia się spotkały. Pełen cierpienia wzrok Johna sprawił, że oczy Penelope zaszkliły się od łez.

— Przepraszam — rzuciła bezmyślnie.

— A niech to szlag. Przecież masz do tego prawo... Tyle że po tych wszystkich listach, w których pisałaś mi o swoich szlachetnych wyrzeczeniach, trochę mnie to zaskoczyło.

— Musiałam to zrobić.

— Rozpisywać mi się w listach czy ubzdurać sobie następną miłość?

Jego słowa ją zabolaly. — To nie są żadne bzdury. A w ogóle przepraszam, że tak często do ciebie pisałam.

— Pewnie trudno ci się wyzbyć dziewczęcych nawyków, co? — rzucił złośliwie. — Babcia ma rację. Byliśmy za młodzi, kiedy się poznaliśmy.

— Rozmawiałeś z nią o mnie?

— A czemu miałbym nie rozmawiać? Ludzie zawsze są na językach, kiedy szykuje się ślub. Zaczekaj, aż usłyszysz plotki na uczelni. To dopiero będzie coś.

Byli tak przejęci tą żarliwą wymianą zdań, że żadne nie usłyszało nawet, jak otworzyły się drzwi do salonu, tym bardziej że siedzieli do nich tyłem. Za to Diana usłyszała. Zerknęła Hubertowi Dane'owi przez ramię i ujrzała Simona stojącego w otwartych drzwiach, z zadartą głową. Jego ciemne oczy patrzyły niecierpliwym, aroganckim, frapującym wzrokiem. Czekał, aż towarzystwo spojrzy w jego stronę i zauważy jego obecność.

Zerknęła na niego, wściekła, a zarazem przerażona. Za nic by się tego nie spodziewała; co za niebywała lekkomyślność. Pułapka, z której nie ma ucieczki.

Simon zaś napotkał jej spojrzenie i uśmiechnął się, a po chwili do uszu wszystkich obecnych dotarł jego czysty, subtelny głos: — Za Penelope! Żeby żyła długo i szczęśliwie!

Dziewczyna wydała z siebie okrzyk przerażenia. Ręka, w której trzymała kieliszek, podnosząc go do ust, drgnęła tak gwałtownie, że szampan wylał się jej na całą suknię.

Oczy wszystkich skierowały się na nią. John przykląkł na podłodze i zaczął energicznie wycierać chustką mokry jedwab, a Penelope stała jak wryta z pobladłą twarzą i drżącymi dłońmi. Simon znalazł się przy niej w okamgnieniu, zabrał jej kieliszek i zaczął ją gorliwie przeproszać, przejęty, na wpół roześmiany.

—To fatalnie, że aż tak cię wystraszyłem! Nie miałem pojęcia, że mnie nie widziałaś. Strasznie cię przeproszam...

Tymczasem William odzyskał bystrość umysłu. Zabrał Simonowi kieliszek Penelope, szybko zastąpił go pełnym i podał nieproszonemu gościowi.

—Trochę nas zaskoczyłeś — rzucił oschle. — Diana nic mi nie mówiła, że przyjdiesz.

Simon podziękował mu za drinka i odwrócił się do Penelope.

—Czy teraz mogę wznieść należyty toast za twoje zdrowie? — spytał.

Dziewczyna stała, na wpół zwrócona do niego, tuż obok Johna, który po usilnych próbach ratowania jej poplamionej sukni zdążył już wstać z klęczek.

—My też jeszcze za to nie piliśmy — oznajmił William tym samym

oschłym tonem i uniósł kieliszek. — Penelope! — zawołał. — Sto lat i dużo zdrowia i szczęścia!

I wszyscy wypili swoje drinki. Allingham wyciągnęła rękę z kieliszkiem.

— Panie Fawcett, czy mógłby pan go odstawić?

Simon natychmiast odwrócił się w jej stronę, spełnił jej prośbę, po czym stanął przy niej i zaczął zasypywać ją grzecznościowymi pytaniami o instalowaną w jej domu kanalizację. Kobieta w duchu uznała, że Simon jest nieźle poinformowany.

Tymczasem Hubert, uparcie ignorując nieproszonego gościa, który jego zdaniem nie miał żadnego prawa tutaj być, poprowadził Williama do gabinetu za ścianą, by — zgodnie z wcześniej ustalonym porządkiem rzeczy — pokazać przyjacielowi kolorowe slajdy z rejsu.

Widząc, że ojciec się oddala, Penelope próbowała go zatrzymać. Dogoniła go w drzwiach salonu. — Nie mamy już czasu — ponaglała. — Musimy jechać.

Zależało jej tylko na tym, by czym prędzej stąd uciec, ale jej ojciec upierał się przy swoim. — To nie potrwa długo — zapewnił. — Jeśli chcesz, to możesz nam pomóc.

Dziewczyna poszła wtedy po Johna i razem wyszli z salonu.

— Co się dzieje? — zdziwiła się pani Allingham. — Czy to już koniec imprezy?

Była zaskoczona niespodziewaną wizytą Simona, a zarazem zakłopotana tym, że tak uprzejmie ją potraktował. A robił to uroczo, z pewną niewinnością, na co pani Allingham w ogóle nie była przygotowana.

— Poszli obejrzeć slajdy — oznajmiła Diana, udając się w ślad za resztą. — Hubert jest zapalonym fotografem. Ma nawet swój własny rzutnik. Odkąd wrócił z rejsu, wywołuje te paskudztwa, a teraz będzie nas zameczał wynikami swojej pracy. Fotografuje na okrągło to samo: statki, fale i porty.

— Jak ja nie cierpię fal — wtrącił Simon.

Pani Allingham wstała z miejsca. — A ja chętnie obejrzę — orzekła. —

Zresztą to nie potrwa długo, bo Dane'owie zaraz wychodzą.

Diana odprowadziła ją wzrokiem.

—Zrobiła to specjalnie — zauważył Simon. — Wszyscy teraz skaczą wokół Penny. To zabawne, nie?

Ale Diana wcale tak nie uważała. — I po co przyszedłeś? — spytała. — Kompletnie ci odbiło!

—Czy ty przypadkiem trochę nie przesadzasz? Prawdę mówiąc, całkiem zapomniałem, że szykuje się u was jakaś impreza.

—Przecież wyraźnie cię uprzedzałam. Zresztą gorzej już nie mogłeś trafić. Wchodzisz sobie głównymi drzwiami, jakby nigdy nic...

—A niby którędy miałem wejść? Oknem? Czy może przez komin?

—Nie rób z siebie głupka!

W jego oczach nagle pojawił się płomień. — Lepiej uważaj! Nie życzę sobie żadnych wyzwisk! — Po chwili płomień zgasł, a na jego miejscu pojawiły się figlarne ogniki. — Miałem przecież klucze — dodał.

—No właśnie. Sądziś, że William się nie domyśli? W ogóle nie powinienam była ci ich dawać, ale zdawało mi się, że wtedy nie będziesz się rzucał w oczy — wejdiesz zawsze wtedy po cichu, zamiast hałasować dzwonkiem do drzwi w czasie *jej* odpoczynku. Chyba całkiem postradałam zmysły!

W odpowiedzi wzruszył tylko ramionami. Nie interesowały go jej obawy.

—No więc po co przyszedłeś? — ciągnęła Diana, coraz bardziej rozwścieczona. — Co cię naszło, żeby się z nią zobaczyć? Jesteś zazdrosny, bo zareczyła się z kimś innym? Nawet teraz nie możesz zostawić jej w spokoju?

Wpatrywał się w nią chłodnym wzrokiem. — Kiedy się tak złościsz, wyglądasz jak jakaś prostytutka — powiedział. — Twarz ci się zmienia, robisz się brzydka, krnąbrna i wredna. I po co się tak niszczysz?

—Wynoś się! — rzuciła wściekle ściszoneg głosem. — Już cię tu nie ma. Nie trzeba było tu przychodzić.

Wymijając go, opuściła salon, a Simon wolnym krokiem podszedł do okna



i stał tak, patrząc na zewnątrz. Zrobiło mu się żal, ale nie siebie samego, bo nie przejął się zbytnio tym, co przed chwilą usłyszał. Nie. Żal mu było tych wszystkich biednych, udęczonych ludzi, których zastał tu, w salonie. Diany, pałającej niepokromioną żądzą do niego i targanej szaleńczą zazdrością.

I tego nudziarza Williama, i jeszcze bardziej niemrawego od niego Huberta. I tego młodego sztywniaka, co służy w marynarce.

I tej biednej staruszki, pani Allingham, widzącej w Simonie wcielonego diabła, ale niezdolnej się go wyrzec, chyba że na klęczkach przed samym Bogiem. No i Penny, uroczej, głupiutkiej cierpiętnicy...

Słyszając za sobą jej oddech, odwrócił głowę.

—Diana mówiła, że już wyszedłeś — szepnęła.

—Diana lubi wydawać rozkazy, a ja nie zawsze je wypełniam.

Podszedł do niej bliżej. Penelope ani drgnęła.

—Nawet *ona* nie może mnie mieć na własność, wiesz? — powiedział łagodnie.

Penelope doskonale zrozumiała, co miał przez to na myśli. Przymknęła oczy. A więc to Diana była tą kobietą, tą najdroższą kochanką, którą tak uwielbiał. Nikt inny, tylko właśnie Diana, kobieta w średnim wieku! Musi być od niego dużo starsza. Choć może wcale nie, bo podobno jest sporo młodsza od Billa. Ale tak czy inaczej...

—Spójrz na mnie — poprosił Simon.

Otworzyła oczy, spuszczać wzrok na podłogę, żeby nie dać mu poznać swoich myśli.

—Wciąż jesteś taka nieszczęśliwa. Dlaczego? — drażył. — Myślałem, że zobaczę cię promieniejącą z radości i chciałem cieszyć się razem z tobą, ale zastałem cię taką bladą i smutną.

I nawet nie masz mi nic do powiedzenia.

Podniosła na niego nieśmiałe spojrzenie. — Nie usłyszałyś ode mnie nic nowego — wyjąkała z trudem. — Może poza tym, że wiem już o Dianie...

Zbliżył się do niej o krok. — Diana ciągle się czepia — poskarżył się. — Dość już mam jej nieustannych zarzutów. — Oparł dłonie na jej ramionach. — Ty nigdy się mnie nie czepiasz, prawda? Biedne dziecko, ani razu nie powiedziałaś złego słowa. I za to jestem ci coś winien... — Jego ręce oplotły ją i przyciągnęły bliżej. — Te twoje zaręczyny to jakaś przykrywka? Bo jeśli tak, to nigdy nie będziesz szczęśliwa.

—Ale teraz jestem — szepnęła, nie bojąc się już spojrzeć mu w oczy. A kiedy ją pocałował, czuła, że całe jej życie leży u jego stóp.

Jednak Simon ani na chwilę nie stracił czujności i nawet gdy trzymał ją w ramionach, po raz kolejny celebrując swoją wyższość, zdołał usłyszeć dźwięk otwieranych drzwi. A kiedy w salonie pojawił się John, Simon zdążył już podnieść głowę i opuścić ręce.

Penelope było już wszystko jedno. Czuła, że unosi się gdzieś ponad światem, jakby owinięta w jakąś promieniejącą chmurę, która przysłaniała jej wszystko prócz niej samej, pławiącej się w rozkoszy. Odsunęła się nieco od Simona, bez słowa.

—Pani Allingham prosi o okulary — oznajmił John, doskonale wiedząc, co się święci. Simon był szybki, ale wyszkolony w sztuce obserwacji John okazał się jeszcze szybszy. Simon stał odwrócony do niego plecami i John zobaczył twarz Penelope.

Simon natychmiast przyłączył się do poszukiwania okularów i właśnie on znalazł je w szarym, skórzanym etui na podłodze, tuż obok fotela pani Allingham. Ale gdy podał je Johnowi, tamten machnął ręką. — Najlepiej będzie, jak sam jej zanieziesz — powiedział. — Nie widziałeś jeszcze slajdów Huberta.

—A szkoda, bo właśnie wychodzę — rzucił cicho Simon, kładąc okulary na małym stoliku, po czym zwrócił się do Penelope. — Będę w Margot do dziewiątej — oznajmił, niespiesznym krokiem udał się do drzwi i już go nie było.

—Może byś je zaniosiła? — spytał John, wskazując na okulary.

Ale Penelope sprawiała wrażenie, jakby dopiero co wróciła z innej planety. — Strasznie cię przepraszam — powiedziała zmiennym, niekontrolowa-

nym tonem. — Gdzie mój płaszcz? — Roztargniona, popatrzyła dookoła. — Daję głowę, że kładłam go gdzieś tutaj. Pewnie Diana go zabrała... Tylko gdzie, do diaska?

— Leży na krześle, tam, w kącie — zauważył John. — Ale po co ci teraz płaszcz?

— Jak to, po co? Przecież zaraz wychodzę — roześmiała się. Jej gwałtowne, nienaturalne rozbawienie wywołało na wargach Johna ponury grymas.

— W takim razie powiem twojemu ojcu. Najwyższy czas na was. I tak jesteście już spóźnieni.

— Nie, John! — Tym razem był to nagły odruch paniki bez krzty sztuczności. — Nie rób tego. Wychodzę teraz sama. I nie waż się mu o tym mówić, dopóki stąd nie wyjdę!

— Nie możesz! — zawołał, po raz pierwszy zaszokowany potwornością jej słów.

— Mogę i tak właśnie zrobić. Już dłużej tego nie wytrzymam! Sam dobrze wiesz, dlaczego!

Próbował jeszcze ją namawiać, ale bez przekonania, widząc, że jego działanie przynosi dokładnie odwrotny skutek. — Nie możesz tak po prostu odejść! To będzie katastrofa!

— Katastrofa była już od samego początku. Ale teraz koniec z tym. Jeśli ktoś spyta, to będę w Margot do dziewiątej.

Chwyciła płaszcz, włożyła go niezdarnie na siebie i otulając się nim, pobięła do drzwi. John stał jak wryty i patrzył za nią. Nie drgnął nawet, gdy chwilę potem do salonu weszła pani Allingham.

Opowiedział jej, co się stało. Zdesperowana kobieta złapała się za głowę. — No to się spóźniłeś — orzekła.

— Na to wygląda.

— A mogliśmy temu zapobiec.

— Chyba tak.

Spojrzeni po sobie.

—Oboje jesteśmy temu winni — przyznała pani Allingham zrozpaczonym tonem. — Tej dziewczynie grozi straszne niebezpieczeństwo.

Na te słowa John poruszył się. — Gdybym wiedział...

—Nie, John. Nic nie możesz zrobić. Zupełnie nic. On jej nie skrzywdzi.

—Ale znowu złamie jej serce.

—Gdy tylko lepiej go pozna, sama się od niego uwolni.

—Daj Boże, żebyś miała rację.

Wtedy do salonu weszli William i Hubert, ten drugi nieco zniecierpliwiony. — No chodźże, Penny! Na nas już czas. Gdzie się podziała ta dziewczyna?

Tylko pani Allingham miała odwagę się odezwać: — Penny uciekła, Hubercie. Powiedziała Johnowi, że już dłużej tego nie wytrzyma.

—Jak to, uciekła? Co to, do diabła, ma znaczyć?

—Po prostu uciekła. A to oznacza zerwanie zaręczyn.

—*Uciekła!* — wykrztusił William, nie mogąc znaleźć innych słów, by wyrazić swoje zaskoczenie.

—Co się stało? — spytała podniesionym głosem Diana, która nagle pojawiła się w drzwiach.

—Penny uciekła — oznajmił jej John. — Stchórzyła. Poczwała nagły przypływ uczciwości. No i dokonała wyboru.

—A gdzie Simon?

—Wyszedł chwilę przed nią.

—A skąd wiesz? Byłeś tutaj?

—Tak. Fawcett wyszedł sam, a chwilę po nim Penny.

Zapanowała długa cisza, aż wreszcie William zwrócił się do przyjaciela: — Zdaje się, że trochę przedłużyłeś ten pokaz slajdów. A Penny chciała wyjść wcześniej, prawda? Może po prostu jej się znudziło i poszła sobie. Lepiej ru-

szaj do Carringtonów — udawaj, że postanowiliście przyjść osobno. Ona pewnie już tam jest.

Wszystkie oczy zwróciły się na Johna.

— Powiedziała, dokąd idzie? Czy naprawdę poszła do Carringtonów?

Ale John się nie odezwał, a chwilę później dał się słyszeć szept pani Allingham: — Boże, przebacz nam wszystkim to, co dzisiaj przeoczyliśmy.

## 6

Przez najbliższe parę tygodni po swoim koszmarnym przyjęciu Diana trwała w stanie skrajnego niepokoju, zazdrości, strachu i gniewu, niepokieszona brakiem jakichkolwiek wieści o tych dwojgu, którzy wpędzili ją w tę udrękę. Głos zdrowego rozsądku zabraniał jej wypytywać Williama o jakiegokolwiek kontakty z jego przyjacielem, jednak tamtego wieczoru po przyjęciu ten sam głos nakazał jej zagadnąć męża na temat upokorzenia Huberta.

Rozmowa nie przyniosła żadnych rezultatów. Ani William, ani pani Allingham nie mieli ochoty wracać do tematu, a przy tym żadne z nich nie wspomniało imienia Penelope ani Simona i dlatego jej usilna chęć skierowania rozmowy na te tory niosła ze sobą pewne ryzyko, a wręcz niebezpieczeństwo. Dianę, jak zwykle, zdumiało też podejście męża. Czy wiedział cokolwiek o jej romansie z Simonem? Czy w ogóle coś podejrzewał? Te pytania wołała jednak pozostawić bez odpowiedzi.

Mimo to ciekawość rosła w niej z każdym dniem. Simon wciąż nie przychodził, a znając jego brak szacunku dla poglądów i uczuć innych, Diana dobrze wiedziała, że wcale nie chodzi mu o to, by uniknąć kontaktu z Williamem czy jego matką. Czy aż tak głęboko go uraziła? To niemożliwe. Przecież już nie raz się kłócili. Zwykle kończyło się na tym, że ona wściekała się na niego, a on zamykał się przed nią i odwracał wzrok, jakby zakładał jakieś przesłony na te swoje ciemne oczy. Ale to nigdy nie trwało długo. Zresztą teraz też nie minęło jeszcze zbyt wiele czasu. Po co w takim razie się niepokoić? Jednak Diana doskonale знаła prawdziwe powody swoich lęków.

Penelope. Podstępna, zdraдлиwa Penny. Oszukała tego biednego, młodego chłopaka. Potraktowała go tak podle i niegodziwie. Na samą myśl o zdradzo-nym Richardzie Diana czuła, jak zalewa ją wzmożona fala oburzenia.

Aż w końcu jej ciekawość wzięła górę nad dumą i rozważą. Zadzwo-niła do rezydencji Huberta i poprosiła do telefonu Penelope, ale wtedy jakiś przy-tłumiony damski głos oznajmił jej, że panienska Penelope już tu nie mieszka i że wyprowadziła się do mieszkania panienski Caroline Feathers w West Ken-sington.

Diana z miejsca postanowiła tam pojechać. Skoro Penny zamieszkała u przyjaciółki, to stwarzała jeszcze większe zagrożenie niż kiedykolwiek. Trze-ba ją nakłonić, by wróciła do domu. Ciekawe, z czego w ogóle się utrzymuje? Z pewnością Hubert nie opłaca jej życia poza domem w zaistniałych okolicz-nościach?

Nazajutrz wczesnym rankiem Diana udała się do mieszkania Caroline i, na swoje szczęście, zastała tam Penny, która właśnie zmywała naczynia po śnia-daniu. Przyjaciółki akurat nie było.

— O rany! — rzuciła Penelope, usiłując uśmiechnąć się na powitanie. — Skąd wiedziałaś, że tu jestem?

— Podali mi ten adres u ciebie w domu.

— A tak, chyba mogłam się tego spodziewać. Chciałam tylko, żeby dostar-czali mi pocztę.

Zaprowadziła Dianę do małego saloniku. Rozrzucana na sofie pościel su-gerowała miejsce noclegu dziewczyny.

— Co to wszystko ma znaczyć? — spytała Diana tonem tak beztroskim, na jaki tylko było ją stać. Najpierw musiała ustalić fakty, a dopiero potem przejść do połajanki.

— Przecież nie mogłam już dłużej mieszkać w domu.

— A to dlaczego?

Penelope rzuciła Dianie takie spojrzenie, że serce w niej zamarło. Dziel-wczyna wyraźnie dojrzała i nabrała pewności siebie. Odpowiedź była tak oczywista, że Diana aż się wzdrygnęła:

— Carol już od dawna nalegała, żebym się do niej wprowadziła, bo dla niej samej jest tu za drogo. Nie chciałam zostawiać taty, ale teraz pewnie sam wołałby pozbyć się mnie z domu...

— Tak powiedział? Dlaczego?

— Zdenerwował się, i tyle. Zresztą wcale się mu nie dziwię. To był błąd, i chyba z niczyjej winy.

— Jak to, z *niczyjej winy*?!

Penelope znowu posłała jej to łagodne, wyrozumiałe spojrzenie, które doprowadzało Dianę do rozpaczki.

— Zachowujesz się w tak skandaliczny sposób, a potem twierdzisz, że to z *niczyjej winy*?

— Wiem, że mnie nie zrozumiesz — odparła Penelope. — Właściwie to nawet trochę mi ciebie żal. Ale chyba sama mogłaś się domyślić, że to nie przetrwa.

A więc Simon jej powiedział! Diana pobladła na twarzy. Jej najgorsze przeczucia właśnie się spełniły. Ale niech ją szlag, jeśli pozwoli tej dziewczynie nad nią zatriumfować.

— Simon lubi się przechwalać, co? To taki uroczy chłopięcy nawyk. Ale widziałam się z nim... wczoraj i wydawał się taki sam jak zawsze.

— Wczoraj nie mogłaś się z nim widzieć — odparła spokojnie Penelope. — Byliśmy na północnych wzgórzach nieopodal Dorking. — I poszła do małej kuchenki odwiesić ścierkę do naczyń, którą przez cały ten czas trzymała w ręce. — Przepraszam, ale zaraz wychodzę — oznajmiła po powrocie. — Pracuję sezonowo w sklepie, żeby zarobić na wakacje.

— A gdzie wyjeżdżasz? — dociekała Diana, ledwo się hamując, by nie uderzyć tej małej dziwki w twarz.

— Na festiwal do Arles. To wspólna impreza dla całej uczelni.

— Jak to, wspólna?

— No, dla studentów i wykładowców. Simon też tam będzie... — uśmiechnęła się, nie przez złośliwość, ale z czystej radości. — I dlatego właśnie jadę.

— Jak możesz? A twój biedny ojciec...

— Och, błagam cię! — Penelope powoli traciła pewność siebie. — Nie masz prawa tu przychodzić! — wybuchła. — I to właśnie ty! Co za... bezczelność! Jasne, że nie chciałam denerwować taty, ale to moje życie, a nie jego! I chyba powinnam robić po swojemu, nie? Bo to tylko i wyłącznie moja sprawa!

— A Richard?

W oczach Penelope zabłyśły łzy. — Wszystko mu wyjaśniłam. Zresztą wiedział od początku. I rozumie, jak bardzo jest mi przykro za to, że dałam się tak zwieść...

— W takim razie Simon za to odpowie!

— Och, nie bądź idiotką! Mówię, że Richardowi dałam się tak zwieść.

Diana poczuła, że jeśli zostanie tu choć chwilę dłużej, to zemdleje. Albo zacznie wrzeszczeć. Albo udusi Penelope. Wstała, zaciskając wargi w zaciętym wyrazie. — Ty chyba postradałaś zmysły — rzuciła cicho przez ściśnięte gardło. — Znam Simona dużo lepiej niż ty. I mogę ci przysiąc, że nie zaznasz już szczęścia.

— Wielkie dzięki — mruknęła pod nosem Penelope. Bynajmniej się nie wystraszyła i miała nadzieję, że nie umknęło to uwadze Diany.

Tego wieczoru Diana opowiedziała Williamowi o spotkaniu z dziewczyną. Najpierw nic nie mówił, a kiedy wspomniała o nadchodzącym wyjeździe Penelope do Francji, od razu podniósł wzrok. — A więc to o to chodziło Hubertowi — rzekł.

— Nie rozumiem.

— Byliśmy dziś razem na lunchu. W ciągu ostatnich dwóch tygodni widziałem się z nim już kilka razy. Strasznie przeżywa tę całą sprawę z Penny. Najpierw chciał ją wyrzucić, starym, paskudnym wiktoriańskim zwyczajem, żeby jej noga więcej u niego nie powstała, i takie tam, ale wybiłem mu to z głowy. Namówiłem go, żeby nadal dawał jej kieszonkowe. Zawsze dawał jej pieniądze na ubrania i inne rzeczy, oprócz zapłaty za prowadzenie domu.



Zresztą u tej małej Feathers jest jej chyba całkiem wygodnie, co?

—Może i tak, jeśli za wygodę uważasz spanie na sofie w pokoju dziennym, w ciasnym, dwupokojowym mieszkaniu, przerobionym z jednego większego pomieszczenia w starym domu, gdzie funkcję kuchni spełnia zwyczajny krendens, a z łazienki korzysta się wraz z lokatorami dwóch podobnych mieszkań.

—Wiele dziewcząt żyje w takich warunkach.

—Bo nie zaznały takiego luksusu jak Penny. No, ale może jej się odechce.

—Albo i nie. Hubert mówi, że znalazła jakąś pracę.

—W sklepie, żeby zarobić na wakacje z Simonem. Czy może na miesiąc miodowy?

—Aleś ty złośliwa.

—Tak? Za to ciebie w ogóle nic to nie obchodzi. A ja myślałam, że Hubert to twój przyjaciel.

—Jasne, ale nigdy nie podobało mi się, jak zaczął traktować Penny po śmierci jej matki. Zbyt wiele od niej wymagał, a przy tym jeszcze ją zaniebdywał. Nic dziwnego, że wreszcie się wyrwała. Czasy się zmieniły.

—To znaczy, że *pochwalasz* jej zachowanie.

—Powiedzmy, że nie mam nic przeciwko.

Utkwił w niej nieruchomy wzrok, zmuszając, by spojrzała mu prosto w oczy. Poczwała, jak policzki jej płoną. I znowu o mały włos nie doszło między nimi do spięcia. William zastanawiał się, czy nie zaryzykować i nie doprowadzić sprawy do końca, ale Diana wycofała się, przerwała rozmowę i uciekła z pokoju pod pretekstem jakichś obowiązków. William westchnął. Nawracające poczucie wstydu nie miało końca, chyba że, z takiego czy innego powodu, udałoby się wykurzyć stąd Simona.

To jednak oznaczałoby wielką stratę dla uczelni. Czyżby cenił to sobie wyżej niż własną żonę, zastanawiał się z żalem, a potem zadał sobie w duchu pytanie, kiedy ostatnio tak naprawdę ją przytulał, nie licząc początków ich małżeństwa. Zapytywał się też, na ile odczuwałby jej stratę, skoro przez cały beztroski dzień w pracy potrafił całkowicie o niej nie myśleć.

Przy następnej okazji, gdy mógł porozmawiać sam na sam z matką, William spytał ją, czy Diana przekazała jej najnowsze wieści o Penelope.

—Nie — odparła pani Allingham. — Diana nieczęsto mi się zwierza.

—Nie trzeba zaraz się zwierzać, żeby zdać relację.

—Doskonale wiesz przecież, co mam na myśli.

—Rzeczywiście, i z tego powodu właśnie mi przykro. Miałem nadzieję, że się obie zaprzyjaźnicie.

— Przecież całkiem nieźle się dogadujemy — zapewniła go.

—A to chyba dobry znak.

William nic na to nie odpowiedział.

—No, to mów, co tam u Penny — dodała pani Allingham łagodnym tonem.

Zrobił, jak prosiła, powtarzając to, co usłyszał od Huberta i od Diany po jej spotkaniu z dziewczyną. Pani Allingham przyjęła to spokojnie, wzdychając cicho.

—Diana pewnie bardzo się martwi? — spytała wreszcie.

—Niestety. Ma duże obycie towarzyskie i chyba jest jeszcze większą tradycyjalistką niż ja.

—Ale żadne z was nie dorówna pod tym względem Hubertowi. Musiał przeżyć prawdziwy koszmar u Carringtonów.

—Rzeczywiście. Najpierw wszyscy czekali na Penny, a potem Richard wpadł w panikę, myśląc, że dziewczyna miała wypadek, i nalegał, by zatelefonować do rezydencji Huberta, a potem na policję i jeszcze obdzwonić szpitala. Czekać na wieści, Carringtonowie postanowili zasiąść do kolacji. Hubert sądzi, że już wtedy zaczęli podejrzewać, co się stało. Kolacja upłynęła w przykłej atmosferze, a następnie był telefon do Richarda. To Penny zadzwoniła oznajmić mu, że nie przyjdzie, że napisze do niego list i że wprowadziła się do Caroline. Błagała, żeby wszystkich przeprosił, także jej ojca.

—Co za bezczelność! — rzuciła pani Allingham, wielce oburzona.

— Trzeba mieć niezły tupet! — dodał William. — Niełatwo jest coś takiego powiedzieć, zwłaszcza dla Penny, która tak bardzo boi się zranienia uczucia innych. Lepiej było nie dzwonić, to sami by się domyślili.

— To dopiero byłoby podłe.

William spojrział na nią gniewnie. — No a ty, mamo? — zapytał. — Wiedziałaś przecież, dokąd ona poszła?

— A skąd.

— Za to John wiedział, prawda?

— Tak.

— To dlaczego nie naciskałaś na niego, żeby się wygadał? Spiskowaliście razem, żeby zataić to przed Hubertem?

Nic nie odpowiedziała.

— No powiedz, dlaczego? Myślisz, że nie wiem?

— Skoro już wiesz, to po co jeszcze o tym mówić?

W duchu przyznał jej rację. Matka zrobiła to dla jego dobra, a John dla swojego własnego. — Tak czy inaczej, muszę powiedzieć Johnowi, gdzie ona teraz jest — dodał.

— Myślę, że Penny sama już to zrobiła — odparła łagodnie pani Allingham. — Zawsze mu pisze, co się dzieje w jej życiu.

— Ale o zaręczynach jakoś nie napisała. Myślisz, że napisze mu o tym wszystkim...?

Pani Allingham westchnęła. — Sama nie wiem. Tak naprawdę mnie też niewiele wiadomo o *tym wszystkim*, jak to ująłeś. Ale to się skończy, i to pewnie całkiem niedługo, a wtedy Penny wreszcie się uwolni.

— A niby dlaczego ma się skończyć? Może jeszcze nawet się nie zaczęło, a Penny wszystko sobie uroiła.

— Ten człowiek to samo zło, nikczemne wcielenie pychy i egoizmu. Ma gdzieś wszelkie zasady, czy to moralne, czy duchowe, życiowe zresztą też. A zło zawsze niszczy się samo i sprowadza na siebie koniec.

— Mówisz ogólnikami i pomijasz cały ogrom krzywdy, którą wyrządza po drodze. Nie umiem tu myśleć kategoriami dobra i zła, bo to nazbyt sensacyjne i chaotyczne. Muszę się doszukać jakiejś konkretnej skazy czy zaburzenia. Bo tak naprawdę wiemy przecież, że Simon nie zrobił nic, co odbiegałoby od normy w dzisiejszym niemoralnym świecie. Nie widzę żadnych powodów, dla których można by publicznie go potępić. Jest wyjątkowo skryty. Dajmy na to, te wakacje —jadą w grupie dwudziestu osób. Założę się, że jeśli dojdzie do jakiegokolwiek skandalu, to Simon już postara się, żeby to wyszło na zwykłe oszczerstwo i zostało stłumione w zarodku.

— W każdym razie to zły człowiek — powtórzyła pani Allingham. — Zobaczysz, z czasem sam się o tym przekonasz.

Hubert Dane, który odwiedził ich krótko po tej rozmowie, bez namysłu przyznał jej całkowitą rację.

— Ale do Williama to nie dociera — orzekła smutno. — Lekarze nie znają poczucia grzechu, prawda? Mają bardzo płytką moralność. Co nie znaczy, że William...

— Ależ nie, oczywiście. Doskonale panią rozumiem. On dopatruje się u Fawcetta jedynie wad czy zaburzeń hormonalnych, co zresztą na jedno wychodzi, prawda? Wiadomo przecież, że każdy specjalista upiera się przy swoim, nawet wbrew zdrowemu rozsądkowi. A swoją drogą, co za różnica, czy stoi za tym choroba, czy świadoma podłość, zważywszy na *skutki* jego postępowania? Ci, którzy ucierpieli z powodu Fawcetta, wcale nie odczują ulgi tylko dlatego, że lekarz dopatrywał się u niego choroby.

Pani Allingham pokiwała głową. — Tak czy inaczej, nic na to nie poradzimy — orzekła. — Możemy tylko mieć nadzieję, że dobre serce... czy choćby rozważa Penny w końcu zwycięży.

Twarz Huberta pociemniała. — Nie mam zamiaru ryzykować — oświadczył. — Zasięgnąłem tu i ówdzie języka o tym człowieku. Wygląda na to, że to czarny charakter, o wiele gorszy, niż sugerował William.

— Nie rozumiem.

— Chodzi o innych studentów na uczelni. I o kobiety, w tym jedną spoza studenckiej braci. Jakiś czas temu słyszałem o pewnej strasznej sprawie: po-

dobno ktoś popełnił przez niego samobójstwo, skacząc ze statku.

Twarz pani Allingham skrzywiła się z przerażenia. — Och, może to był wypadek?

—Całkiem możliwe, niestety. Ale jest jeden dowód, którego nie chcą opublikować. Na pokładzie była impreza. Kilku pasażerów widziało tę osobę... była niezle wstawiona i stała oparta o poręcz. Iluminatory w kajutach były zamknięte. Jednak nikt nie widział, jak to się stało. Ten ktoś po prostu zniknął.

—A rozmawiałeś z ich lekarzem pokładowym?

—Jasne. Mówiłem już, że zamierzam zebrać wszystkie możliwe dowody.

Do pani Allingham dotarło wreszcie, jak straszliwa nienawiść targała przyjaciелеm jej syna. — Zemsta nie należy do naszych praw, Hubercie — zaczęła, ale uciszył ją gwałtownym gestem.

—I tak zdobędę, co trzeba — powiedział ściszym głosem. — Już ja go zniszczę.

—I co ci z tego przyjdzie? — Przerażona pani Allingham podniosła się z miejsca, przeszła przez pokój i położyła dłoń na ramieniu Huberta. — Taki skandal nie pomoże Penny, a wręcz tylko jej zaszkodzi. Nawet jeśli to przez pana Fawcetta skłóciliście się z Carringtonami, to czy naprawdę Penny byłaby z Richardem szczęśliwa? Czy nie lepiej, że w porę zdała sobie sprawę z tego, że nie bardzo jej na nim zależy?

Hubert wstał, strząsając sztywną dłoń kobiety.

—Gdyby zerwała zaręczyny nieco później, nie powiedziałbym ani słowa i nie kiwnął palcem, ale to była zniewaga dla nas wszystkich, także dla Penny. Taka arogancja jest niewybaczalna, a wręcz niebezpieczna. Dlatego muszę go zniszczyć i nic mnie nie powstrzyma. Ten człowiek to morderca. Ten biedak, co się utopił... jest ofiarą morderstwa, zupełnie jakby Fawcett własnoręcznie wypchnął go za burtę. A zabójcy zasługują na śmierć.

— Mylisz się — odparła pani Allingham, zbierając się w sobie. — Nie wolno nazywać zemsty sprawiedliwością. Błagam cię, i to dla dobra nas wszystkich: daj sobie spokój z tym okropieństwem, bo przy okazji zaszkodo-

dzisz też sobie, zniszczysz swoją reputację i zrujnujesz karierę. Wiesz, jaki on jest sprytny, a przy tym bardzo ostrożny. Daj sobie spokój, Hubercie. Już sama myśl o tym, co wyczyniasz i jak to może wpłynąć na Williama, Dianę i Penny, wręcz mnie *przeraza!*

— Mówi pani o nim tak, jakby był nie z tego świata — zauważył Hubert, wykrzywiając twarz w niemiłym, szyderczym uśmiechu. — Ale ja mam swoje zdanie. Wszyscy przestępcy są tacy sami, dobrze o tym wiem. Mogą się wydawać bystrzy na swój prostacki sposób, ale tak naprawdę nie dorównują nam ani inteligencją, ani zaradnością. Aż w końcu, kiedy się ich porządnie przyciśnie, sami się wygadają i wtedy można ich przymknąć. No i zniszczyć.

Pani Allingham nic nie powiedziała i po chwili Hubert wyszedł. Jednak jej niepokój nie minął. Dręczył ją tak bardzo, że jeszcze tego samego dnia wieczorem zdała Williamowi szczegółową relację z tej rozmowy, i to w obecności Diany. A później jeszcze powtórzyła wszystko Johnowi, który przyjechał do nich z Portsmouth na cały dzień. Pomyślała, że skoro nie zdoła odwieść Huberta od jego niecnych planów, to powinna przynajmniej przestrzec wszystkich dookoła. Uznała, że Penny dowie się od Johna. A może któregoś dnia sama zaproponuje, by zaprosić dziewczynę na kolację, by zachęcić ją do podtrzymywania dawnych znajomości. Co do samego Fawcetta, to nawet jej przez myśl nie przeszło, by się z nim skontaktować. Wciąż głęboko wierzyła, że za sprawą sił boskich zło ulegnie samozniszczeniu. Szczerze przekonana, że tak się stanie, nie zamierzała, rzecz jasna, ingerować w to pozaziemskie prawo ani przeciwstawiać się sile wyższej.

## 7

Uczelniany wyjazd na festiwal do Arles okazał się na pozór bardzo udany. Studenci, przynajmniej w przeważającej części, byli zachwyceni, a starsi uczestnicy, wykładowcy oraz ich znajomi też byli zadowoleni, bo nawet jeśli uczelnia nie pokryła całkowicie kosztów przejazdu, to ich wydatki i tak były mniejsze z uwagi na zbiorowy charakter imprezy.

Podczas tych dwóch tygodni Simon wiódł prym w grupie; zabawiał, służył

pomocą i organizował czas, a noce spędzał z Penelope.

Nie było to trudne, bo całą grupę zakwaterowano w tym samym hotelu. Choć dziewczyna przeżywała duży stres, zwłaszcza że dla niej miały to być dwa tygodnie niczym niezmaconego błogostanu. W mieszkaniu u Caroline mogła przynajmniej liczyć na wyrozumiałość i trochę prywatności, a tutaj bez przerwy dokuczał jej strach przed zdemaskowaniem, ujawnieniem i kompromitacją. I to nie wobec studentów, bo ci najwyżej dziwiliby się, że to właśnie jej udało się zdobyć to, co wielu innym nie było dane. Bardziej obawiała się starszych uczestników imprezy, wiernie dbających o renomę uczelni, którzy zdawali sobie sprawę, że wśród ich francuskich rówieśników panują raczej staroświeckie poglądy. To głównie przez nich mogła mieć kłopoty po powrocie do Anglii.

— Przecież nie jesteśmy tu jedyną parą — oznajmił Simon, ubawiony jej rozterkami. — Mógłbym ci wymienić co najmniej jeszcze trzy, ale sama dobrze wiesz, o kim mówię, więc tego nie zrobię.

Penelope nic nie odpowiedziała. To był cały Simon: uwielbiał intrygi, a sprowadzanie każdego związku, czy to miłosnego, idyllicznego czy choćby niewinnego, do czystej żądz, sprawiało mu dziką przyjemność. A wciąż zuroczona i zakochana Penelope była zbyt uczciwa, by przeoczyć niszczytel-ski wpływ jego wad.

Z dnia na dzień stawała się coraz bardziej niespokojna. Jej krytycyzm, z początku znikomy, przybierał teraz na sile i chcąc przekonać samą siebie o jego bezpodstawności, Penelope zaczęła domagać się od Simona więcej czasu i uwagi, na co on od razu uciekał się do uników. Któregoś popołudnia zauważyła, że przyłączył się do innej grupy niż ta, do której należała, nie mówiąc jej o tym ani słowa. Przez trzy godziny dręczyła się podłym, upokarzającym uczuciem zazdrości, a kiedy Simon, jak zwykle, odwiedził ją w nocy, zastał ją siedzącą po ciemku przy oknie w ubraniu, zapatrzoną w dal.

— Już myślałam, że nie przyjdiesz — rzuciła tylko.

— Dlaczego?

— Nic mi nie mówiłeś, że wychodzisz z paczką Anthei.

— Naprawdę? A co to właściwie ma do rzeczy?

Jego obojętność sprowokowała ją do wylania z siebie całej goryczy.

— Nie możesz być taką zaborczą egoistką — odezwał się wreszcie spokojnym tonem. — Przecież to nic złego, jeśli od czasu do czasu się rozdzielimy. A poza tym już o nas gadają. Nie możemy pozwolić, by dalej rozpuszczano takie plotki.

— Ale mogłeś chociaż mi *powiedzieć*. Wcale nie chcę być, jak to określiłeś, zaborczą egoistką, ale nawet taka błahostka jak to, że nie raczyłeś mi słowem wspomnieć, po prostu mnie zabolęła.

Nic nie odpowiadał.

— Kocham cię, Simon — ciągnęła rozpaczliwym tonem. — A miłość to coś więcej niż tylko sprawy łóżkowe. To także zaufanie, dzielenie się wszystkim i...

Przerażał ją cień jego sylwetki za jej plecami; stał tak cicho i nieruchomo. Dzieliący ich mur, który runął na przyjęciu u Diany, znów wyrósł między nimi. A już myślała, że zniknął na zawsze. Głęboko w duchu zaniechała dalszej walki, bo nagle zdała sobie sprawę, że jej niezadowolenie co najmniej w połowie spowodowane było czystą, zwyczajną nudą. Jego obojętność, częste zamykanie się w sobie i długie chwile milczenia, kiedy pozostawali sam na sam, były po prostu śmiertelnie nudne.

Jej umysł otrzeźwiał, ale serce miało się dziko od takiego bluźnierstwa. — Kocham cię, skarbie — powtórzyła żalnym tonem.

— W takim razie skończ z tą romantyczną gadką i chodź do łóżka, bo jak na tak nowoczesną dziewczynę opowiadasz fenomenalne bzdury.

— Kocham cię, ale ty mnie nie kochasz.

— Naprawdę? Chodź do łóżka, to ci pokażę...

Kiedy potem wyszedł, znów była mu oddana całym sercem, jednak głosu rozsądku, który już raz się w niej odezwał, nic nie zdołało uciszyć.

Wracali do Anglii pociągiem i promem, podobnie jak w tamtą stronę, tyle że w nieco mniejszej grupie, bo kilkoro studentów postanowiło przez kolejny tydzień pojeździć po Francji autostopem, a jeden z wykładowców, który przyjechał wraz z rodziną, został tam aż do pierwszego tygodnia września.



W Dover od grupy oddzieliło się jeszcze kilka osób. Do rozpoczęcia nauki pozostało parę ładnych tygodni i większość studentów jechała do swoich domów, a część z nich mieszkała poza Londynem. I tak w wagonie pociągu, który zabrał ich z terminalu promowego, Penelope i Simon znaleźli się zupełnie sami i na Victorii wysiedli szybciej niż trzymająca się razem nieliczna reszta grupy.

Penelope złapała taksówkę, bo Simona jakoś nie interesowało, co się dzieje wokół niego. Podała adres jego mieszkania w Kilburn, co też całkiem zignorował. Dopiero gdy dźwigali walizki obskurnymi schodami do jego mieszkania na piętrze, uśmiechnął się słabo. — Jeszcze nigdy u mnie nie byłaś, co? — zauważył.

— Bo jakoś mnie nie zapraszałeś.

— I bardzo dobrze. Tak zawsze bezpieczniej.

— To znaczy, że mam sobie pójść?

— Za chwilę. Ale wejdź, skoro już tu jesteś.

Nie były to zbyt zachęcające słowa, podobnie jak widok, kiedy Simon otworzył drzwi do mieszkania. Prowadziły prosto do dość dużego salonu, z którego wychodziło dwoje innych drzwi, jedno naprzeciwko drugich. Widocznie budynek zbudowano tak, by pomieścić jak najwięcej lokatorów na możliwie najmniejszej przestrzeni, pomyślała Penelope. Na klatce schodowej zauważyła na każdym piętrze dwoje drzwi — do dwóch osobnych mieszkań. W budynku nie było windy, a skąpo oświetlone schody prowadziły jeszcze wyżej bez końca.

Pokój cuchnął zaniedbaniem i duchotą. Kiedy Penelope schyliła się, by postawić walizki na podłodze przy drzwiach, Simon szybko przeszedł przez pokój, otworzył jedno z drzwi, stał w nich przez chwilę, po czym znowu zamknął. Następnie podszedł do okna, otworzył jego górną część, wpuszczając strumień chłodnego powietrza, przesyconego zapachem benzyny, i zaciągnął zasłony.

Penelope wyprostowała się. — Robi się zimno... i jest tak wilgotno! Niezły szok po wspaniałej, słonecznej Francji. Mogę zapalić ogień w kominku?

Ale Simon nie ruszył się od okna ani nie odpowiedział. Penelope zaczęła

szukać wzrokiem zapalek na kominku, dostrzegając w lustrze swoją bladość i zmęczenie, potargane włosy nad czołem i niemal całkiem zmazany makijaż.

— Masz tu gdzieś zapalki?

Nadal nie odpowiadał. Odwróciła głowę, zszokowana widokiem jego twarzy, jeszcze bledszej i bardziej napiętej niż jej własna. Zauważyła, że Simon drży.

— Kochanie, zaraz zamarzniesz! Nie masz tu zapalek? Trzeba rozpalić ogień!

Wreszcie ruszył się, by jej pomóc. Na kominku za małym wazonikiem znalazł świecę i wyjął z kieszeni zapalniczkę.

— Nie cierpię wybuchów — rzucił, szczękając zębami,

Schylła się do paleniska, ale w przewodzie nie było gazu.

— Masz licznik na szylingi? — spytała, szperając w torebce po monetę. — Szlag by trafił te franki. Miałam zrobić z nimi porządek. No więc gdzie ten licznik? W kuchni? Które to drzwi?

— Daj mi szylinga — syknął gniewnie. — I nie ruszaj się stąd.

Jego ton jeszcze bardziej ją zaskoczył, ale pomyślała, że widocznie coś go gnębi, a na dodatek się rozchorował. Serce nakazywało jej go zrozumieć. A jednak to ona zapłaciła za taksówkę, a teraz za gaz. Mógłby przynajmniej powiedzieć...

Wrócił, nieco zarumieniony. — Spróbuj jeszcze raz — poprosił na powrót zwyczajnym tonem.

Ogień zapłonął bez wybuchu. Simon opadł na krzesło przy kominku i wyciągnął drżące ręce do ciepła, które powoli zaczęło rozchodzić się po wychłodzonym pokoju.

Penelope przysiadła na piętach obok niego, przyglądając mu się ze współczuciem. Kiepsko znosił przeprawy statkiem, zawsze jej to powtarzał. W dniu, w którym wyjeżdżali, pogoda była piękna i słoneczna, tafla wody nieruchoma i Simon zdołał przesiedzieć spokojnie cały rejs, a kiedy byli już we Francji, zjadł w pociągu porządny posiłek. Ale tego popołudnia było zupełnie inaczej: w pociągu odpuścił sobie lunch, bo czekała go przeprawa przez kanał. Tym razem bardzo kołysało. Penelope nigdy w życiu nie doświadczyła choroby morskiej, nawet na jachcie ojca. Widziała za to, jak Simon siedział na wąskiej, niewygodnej ławce przed salonem na pokładzie statku w deszczu, wietrze i we mgle. Panował nad sobą tylko dzięki sile woli. Nie odważyła się wtedy do niego odezwać. Potem w towarzystwie kilkorga znajomych ze studiów zjadła smaczny posiłek w niemal opustoszałej jadalni.

— Musisz *koniecznie* coś zjeść — powiedziała, przypominając sobie podróż powrotną. — Od rana nic nie miałeś w ustach oprócz kawy i bułek na śniadanie, a jest już po siódmej. Czy w tym mieszkaniu znajdzie się coś do jedzenia? Chyba jednak nie. No i co teraz zrobimy?

— Najlepiej zjedz coś na mieście albo jedź do domu — odparł leniwie.

— Nie mogę tak po prostu sobie pójść i zostawić cię w takim stanie. Na pewno coś tu masz, choćby jakieś puszki.

Ruszyła w stronę tych samych drzwi, którymi wychodził do licznika, ale znów ją powstrzymał. — Nie chcę, żebyś kręciła mi się po mieszkaniu — rzucił gniewnie. — Myślisz, że jestem twoją własnością, ale grubo się mylisz,

do cholery.

— Ale ja tylko... Simon, ty jesteś chory! Czy jest w pobliżu jakiś sklep? Trzeba ci coś kupić...

Z trudem podciągnął się na krzesło. — Na prawo za pierwszym zakrętem są jakieś małe, obskurne delikatesy, otwarte do ósmej oprócz czwartków. Chyba dzisiaj nie jest czwartek, co?

— Nie, dziś jest piątek — odparła, wpatrzona w niego.

— No, to kup tam coś. Mają skromny asortyment, ale po tej koszmarnej podróży i tak nie mam ochoty się objadać.

Opuścił głowę, ukrył ją w rękach i znów przysunął się do ognia. Penelope pragnęła go przytulić i pocieszyć, ale się powstrzymała. Teraz musiał jak najszybciej zjeść coś ciepłego. Chwyliła więc torebkę i szybkim krokiem wyszła z mieszkania.

Gdy tylko drzwi się za nią zamknęły, Simon wyprostował się, nasłuchując oddalających się kroków na kamiennych schodach. — Może pani wejść, pani Morris — zawołał głośno, kiedy odgłosy ucichły. — Ale najpierw proszę zapalić w kuchni światło.

Odwracając głowę, dostrzegł w kuchni jasność i uśmiechnął się. Powoli otworzyły się drzwi i do pokoju ostrożnym krokiem weszła krucha, lekko przygarbiona postać w szarawej spódnicy i fartuchu pod jasnoczerwonym płaszczem.

— Myślisz pan, że jesteś jasnowiedzem, co? — odezwała się zaczepnie, wiedząc, że i tak jest na straconej pozycji.

— A skąd. Usłyszała pani zgrzyt klucza w zamku i próbowała zamknąć drzwi, ale pozostały uchylone. I za późno zgasiła pani światło. Zauważyłem je, kiedy wysiadałem z taksówki.

— Wszyscy wiemy, jaki z pana geniusz — rzuciła, kierując się z wolna do drzwi.

Simon wyciągnął rękę. — Proszę mi dać klucz — powiedział.

Kobieta chwyciła się za kieszeń płaszcza, zdradzając tym samym miejsce

ukrycia klucza, i dalej sunęła w stronę drzwi.

— Proszę wyjąć klucz z kieszeni i mi go dać — nakazał.

Pani Morris przyśpieszyła kroku, ale Simon był szybszy. Zerwał się z krzesła, jednym susem wyminął ją, stanął plecami do wyjścia, wyciągając rękę. Staruszka ledwo co się zorientowała i omal na niego nie wpadła.

— Klucz — powtórzył, patrząc jej prosto w oczy.

Bardzo powolnym ruchem pani Morris wyjęła klucz z kieszeni i podała mu. Po chwili rozejrzała się, spostrzegła stojące przy drzwiach dwie walizki i zanim Simon zdążył ją powstrzymać, uklękła przy nich, spojrzała na naklejki i przeczytała inicjały.

— Czy to przypadkiem nie własność panienki Penelope Dane? — spytała, wyprostowując się. Na jej twarzy pojawił się złośliwy grymas. — Córki tego prawnika, Huberta Dane'a?

— Proszę już iść — rzucił, zbywając jej pytanie. — I niech sobie pani zapamięta raz na zawsze: od dziś będzie panią wpuszczał dozorca, a pani ma tu tylko sprzątać. Jeżeli jeszcze raz przyłapię tu panią po godzinach, to wezwę policję.

— Taki kapuś z pana! — rzuciła szorstko pani Morris. — Przecież wiadomo, że się pan nie odważysz. Policję będzie wzywał! Śmiechu warte. Posprzątałam, jak mi pan kazałeś i czekałam na zapłatę. Chyba mam do tego prawo, nie?

— To po co się pani schowała? Po co zaszyła się pani po ciemku w kuchni? Panienka Dane przydybałaby panią, gdybym jej nie zatrzymał.

— Ciekawe, po co pan ją zatrzymał, he? Och, nie musi pan nawet odpowiadać.

— I nie mam zamiaru. — Wyjął portfel i podał jej funta. — To za dwie godziny w dzień mojego wyjazdu i za dzisiejsze półtorej godziny. Razem będzie siedemnaście szylingów i sześć pensów. Dwa szylingi i sześć pensów reszty dla mnie.

Pani Morris roześmiała się. — Jeszcze czego? — rzuciła, biorąc banknot z jego ręki. — A teraz słuchaj pan: trzydzieści funciaków *dla mnie*, a nie pisnę

słowa o tej pana nowej kochance. Mam swoje dowody i znam dwóch takich, co zapłaciliby mi za nie dużo więcej...

Twarz Simona poczerwieniała ze złości, ale nawet nie drgnął. — Nie musi pani oddawać. Potrącę pani tę resztę z wypłaty w przyszłym tygodniu. Przyjdzie pani w piątek, jak zwykle, na dwie godziny.

— I te trzydzieści funtów — powtórzyła pani Morris, podnosząc głos. — To i tak niska cena. Mogę dać panu czas do soboty, bo dopiero co wrócił pan z podróży. Znaj pan moje złote serce. To nie to, co mój stary; u niego nie uświadczysz dobrej woli...

Wyraz twarzy Simona sprawił, że dalsze słowa zamarły jej na wargach. Otuliła się płaszczem i wyszła.

Simon stał jeszcze przez chwilę, wgapiony w drzwi, klnąc pod nosem wściekle i sprośnie na kobietę. Po chwili, mimo że w pokoju zrobiło się już cieplej, znowu się zatrząsł i wrócił na krzesło przy kominku.

W tej samej chwili zadzwieczał dzwonek. Penelope przyniosła papierową torbę pełną zakupów. Simon wpuścił ją bez słowa, zamknął za nią drzwi i znów usiadł przy ogniu.

— Te wasze delikatesy są naprawdę super — oznajmiła wesoło. — Mają tam wszystko: wędliny, sałatki, owoce, zupy w paczkach, ser...

— Wystarczy mi chleb z serem. Mieli chociaż chleb?

— Oczywiście. A na czym gotujesz? Na gazie czy na prądzie?

— Wcale nie gotuję. Mamy problemy z gazem. I nie chcę, żebyś mi tu gotowała.

— Zaleję tylko zupę. Wszystko inne można zjeść na zimno.

— Do cholery, przestań wreszcie paplać o tym żarcu!

Spojrzała na niego, bardziej smutna niż obrażona, raczej ze zdziwieniem niż z obawą. Mimo mocnych słów mówił spokojnym, beznamietnym tonem. Odstawiła pakunki na stół, podeszła do niego i przyklękła u jego boku. — Coś nie tak? — spytała łagodnie, usiłując stłumić dziwne znużenie jego kapryсами, które towarzyszyło jej już od paru dni. — Czy mogę jakoś pomóc?

Wyciągnął dłoń, by dotknąć jej szyi, ale natychmiast ją cofnął. — Musisz jakoś ze mną wytrzymać, Penny — orzekł. — Nie próbuj brać wszystkiego na zdrowy rozum. Ciesz się uczuciami.

— Staram się — odparła, nie bardzo rozumiejąc, o co mu chodzi.

— Taki bystry umysł... — szepnął — mógłby daleko cię zaprowadzić... ale wciąż jest dręczony, roszczeniowy, zachłanny...

— Kochanie — odezwała się, podejmując jeszcze jedną próbę. — Gdzie ty jesteś? Wróc do mnie.

Zaskoczona własnymi słowami, zdała sobie sprawę, że mówiła szczerą prawdę. Przed sobą widziała jego pustą powłokę i oczy bez wyrazu, wpatrzone w nią żalonym wzrokiem.

Usilnie głowiła się, jak do niego dotrzeć, i wtedy wrócił dawny Simon. Objął ją i popatrzył na nią niemal z czułością. — Jesteś taka dobra — szepnął. — I cierpliwa. O wiele bardziej cierpliwa niż Diana. Zdaje się, że mogłabyś bardzo mi pomóc.

Przeszył ją lekki dreszcz oczekiwania. Wbrew wszelkiemu rozsądkowi, groźbom, ostrzeżeniom znów pragnęła w duchu tylko jednego: kochać go i służyć mu na wieki. Przysunęła się bliżej, podniosła wzrok i czekała.

— Chcę cię o coś zapytać... prosić — ciągnął, wpatrując się gdzieś w dal ponad jej głową.

— Słucham. — Coraz silniej utwierdzała się w przekonaniu, jak bardzo tego pragnie.

— Jeśli nie możesz tego spełnić, to mi powiedz, a więcej do tego nie wrócimy.

Skinęła głową.

— Czy możesz mi pożyczyć trzydzieści funtów?

Cios zadany prosto w serce ogłupił ją znienacka.

— *Trzydzieści funtów?* — wyjąkała.—*Pożyczyć?*

Napotkała jego spojrzenie i uciekła wzrokiem. Doskonale wiedział, że

spodziewała się usłyszeć oświadczyzny, a rozczarowanie, jakie jej sprawił, dawało mu złośliwą satysfakcję. Przez chwilę ogarnęły ją mdłości i zawroty głowy, a potem żałosna, brutalna rzeczywistość zamknęła się wokół niej.

Mimo to chęć dogadzania mu nadal w niej trwała. Wciąż pragnęła dać mu dowód swojej miłości, która wypełniała jej życie już niemal od roku. Nie mogła tak łatwo się jej wyrzec.

Wstała i odeszła od niego, usiłując zebrać myśli. Ojciec nie wstrzymał jej kieszonkowego, a zważywszy na jego zamożność, było ono dość spore. Wpływało co miesiąc na jej konto w banku, a że był akurat ostatni dzień sierpnia, to przy ograniczeniu swoich wydatków mogła dać Simonowi to, o co prosił.

Wysunęła spod stołu krzesło i wyjęła z torebki książeczkę czekową. — A kiedy mi oddasz? — spytała, starając się już nie dać po sobie poznać, co czuje, choć przygniatał ją ogromny ciężar upokarzającego rozczarowania. — Płacą ci na początku semestru, prawda?

Nawet nie raczył odpowiedzieć, a ona nie nalegała. W duchu dobrze wiedziała, że to nie pożyczka, lecz prezent. Jego duma nie zniosłaby takiego długu wobec niej, za to prezent wzbudzi życzliwość czy wręcz uznanie. Nie była przygotowana na jego kolejny brutalny atak, który zwałił ją z nóg.

Kiedy podała mu czek, wziął go, nawet nie wstając od kominka: obejrzał go, po czym podniósł wzrok na nią. — Teraz już wiem, jak to jest być faceitem za pieniądze — rzucił z goryczą.

Ręka Penelope śmignęła w górę, ale Simon zerwał się na równe nogi i chwycił silnie za nadgarstek, jeszcze zanim ona sama zdążyła zdać sobie sprawę, że chce wymierzyć mu cios. Następnie wyrwała rękę z jego uścisku, chwiejnie wróciła na krzesło przy stole, ukryła twarz w dłoniach i wybuchła przeraźliwym szlochem.

— Nie znasz się na moich głupich żartach? — spytał Simon i kiedy nie odpowiedziała ani nie drgnęła, powtórzył pytanie.

Penelope opanowała się wreszcie, ale nie była w stanie na niego spojrzeć. — To wcale nie był żart — odezwała się cicho beznamiętnym tonem. — To nie było śmieszne. Oddaj mi ten czek — dodała.



— Wszystkie jesteście takie same — uskarżał się Simon, poirytowany, choć bez cienia złości. — *Takie poważne. I takie nieznośne.*

Nie wypuszczając czeku z ręki, schował go do portfela, który wsunął w kieszeń.

— W porządku — rzuciła Penelope, zdziwiona swoim spokojem. — Jutro anuluję ten czek i będziesz mógł go sobie podrzeć, jeśli mi go teraz nie oddasz.

— Nic z tego — odparł. — A jak już przestaniesz się wściekać z byle powodu...

— *Z byle powodu!* — zawołała, czując, jak jej uczucie popada w śmiertelną agonię. — *Nazywasz to byle powodem?*

— Jesteście wszystkie takie same! — powtórzył Simon, tym razem ze swadą w głosie. — Takie chciwe i zaborcze! Rozczarowałem cię, bo się z tobą nie ożenię. A ja nie chcę być niczyją własnością, chcę odpędzić was wszystkie... A one tylko krążą mi nad głową jak jakieś sępy... jak zatrute powietrze... jak chmury rozwścieczonych os... chcę je rozpędzić, rozpędzić...

Zdażyła już wstać, chwyciła torebkę, śpiesznie naciągnęła płaszcz, podniosła walizkę i szarpnęła drzwi. Kierował nią strach, głębokie rozczarowanie i druzgocący zamęt, wewnątrz targał nią wściekły ból, od którego łyzy cisnęły się jej do oczu tak, że ledwo widziała, co robi. Wreszcie uciekła, zamykając za sobą drzwi, na schodach rozległy się jej szybkie kroki, a stukot jej obcasów rozlegał się głuchym echem.

Simon nawet nie próbował jej zatrzymać. Kiedy już wyszła, poszedł do kuchni po nóż, zabrał ze stołu jedzenie, które kupiła Penelope, zaniósł do kominka i zaczął jeść. Odkrajał kromki chleba i plastry wędliny i wpychał do ust, masło rozsmarowywał grubo nożem, rozsypując przy tym na podłogę okruchy i kawałki. Czuł, że jest głodny, a na dodatek jedzenie mu smakowało. Cieszył się, że wreszcie został sam.

Biedna Penny. Co za głupi dzieciak. Ale przejdzie jej. Tak jak im wszystkim.

No, może prawie wszystkim... Nikły cień bólu przemknął mu po twarzy i zaraz znikł. Ależ Diana uśmiełaby się z tego żartu, który tak bardzo uraził

Penny. Diana uwielbiała słuchać o jego romansie z Penny. Śmiała się, a potem była taka miła...

Wpakował do ust następną porcję, wpatrzony w czerwonawy płomień ognia, a jego skłębione myśli, lecąc spiralnie w dół, zanurzały się we mgle, gdzie fikcja i rzeczywistość łączyły się jak dwie postacie splecione w lekkim, misternym tańcu, nad którymi górował on sam, otoczony uwielbieniem, w centrum uwagi, będący zarówno całością, jak i poszczególnymi jej elementami, dawca i biorca, czciciel i bożyszcze w jednym.

## 8

Naciskany energicznie zniecierpliwionym palcem dzwonek u drzwi boleśnie wyrwał Simona z próżni. Simon najpierw zwyczajnie puścił to mimo uszu. Wziął tylko jabłko i wgryzł się w nie, jakby nieświadomy, że jakieś uporczywe dźwięki zakłócają mu spokój. Ale gdy dzwonek już ani na chwilę nie przestawał brzęczeć, od razu oprzytomniał, szaleńczym krokiem ruszył do drzwi i szarpnął je gwałtownie.

Na progu stał John Allingham. — Musimy pogadać — rzucił powoli uprzejmym tonem. — Czy mogę wejść?

Simon odsunął się, odgryzając kęs jabłka. — Przecież ci nie zabronię — rzucił niewyraźnie z pełnymi ustami. Po chwili przełknął i przybrał swoją dawną pozę, jak zwykle w obecności nieznanego. — Musisz wybaczyć ten bałagan w moim pokoju i mój nadzwyczaj prymitywny posiłek, ale właśnie wróciłem z Francji... jakieś dwie godziny temu. I umieram z głodu. Mieliśmy koszmarną przeprawę promem. Kiepski ze mnie pasażer, jeśli chodzi o statki. Na pokładzie nigdy nic nie jem, żeby mnie choroba morska nie dopadła, bo to byłaby katastrofa.

Nie zważając na te słowa i nie ruszając się z miejsca, mimo że Simon zdążył już zamknąć drzwi, John stał plecami do wejścia. — Coś ty zrobił Penny? — odezwał się.

— *Słucham?*

— Coś ty jej zrobił?

Simon podszedł do krzesła przy kominku i usiadł, wyciągając dłonie do iskrzącego się płomienia. — Wiem, że od dawna przyjaźnisz się z Penelope Dane — rzekł wyrozumiale, nawet nie patrząc na gościa. — I pewnie chcesz ją mieć na oku, zwłaszcza teraz, kiedy jej ojciec... zrzekł się roli opiekuna. — Przerwał i zerknął pobieżnie dokoła, a widząc, że złość odebrała Johnowi mowę, ciągnął: — Penelope była na naszej uczelnianej imprezie we Francji. Kilkoro z nas wracało razem...

— Tyle już słyszałem. To całkiem wygodny i sensowny pretekst. Nie musisz mi się tłumaczyć. Za dobrze znam Penny i nie potrzebuję twoich wyjaśnień. No więc co jej dziś zrobiłeś?

— Nic.

— Podobno przyprowadziłeś ją tu, do mieszkania.

— Wzięliśmy razem w taksówkę na Victorii. Wieczór był tak chłodny i deszczowy, że wstąpiła do mnie na chwilę ogrzać się i coś zjeść.

— Wysłałeś ją do sklepu, żeby zrobiła ci zakupy, a potem zraniłeś ją tak bardzo, że od razu wyszła.

Simon uśmiechnął się lekko. — Skoro Penelope już zdała ci relację z naszej rozmowy, to po co jeszcze mnie wypytujesz? Przecież i tak nie uwierzysz w moją wersję?

Powiedział to z tak ogromnym wdziękiem, że John speszył się i wpadł w jeszcze większą złość. — Byłem u Caroline. Wiedziałem, że Penny dziś wraca. Tak się złożyło, że mam przepustkę na dwadzieścia cztery godziny. Ale jej tam nie zastałem. Przyszła dopiero za jakiś czas. Sam dobrze wiesz, w jakim stanie. Próbowaliśmy jej pomóc, ale bezskutecznie.

— Jak to, *próbowaliśmy*?

— No, Caroline i ja. I dlatego tu jestem.

Simon podniósł się z miejsca i stanął oparty o gzyms kominka. — Penelope jest zawiedziona, że się z nią nie ożenię — oznajmił poważnie. — A przecież nigdy jej nie oszukałem. Ani razu nie napomknąłem jej o małżeństwie. Wręcz przeciwnie: wcale nie mam zamiaru kiedykolwiek się żenić. Ale ona nie chciała się z tym pogodzić. Kobiety zawsze wpadają w rozpacz, kiedy coś

dzieje się nie po ich myśli. Oświadczam ci raz jeszcze: nigdy się nie ożenię. Nie mógłbym tak po prostu być na stałe z jedną kobietą. Teraz już rozumiesz?

— Rozumiem tylko, że nikt nie chciałby zostać na stałe z *tobą*.

Simon machnął ręką, zniecierpliwiony. — To czemu jeszcze się wściekasz? Powinieneś się cieszyć, że się z nią nie ożenię. Przecież wcale nie chodzi ci o to, żeby zobaczyć nas na ślubnym kobiercu?

— Wolałbym raczej widzieć ją w trumnie! — rzucił John melodramatycznym tonem, jaki towarzyszył zwykle silnym emocjom.

Simon ruszył przez pokój, a gdy doszedł do stołu, ostrożnie położył na nim ogryzek jabłka i odwrócił się do Johna. — Penelope powinna wyjść za mąż — rzucił na w pół życzliwie, na w pół pogardliwie. — Sam powinieneś się z nią ożenić.

— Ty Świnio!

Z chwilą gdy John zrobił nagły, gwałtowny ruch w jego stronę, Simon stracił panowanie nad sobą. Zawładnęły nim nienawiść, lęk przed uczuciowym zaangażowaniem, budzącym w nim chorobliwe obrzydzenie, strach przed tym najgorszym, dręczącym zniewoleniem. Chwycił nóż kuchenny i rzucił się na swego wroga.

John spokojnie zareagował na ten atak. Dzięki swoim upodobaniom i treningom był przygotowany na tę okoliczność. Był zadowolony, że udało mu się doprowadzić tę szokującą, nieprawdopodobną scenę do sytuacji, którą nie tylko rozumiał, ale i uznał za pożądaną. Simon zaatakował znienacka, a przy tym zadziwiająco szybko, ale jego ruch był niezręczny i przypadkowy. John bez trudu uskoczył w bok, unikając zadanego z dołu ciosu nożem, a jednocześnie chwytając Simona za rękę, w której trzymał narzędzie. Simon okazał się silniejszy, niż John się spodziewał, jednak brakowało mu doświadczenia. Po krótkiej szamotaninie nóż upadł na podłogę, John kopnął go na drugi koniec pokoju i jednym celnym ciosem powalił przeciwnika.

— Mogłem się spodziewać nieczystych zagrań — wysapał, spoglądając w dół na Simona, który leżał kompletnie bez ruchu, z zakrytą twarzą. — Może byś tak wstał? Już więcej cię nie tknę.

Leżąca na brzuchu postać nadal się nie poruszała i z Johna wyparowały

resztki gniewu. Niby nie uderzył go mocno, ale kto wie... może tamten miał delikatną głowę.

— Posłuchaj — ciągnął niemal błagalnie. — Ty *pierwszy* mnie obraziłeś i nie miałeś powodu sięgać po nóż. A w ogóle przyszedłem tu tylko po to, żeby cię ostrzec. Słyszysz, co do ciebie mówię? Przyszedłem cię *ostrzec* przed Hubertem Dane, bo chce ci się dobrać do skóry. Przypadkowo wiem, że śle za tobą ludzi... Mają zebrać dowody, żeby zniszczyć ci karierę na uczelni, więc lepiej uważaj. O rany! — rzucił, widząc, że Simon wciąż leży u jego stóp i ani drgnie. — Zrozum wreszcie, co do ciebie mówię, i przestań odgrywać tę cholerną komedię!

Czy naprawdę tylko *udaje*, zastanawiał się w duchu, wzdrygając się ze strachu. Ukłękł śpiesznie, wziął go za nadgarstek i zbadał puls. Był wysoki, regularny i całkiem w normie. John przewrócił Simona na plecy: twarz była znieruchomiała, bez wyrazu, oczy zamknięte, a oddech łagodny i równomierny.

—No dobra — powiedział John, któremu wciąż niezmiennie towarzyszył strach, choć tym razem całkiem inny. — Jak sobie chcesz. Tylko zapamiętaj, co ci powiedziałem. Hubert może cię zniszczyć, jeśli tylko zechce.

Zaczekał jeszcze chwilę, po czym odwrócił się i dziarskim krokiem wyszedł z mieszkania. Było tam coś, czego nie pojmował — coś mrożącego w żyłach krew.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za Johnem, Simon dźwignął się z wolna na nogi, chwiejnie podszedł do kominka i stał tak przez dłuższą chwilę, wpatrując się niespokojnie w swoje odbicie w lustrze.

Cios, który go powalił, trafił go z boku w głowę w chwili, gdy próbował zrobić unik. Został tam mały guzek, niewidoczny spod włosów. Twarz była nietknięta, tylko na lewej skroni, którą uderzył o podłogę, widniała mała, czerwona plamka. Dotknął delikatnie tego miejsca. Skoro jeszcze nie było opuchnięte, to może nie będzie sińca, który rzucałby się w oczy. Upadając, próbował asekurować się rękoma, ale nie całkiem mu się to udało.

Młody brutal. I co za ohydny, wredny tupet! Ostrzega go! Co za kretyn! Jakby Simon sam nie wiedział, co się święci.

Powolnym spojrzeniem ogarnął pokój: półki z rzędami książek w tanich wydaniach i kilkoma dziełami oprawionymi w skórę i płótno, które dostał w spadku, podobnie jak obskurne krzesła przykryte luźnymi narzutami, ściemniałe od starości i londyńskiego kurzu. Nie dostrzegął w nich nędzy, a wręcz był dumny z tego, co posiada. Na podłodze obok regału zauważył leżący tam nóż.

Teraz, kiedy bójka z Johnem z wolna ulatywała z jego pamięci, nic już dla niego nie znaczył. Simon podniósł go z podłogi i odłożył na stół. Wtedy zauważył też stojącą przy drzwiach swoją walizkę. Wziął ją i zaniósł do sypialni z zamiarem jej rozpakowania.

I znów przerwał mu dzwonek u drzwi. Lekko spocony, poszedł otworzyć i pani Morris wślizgnęła się do środka, jeszcze zanim zdążył zamknąć jej drzwi przed nosem.

— To znowu ja! — rzuciła z upiorną radością. — Był u mnie właśnie pan ładny po pieniążki za czynsz. Przyjdzie jeszcze w poniedziałek i do tego czasu ma się pan wywiązać.

— Mówiłem już, że nic pani nie dam.

— Ależ z pana uparty typ...

Simon wyjął książeczkę czekową i zaczął pisać. — Prosiła pani o trzydzieści funtów, a ja mówiłem, zgodnie z prawdą zresztą, że dopiero jutro wymienię w banku walutę. Może pani wziąć ten czek. Szantażystka z pani.

— Tylko bez takich wyzwisk!

— To nic innego jak zwykły, podły, ohydny szantaż, i pani dobrze o tym wie. Nie zapłacę też ani pensa więcej, a jeśli dalej będzie pani nalegać, to pójdę na policję.

— Już to słyszałam. Ale to nic panu nie da.

— Wystarczy, że pani dostanie za swoje. Tylko o to mi chodzi. Już się pani nie boję... i tego, kto pani za to płaci, też nie.

— O co panu chodzi?

— Sama pani dobrze wie. Przejrzałem ten wasz podstęp. Ale renoma pana

Dane'a na pewno nie zyska na konszachtach z panią. Jeśli on obrzuci mnie błotem, to dopilnuję, żeby spotkało go to samo, i zapewniam, że już nigdy nie wykaraska się z tego brudu.

Jego słowa na chwilę zamknęły kobiecie usta. Podniosła czek i obejrzała dokładnie pod światłem. — I niby co ja mam z tym zrobić? — spytała.

— Co pani zechce. W banku dadzą pani na niego trzydzieści funtów.

— Ale ja nie chodzę do banku.

— To już pani problem, jak go pani spienięży. Niech go pani odda swojemu paserowi, u którego sprzedaje pani kradzione rzeczy.

— Co pan mi tu...! — Pani Morris oniemiała ze złości i oburzenia. Do tej pory jakoś umiała sobie radzić z panem Fawcettem, co było dla niej powodem do dumy. Jemu nie bardzo się to podobało, ale płacił regularnie zawsze, kiedy go o to prosiła. Może trochę przesadziła z tymi trzydziestoma funtami, ale wszystko wskazywało na to, że pan Fawcett lada chwila się stąd wyniesie, a jej życiową dewizą było kuć żelazo, póki gorące. Tak czy inaczej, czek to ryzykowna sprawa. Oddała mu go. — A niby skąd mam wiedzieć, że jest tyle wart? — rzuciła, siląc się na rozważny ton. — Ma być gotówka, i już.

Simon drżącymi palcami przedarł na pół czek, a kawałki papieru rzucił na podłogę. — Miała pani swoją szansę, ale już po niej — powiedział. — Od dziś pani u mnie nie pracuje i nie życzę sobie, żeby przychodziła pani do mojego mieszkania.

— Najpierw moja forsa.

— Dostała pani zapłatę za sprzątanie. A teraz proszę już iść. Powiedziałem: *proszę wyjść*.

Mówił podniesionym głosem, czując, jak jego umysł wiruje ku górze, a wokół niego kłębią się myśli i wizje, gotowe go dopaść i nim zawładnąć. Zmagając się z narastającym zamętem, szedł powoli w stronę pani Morris, jakby chciał ją wypchnąć za drzwi, byleby tylko zniknęła mu z oczu, i to jak najdalej...

Kobieta tymczasem podniosła z podłogi podarty czek i cofnęła się o parę kroków, ale jej chciwość była silniejsza. — Nie zadzieraj mi tu nosa, chłopcze

— rzuciła. — I tak musisz zapłacić, więc po co robić tyle szumu i...

Słowa utknęły jej w gardle, gdy jego dłonie zaplotły się wokół jej szyi. Zaciśnął je mocniej, odchylając przy tym głowę w tył, i po pokoju rozległ się jego donośny, monotony głos: — Nie pokonają mnie! Watahy wilków gromadzą się, by zabijać! Ale ja zniszczę ich wszystkich. I ludzi, i wilki. Ludzi, którzy są wilkami. Prześladowają mnie... toczą pianę z żarłocznych pysków... Ale nie dam się im skrzywdzić. Ani im, ani ich szakalom...

Czując w rękach ciężar ciała kobiety, popatrzył na jej spuchniętą, purpurową twarz. Spomiędzy dwóch szeregów odsłoniętych sztucznych zębów, przekrzywionych na bok, wystawał język. Oderwał ręce od jej szyi i pani Morris opadła ciężko na podłogę.

—O nie — szepnął Simon i oszalałym wzrokiem rozejrzał się po pokoju. — Nie! Nie!

Zerknął na swoje dłonie, splótł je i zaczął uderzać się nimi w czoło. Otaczające jego myśli mgliste fale nagle znikły i na końcu długiego, ciemnego tunelu pojawił się maleńki, rozświetlony słońcem widok brzegu rzeki, wędki wygiętej nad taflą wody i jakiejś postaci...

Pani Morris drgnęła, zaczęła gwałtownie się rzucać, po czym wzięła kilka bolesnych, świszczących wdechów i znów opadła na podłogę. Simon usiadł przy stole i przyglądał się jej. Widok rzeki na końcu tunelu budził w nim strach, ale kiedy obserwował, jak pani Morris powoli odzyskuje przytomność, tunel rozmył się gdzieś, co go ucieszyło i zaintrygowało samo w sobie.

Zauważył leżący obok niej podarty czek, schylił się, by pozbierać kawałki papieru, i schował je do kieszeni. Drugi raz nie odważy się o niego poprosić. Pamiętając, jak Penelope groziła mu, że anuluje swój czek, wyjął go z portfela. Nie był mu już potrzebny. Wrzucił rozdarte połówki do kosza na śmieci i wrócił na swoje miejsce przy stole.

Oddech pani Morris stał się równomierny. Purpurowe rumieńce zniknęły z policzków, ale nie z warg. Wcześniej rozdziawione usta zaczęły się poruszać, kiedy mamrotała coś pod nosem z bólu i oburzenia.

Wreszcie otworzyła oczy i wbiła wzrok w Simona, który wciąż siedział na krześle, przyglądając jej się z chłodnym zaciekawieniem. Kobieta wydała z



siebie gwałtowny wrzask, z trudem usiadła, po czym dźwignęła się na nogi i stanęła chwiejnie w miejscu. — Diabeł! — wydyszała chrypliwie, omal nie upadając na drzwi, ale utrzymała równowagę, chwytając za klamkę.

— Podły morderca! Zapłacisz za to! Wspomnisz moje słowa... — zakrzuciła się w bezdechu i złapała za obolałą szyję.

Simon wstał, odwrócił się od niej i uniósł splecione dłonie nad głową. Po pokoju znów rozległ się jego gromki głos i tym razem jego dziwne słowa dobiegły uszu pani Morris: — Nie pokonają mnie! Zniszczę ich! Rozgromię wilki, zniszczę szakale... zniszczę!

— Zgrywasz świra, żeby uszło ci to na sucho — wysapała szyderczo pani Morris. — Ale ja się nie dam na to nabrać. Dobrze wiesz, że przyszłam po należną zapłatę. Za nic nie odpuszczę i wyciągnę jeszcze więcej. Ten napad będzie cię kosztował dziesięć funciaków. Na dowód mam sińce. No i teraz jesteś mi winien czterdzieści funciaków. Jasne?

Nie odpowiedział, czy może nawet jej nie słyszał. Pani Morris nie kryła zdenerwowania. Strach, stłumiony chwilowo przez nieustanną chciwość, powrócił z całą siłą. Oparta o drzwi, stanęła twarzą do niego, szukając po omacku za plecami klamki, a gdy poczuła jej dotyk, odwróciła się szybko, szarpnęła drzwi i wyszła. Zamykając je za sobą, dostrzegła Simona siedzącego bez ruchu z dłońmi splecionymi nad głową.

A kiedy zniknęła i wreszcie został sam, schylił się bezwładnie, a ręce opadły mu po bokach. Podniósł je i obejrzał, przerażony. — Nie w ten sposób. — Zdrowy rozsądek, który nagle wrócił, podpowiadał mu tonem smutku, a zarazem przerażenia.

— Nie tędy droga.

Dreńczony zwątpieniem, znowu wykręcił splecione dłonie. Następnie podszedł do lustra i popatrzył na zmarniałe, zatroskane odbicie, w którym ledwo rozpoznał samego siebie.

— Natury się nie da oszukać — jęknął i pochylił się naprzód, chwytając za gzyms kominka. Ale gdy usilnie wpatrywał się w lustro, jego napięte rysy powoli rozluźniły się, a żółtawa bladość nabrała zdrowego, brązowego odcienia. Zniknął surowy błysk ciemnych oczu, a ich spojrzenie złagodniało i

nabrało ciepłej czułości. Widoczne w lustrze wargi rozchyliły się w delikatnym uśmiechu. — Natury się nie da oszukać — szepnął Simon i uniósł dłoń, by pogłaskać swój policzek w lustrze.

TLR

# CZEŚĆ DRUGA

## W PUŁAPCE

### 1

Zwłoki pani Morris znaleziono dziesięć dni później. Leżały przy śmietniku za blokiem mieszkalnym przy Kilburn.

Odkrycia dokonali śmieciarze w poniedziałek rano. Śmietniki — po jednym na każde piętro — stały w rzędzie pod przylegającą wiatą na samym końcu niewielkiego podwórza z tyłu budynku. Od ulicy na podwórze prowadziło wąskie przejście z wielką bramą zabezpieczoną od góry drutem kolczastym, żeby odstraszyć ciekawskie dzieci i innych intruzów. Druga brama prowadziła z podwórza do mieszkania dla dozorca na parterze, które było bardziej przestronne i lepiej utrzymane niż reszta lokali na wynajem. Nie było w tym nic dziwnego, jako że dozorca pełnił tu także funkcję złotej rączki i do jego obowiązków należało odświeżanie i remontowanie mieszkań, jeśli zaszła taka potrzeba, a resztki farb i klejów, które w tym celu zamawiał w ogromnych ilościach, chętnie wykorzystywał na własne potrzeby.

Ciała pani Morris nie było widać zza bramy, skąd nadeszli śmieciarze, pogwizdując z cicha, by ożywić nieco monotonię właśnie rozpoczętego tygodnia pracy. Było ich dwóch: jeden starszy i krępy o zgoła mechanicznych ruchach, z przyklepionym do ust żółtym petem, a drugi chudy z długimi, potarganymi włosami, w bardzo obcisłych dżinsach, strzelający nerwowo oczami po całym podwórzu z jakąś rozpaczliwą bezradnością.

To właśnie on znalazł ciało pani Morris. Unosząc ostatni pojemnik w kącie, by zarzucić go sobie na plecy, nagle stanął jak wryty i jeszcze bardziej rozdziawił na wpół otwarte usta, po czym wlepił wzrok w tego starszego, który cofnął się do bramy podwórza sprawdzić, dlaczego młody nie poszedł za nim.

— Tam leży jakaś kobieta — wyjąkał młody.

— Co ty gadasz? Jaka kobieta?

— To chyba trup.

— Żarty sobie stroisz?

Ociągając się, starszy podszedł bliżej. Nie lubił takich dowcipów, ale po zzieleniałej twarzy chłopaka można było poznać, że to wcale nie żart. A kiedy już się upewnił, że młody mówi prawdę, od razu kazał mu przyprowadzić kierowcę śmieciarki, a sam ciężkim krokiem poczłapał do tylnych drzwi dozorczy.

Pan Wilson otworzył natychmiast, bo zdążył już dostrzec dziwne zachowanie śmieciarzy z okna w kuchni. Jego żona codziennie wczesnym rankiem wychodziła z domu sprzątać w miejscowym kinie, dlatego przywykł już do samotnego przesiadywania w kuchni, zanim zabrał się za sprzątanie klatki schodowej i małego, ciemnego korytarzyka.

— Co się stało? — spytał szybko w obawie, że śmieciarze znaleźli w pojemniku jakiś wartościowy przedmiot, który umknął jego uwadze, gdy wynosił śmieci lokatorów.

Śmieciarz wyjaśnił, w czym rzecz. Pan Wilson przełknął głośno ślinę, ale poczucie obowiązku nakazywało mu pójść i obejrzeć makabryczne odkrycie, na widok którego nabrał powietrza i omal nie zwymiotował. — To przecież pani Morris. Pracowała tutaj.

— Pan ją zna? — rzucił ten starszy poważnym tonem, a młody, który właśnie wrócił na podwórze, wgapił się w dozorcę, zaciekawiony. Jeszcze nigdy w życiu nie widział zabójcy, jeśli nie liczyć tego Cyrila — ale jego w końcu oskarżyli o nieumyślne spowodowanie śmierci, bo okazało się, że nóż mimowolnie wysunął mu się z ręki.

— Trzeba wezwać policję — wyjąkał pan Wilson, patrząc po twarzach, na których malował się wyrzut. Było ich już trzy, bo do stojącej pod wiatą grupki dołączył też kierowca śmieciarki. Zerknął na ciało pani Morris w ciemnym kącie, po czym odwrócił się do niego plecami i utkwiał nieprzyjazny wzrok w dozorcę.

Na dźwięk słowa „policja” trzej mężczyźni odruchowo skierowali się do bramy podwórza, ale pan Wilson zablokował im drogę. — Jesteście panowie głównymi świadkami — oznajmił, zadowolony, że chwilowo ma nad nimi władzę i może ich zatrzymać. — Musicie poczekać, dopóki policja was nie zwolni.

Śmieciarze wymienili spojrzenia, ale pojęli istotę jego słów. Kiedy się oddalił, zapalili papierosy. Poczęstowali nawet młodego, bo została mu pusta paczka. Młody był cały roztrzęsiony i nie wyglądał za dobrze.

— Niezły szok — stwierdził starszy tonem pełnym współczucia. — Pewnie żeś jeszcze nigdy nie widział trupa, co?

Młody pokręcił głową, mocno zaciągając się dymem.

— Klapnąłbyś sobie — rzucił troskliwie kierowca, wyszperał z kąta podwórza jakąś drewnianą skrzynię i pomógł chłopakowi na niej usiąść, po czym wraz ze starszym śmieciarzem zaczęli dzielić się wspomnieniami z drugiej wojny światowej, w których ciągle była mowa o jakichś trupach, co bynajmniej nie dodawało otuchy ich młodszemu koledze.

Ledwo co zaczęli opowiadać sobie różne historie, gdy z budynku wyszedł pan Wilson. W tej samej chwili zjawiała się władza w postaci młodego policjanta, który właśnie wkroczył na podwórze. — No i co panowie wyprawiają? — zaczął. — Zostawiliście wóz na samym środku ulicy i zablokowaliście ruch. Korek ciągnie się przez ładne kilkaset metrów. Co się tu dzieje?

— Ci panowie coś tu znaleźli — wyjaśnił pan Wilson. — Właśnie po was dzwoniłem. Może zechciałby pan zerknąć.

Policjant podszedł bliżej. Widok, jaki tam zastał, wyraźnie mu się nie spodobał, ale zebrał się w sobie i przejął kontrolę nad sytuacją. W zaledwie parę minut spisał dane trzech pracowników komunalnych, pokrótce zanotował ich zeznania, a skoro miał już numer ich śmieciarki, pozwolił im odjechać.

Kiedy wrócił na ulicę uporządkować ruch, zjawił się wóz policyjny, a wraz z nim komisarz i lekarz.

Ten drugi naprędce zbadał ciało pani Morris, nie ruszając jej z miejsca. — To uduszenie — skwitował. — Wygląda na to, że gołymi rękoma. Na moje nie żyje od jakichś dwudziestu czterech godzin, a może dłużej.

Komisarz skinął głową i, kierując się do mieszkania pana Wilsona, skontaktował się przez telefon z komendą okręgową. Wezwał też karetkę i wyszedł przed budynek porozmawiać z młodym policjantem, który zdołał już przywrócić ruch na ulicy, a teraz krążył w pobliżu, szukając sobie jakiegoś zajęcia.

Wezwany przez komisarza, wyraźnie się ucieszył.

—Nakazał pan tamtym trzem, żeby na razie siedzieli cicho?

Policjant zrobił zawiedzioną minę. — Nie, panie komisarzu. Zresztą z takimi jak oni i tak na nic by się to zdało — dodał.

—Rozumiem — uśmiechnął się komisarz. — I niech pan będzie w pobliżu. Karetka na pewno ściągnie gapiów. Oby tylko nie było wśród nich dziennikarzy.

Stało się tak, jak sobie życzył. Wzmianka o tej żałosnej, pozbawionej rozgłosu śmierci pojawiła się w prasie dopiero we wtorek rano, i to na ostatniej stronie.

Okazało się, że to morderstwo. Patolog w kostnicy potwierdził domysły lekarza policyjnego. Ciało zidentyfikowała rodzina oraz pan Wilson, a sprawę — z uzasadnionych przyczyn — przekazano nadinspektorowi Montowi ze Scotland Yardu.

Żałosna śmierć bez rozgłosu, a do tego tajemnicza. Mont w krótkim czasie dowiedział się od pana Wilsona, że pani Morris regularnie przychodziła sprzątać w mieszkaniach. Ustalił, dla kogo pracowała, od jak dawna i w jakie dni. Okazało się, że Wilsonowie znosili jej obecność, ale za nią nie przepadali i nigdy nie zapraszali jej do siebie.

—A czy były ku temu jakieś konkretne powody? — dociekał Mont, mierząc pana Wilsona surowym spojrzeniem. Sam już się domyślił, co to za powody, ale na razie nie chciał ich wyjawiać.

—Żeby nie mówić źle o zmarłych — zaczął pan Wilson wyniosłym tonem — powiem tylko, że chcieliśmy uniknąć nieprzyjemności.

—Na przykład jakich?

—Myślę, że sam pan dobrze wie — odparł pan Wilson.

I tu się nie pomylił. Inspektor wiedział, że Wilsonowie podejrzewali panią Morris o lepkie palce. Musiał jeszcze pomówić o tym z lokatorami. Nie miał jednak powodu, by podejrzewać Wilsonów o morderstwo, może poza tym, że ciało pani Morris dziwnym trafem znalazło się na ich podwórzu.

—Pracowała tu w piątki, tak? — dociekał. — I wtedy widział ją pan ostatni raz?

—Właśnie. Ale zdaje się, że przychodziła też w soboty. Sprzątała wtedy u pana Nelsona.

—To znaczy, że *widział* ją pan jeszcze potem?

—Właściwie to nie. Całą sobotę spędziliśmy z żoną poza domem, u jej matki w Ealing.

—A o której wyjechaliście?

—Okolo dziesiątej rano, a pani Morris przychodzi między dziesiątą a dwunastą. Do pana Nelsona.

—Rozumiem. A więc w sobotę nie było tu nikogo, kto mógł widzieć, co się tu stało? Chodzi o to, że tylko drzwi pana mieszkania wychodzą na podwórze. Jedne prowadzą na korytarz, a drugie tu, na zewnątrz. Z żadnego innego mieszkania nie ma wyjścia na podwórze, prawda?

—Można tu wejść tylko przez bramę od strony ulicy.

—No właśnie.

Pan Wilson ze zdziwieniem przyjął tę uwagę. Jakoś nie przyszło mu to do głowy. Mimo to nie mógł temu zaprzeczyć. — Na podwórze wychodzi kilka okien — zauważył.

—Wiem, ale podwórze jest niewielkie, a śmietniki stoją pod wiatą.

—Chce pan powiedzieć, że wiatą przysłania widok z góry?

—Zgadza się. Blok stoi wyraźnie pod kątem, po obu stronach jest goły mur, a zadaszenie nad śmietnikiem przysłania widok z kondygnacji nad parterem.

—A więc myśli pan — zaczął niepewnie pan Wilson — że do tego... morderstwa doszło niby pod wiatą śmietnika?

Inspektor Mont pozwolił sobie rzucić dozorczy ostre, badawcze spojrzenie. — Tak mi się zdaje, zakładając, że nikt nie wyniósł jej tylnym wyjściem z pańskiego mieszkania ani nie przywłókł z za rogu od strony klatki schodowej.

Ale na razie obaj możemy się tylko domyślać — odparł. — Czy w sobotę brama na podwórze była zamknięta?

—Niestety, stoi otwarta od samego rana — odparł z żalem pan Wilson. — A wszystko przez rower pani Draper, tej z czwartego piętra. To nauczycielka, jeździ do pracy rowerem. Przychodzi po niego też prawie co weekend, dlatego o ósmej rano otwieram bramę i zamykam dopiero późnym wieczorem. Robię to codziennie, nawet w niedziele. Pani Draper nigdy się nie spóźnia.

—Dziękuję panu — odparł Mont, szykując się na rozmowę z lokatorami, zwłaszcza z tymi, u których pani Morris sprzątała regularnie.

Ale tu czekała na niego przykra niespodzianka. Jak wspomniał pan Wilson, większość z nich w ciągu dnia była w pracy. Niektórzy zostawili pani Morris klucze od mieszkań, a kilka osób poprosiło pana Wilsona, żeby sam ją wpuścił i dopilnował, by wyszła o ustalonej porze i ani minuty szybciej.

—W takim razie kiedy jej płacili? — dociekał Mont.

—W soboty rano, kiedy przychodziła do pana Nelsona — odparł pan Wilson. — Zawsze był w mieszkaniu w jej godzinach pracy. To emeryt, ale często wychodzi. U pozostałych sprzątała raz w tygodniu, co dzień u kogo innego, a w soboty pana u Nelsona, i wtedy właśnie po pracy zbierała od wszystkich pieniądze. Wszyscy przeważnie są wtedy w domu, a jeśli nie, to zostawiają dla niej pieniądze u pana Nelsona.

—A to skomplikowana sprawa — zauważył Mont. — Widać ufne z nich ludziska. Oprócz pana i pańskiej żony — dodał po namyśle.

Pan Wilson nic mu nie odpowiedział, a inspektor, dowiedziawszy się, że w domu jest tylko jedna z lokatorek, jakaś starsza kobieta, odszedł, informując uprzednio, że wróci tu jeszcze wieczorem, aby porozmawiać ze wszystkimi.

Wrócił do Yardu, licząc na to, że tam zdobędzie bardziej użyteczne informacje niż u lokatorów bloku.

Pani Morris i jej rodzina byli bowiem dobrze znani w tych stronach i właśnie dlatego sprawę powierzono Montowi. Samej ofierze, często podejrzewanej o działanie w zмовie z licznymi przestępcami w swojej rodzinie, nigdy nie postawiono żadnych zarzutów, za to w policyjnych aktach, obok odcisków palców i obszernych protokołów o notorycznych występkach, widniały już



tępe rysy twarzy i barczysty tułów pana Morrisa, który w zeszły piątek dopiero co wyszedł z paki i podobno zjawił się w domu. Tak przynajmniej twierdziła ich zameżna córka z Ken-tish Town, która przyjechała zidentyfikować zwłoki matki. Ponadto widziano go w okolicy. Jego młodsze dzieci zaprzeczyły, jakoby piątkowy wieczór spędził w domu, ale było niemal pewne, że kłamią.

Pozostawał jednak niezmienny fakt, że od soboty wieczorem do niedzieli pan Morris rzekomo odwiedził paru dawnych znajomych w Bermondsey. Widziano go w jego ulubionych knajpach. Najwyraźniej nie brakowało mu grosza, co jeszcze o niczym nie świadczyło, bo tacy jak on zawsze byli przy forsie. Naczelnicy oszuści, którzy ich zatrudniali, cenili ich sobie bardzo wysoko.

Skądinąd mogło to oznaczać bardzo wiele. W soboty pani Morris pobierała zapłatę, z mężem nigdy nie układało jej się najlepiej, a on wiedział, gdzie pracuje jego żona. Może nie chciała oddać mu pieniędzy i posprzeczała się na podwórzu. Pan Morris ze swoim temperamentem z roku na rok stawał się coraz bardziej nieznośny. Podczas ostatniej odsiadki rzucił się nawet na strażnika, przez co tamten biedaczyna trafił na tydzień do szpitala, a on sam spędził za karę kawał czasu w izolatce. I tak zmarnował swoją szansę na zwolnienie warunkowe. A teraz w ogóle gdzieś zniknął.

Inspektor Mont, zwykle bardzo ostrożny, by nie wyciągać pochopnych wniosków z niewystarczających dowodów, tym razem sobie na to pozwolił. Zrobił to, oczywiście, bardzo rozważnie. Po pierwsze, cała masa morderstw była wynikiem awantur rodzinnych: mężowie mordowali żony albo ich kochanków, od czasu do czasu kobiety mordowały mężów, rodzice mordowali dzieci i odwrotnie. Poza tym pani Morris nie była typem kobiety, która mogłaby paść ofiarą przestępstwa na tle seksualnym. Za to problem pieniędzy powtarzał się w jej rodzinie bardzo często. Morrisowie byli znani z tego, że — nie wiedzieć czemu — albo byli zamożni, albo żyli niemal w skrajnej nędzy. Ich praca wcale nie zapewniała im większego zarobku, a oprócz ojca jeszcze kilkoro z nich miało już na swoim koncie wyroki.

I — co ważniejsze — po drugie, przy pani Morris nie znaleziono torebki, a w jej kieszeniach nie było żadnego portfela. Zauważył to miejscowy policjant, który ustalał tożsamość pana Wilsona. Podjął stosowne kroki, by przeszukać podwórze i stojący tam jeden pojemnik, ale bez skutku. Miejski wydział go-

spodarki komunalnej otrzymał nakaz odstawienia śmieciarki na parking policyjny w celu przeszukania jej zawartości. W tej chwili właśnie sortowano i przeglądano śmieci. Jednak, jak na razie, inspektor Mont był zawiedziony rezultatami. Znaleziono wprawdzie chustkę, którą pani Morris mogła mieć na głowie, i przekazano mu do obejrzenia, ale córka kobiety twierdziła, że jej matka nigdy nie nosiła na głowie chustki i że nigdy przedtem czegoś podobnego u niej nie widziała.

I tak inspektor utknął w miejscu w głównym wątku śledztwa, co jednak wcale mu nie przeszkadzało. Zostali mu jeszcze lokatorzy budynku, od znalezienia zwłok nie minęło nawet dwanaście godzin, a wieczorna prasa nie rozpisywała się o tym wydarzeniu.

Mont zerknął na zegarek. Lokatorzy powinni już być, a przynajmniej ci, którzy wracali z pracy prosto do domu. W towarzystwie jednego z sierżantów udał się do Kilburn.

## 2

Inspektor nie zawiadomił dozorczy o swoim przybyciu, tylko od razu ruszył obok schodami na piętro, przeczytał nazwiska wydrukowane na małych wizytówkach, po czym nacisnął dzwonek przy drzwiach na prawo od podestu. Wizytówka była pożółkła i zaplamiona ze starości. Widocznie niejaka pani Hyde mieszkała tu od bardzo dawna.

Otworzyła drzwi z opóźnieniem, nie przez opieszałość, ale — jak uznał inspektor — z powodu kłopotów z poruszaniem się. Gdy tylko się przedstawił, od razu przeprosiła za zwłokę. — Wszystko przez artretyzm — wyjaśniła, utykając po pokoju. — Ostatnio za często nie wychodzę.

Mont odparł, że bardzo mu przykro, i wytłumaczył powód swojej wizyty.

— Biedna kobieta — rzuciła pani Hyde, nie okazując przy tym ani odrobiny smutku. — To pewnie ten brutal, jej mąż, tak ją urządził.

— Opowiadała pani o nim?

—O tak, i to na okrągło. Nie bardzo wiedziałam, czy jej wierzyć, bo sama nie była godna zaufania. To znaczy, zdaje się, że trochę przesadzała, zwłaszcza kiedy chciała wyciągnąć ode mnie pieniądze.

—Poza tym, co u pani zarabiała?

—Tak. — Pani Hyde zrobiła zamyśloną minę, a inspektor patrzył wyczekująco. — Ale ani razu jej nie ustąpiłam — dodała. — Nawet pod naciskiem...

Mont zaciekawiał się. Poczciwa staruszka z obolałym biodrem wykrzywiła usta w niespodziewanym grymasie. Delikatne rysy jej postarzałej twarzy zaostrzyły się, a oczy patrzyły stalowym spojrzeniem, ukazując ukrytą w nich siłę.

—Gdyby zechciała pani sprecyzować, pod jakim naciskiem — zaczął ostrożnie inspektor — to mogłoby nam pomóc. Mamy już pewne informacje, które, jak sądzę, prowadzą w tym samym kierunku.

—Właściwie to nie chodziło o mnie, ale o kogoś z mojej rodziny — odparła pani Hyde. — Powiedziałam jej wtedy, że jeśli jeszcze raz zasugeruje mi coś podobnego, to pójdę na policję. No i dała spokój. Przynajmniej mnie.

—I wcale się nie dziwię — zauważył Mont z uśmiechem.

—Ale całkiem możliwe, że nachodziła wtedy innych — dodała delikatnie pani Hyde.

Czy to miała być jakaś sugestia? Czy chodziło o innych lokatorów, czy też o tę osobę z rodziny, którą pani Hyde tak zawzięcie chroniła? Czy to tylko wyobraźnia staruszki, czy może zamierzona złośliwość? Inspektor powoli zdał sobie sprawę, że niezbyt lubi tę panią Hyde. — Ale mimo to nadal ją pani zatrudniała? — spytał.

—No, tak jakoś wyszło. Przychodziła do moich sąsiadów i było mi to na rękę. Zrzucaliśmy się na jej składkę ubezpieczeniową i koszty dojazdu, chociaż w sumie to wcale nie miała tak daleko. Pracowała gdzieś tu jeszcze w okolicy i pewnie dostawała podwójnie na bilet autobusowy.

—A to całkiem możliwe — mruknął Mont.

—No więc przychodziła do mnie we wtorki rano na dwie godziny. Nasze

mieszkania są bardzo małe: jeden pokój gościnny, jedna sypialnia, aneks kuchenny i łazienka. Chyba wybudowano je na biura, ale po wojnie, kiedy wzrosło zapotrzebowanie na mieszkania, to je przerobiono. I wtedy właśnie się tu wprowadziłam. Straciłam dom i...

— Czy płaciła jej pani w każdy wtorek? — dociekał Mont, przerywając ten nagły przypływ wspomnień.

— Oczywiście.

— Z tego, co wiem, pieniądze zbierał niejaki pan Nelson...

— A tak, od tych, których nie ma w domu w czasie jej obecności. Ale nie ode mnie. Jestem uwiązana przez moje biodro i rzadko kiedy wychodzę, bo to zbyt bolesne i męczące. Kiedy przychodziła pani Morris, zawsze byłam w domu.

— Jak pan Nelson?

— Właśnie.

Mont podziękował jej i wyszedł. Sąsiad z przeciwka nie miał nic do powiedzenia. Był to kawaler w średnim wieku, zatrudniony jako urzędnik w banku, i należał do tych, którzy nigdy nie widzieli pani Morris na oczy i płacili jej za pośrednictwem pana Nelsona. Nie miał też żadnych powodów, by na nią narzekać. Z mieszkania nigdy nic mu nie zginęło. Rozglądając się po skromnie urządzonej sypialni, inspektor bynajmniej się temu nie dziwił. Morrisowie byli zarówno obeznani, jak i wybredni. Kradli nie dla draki, ale dla zysku.

Mont ruszył schodami na górę. Na drugim piętrze dostrzegł wizytówkę pana Nelsona, a na drzwiach naprzeciwko niejakiemu panu Fawcetta. Z Nelsonem postanowił porozmawiać później, więc nacisnął dzwonek u tych drugich drzwi, ale nikt nie otwierał. Odchodząc, uznał, że i tak nie zastanie wszystkich lokatorów na raz i ruszył schodami jeszcze wyżej.

Na trzecim piętrze niczego się nie dowiedział — obie lokatorki, młode biznesmenki, same zajmowały się sprzątaniami, a na czwartym mieszkał inny urzędnik, który zatrudniał panią Morris, też nigdy jej nie widując, oraz panna Draper, nauczycielka, która zostawiała na podwórzu swój rower.

Ona jako jedyna okazała choć odrobinę współczucia dla zamordowanej, uznał w duchu Mont. — Co za okropność. Już sama myśl jest nie do zniesienia, a mimo to nie mogę przestać o tym myśleć — przyznała zaraz po tym, jak się jej przedstawił.

— Biedna kobieta. Napadli ją na tym podwórzu, wokoło ani żywego ducha i nikt nawet nie słyszał, jak wołała o pomoc.

— Jak to? Skąd pani wie, że nikogo tu nie było?

Panna Draper miała zdziwioną minę. — Podobno to się stało w sobotę, tak? Wilsonowie wtedy wyjechali, dlatego pomyślałam sobie... — przerwała, wyraźnie zasmucona i przerażona.

— Nie ustaliliśmy jeszcze dokładnej godziny — oznajmił Mont. — Czy w sobotę o jakiegokolwiek porze była pani sama na podwórzu?

— Tak, przyszedłam po rower. Codziennie jeżdżę nim do szkoły i z powrotem.

— To w soboty też są lekcje?

Panna Draper oblała się rumieńcem. — Formalnie nie ma, ale zakładamy mały klub sportowy. Kolega, też nauczyciel, zabiera chłopców, a ja dziewczęta. Gramy w netballa. Mamy już prawie całą drużynę.

— A więc w sobotę rano wyszła pani po rower. O tej samej porze co zawsze? O której zwykle go pani zabiera?

— Trochę inaczej... to znaczy, zwykle biorę rower piętnaście po ósmej, a w soboty dopiero o dziewiątej, bo po dziesiątej zaczynają schodzić się dzieciaki.

— A o której przyprowadziła pani rower?

— Około drugiej po południu — odparła, znów się rumieniąc. — Byłam jeszcze na lunchu... z tym kolegą nauczycielem.

— A czy w sobotę na podwórzu widziała pani kogoś?

— Nie. Kiedy zeszłam na dół, Wilsonowie właśnie wychodzili głównymi drzwiami. Nie wiem, o której wrócili.

— A brama na podwórze była otwarta?

—Tak. Otwierają ją codziennie wcześniej rano, ale na noc zamykają.

—I nie boi się pani, że ktoś mógłby zwinąć pani rower?

—Bez obawy. Trzymam go u Wilsonów w komórce na węgiel. Dali mi zapasowy klucz.

Mont uznał, że wie już wszystko o rowerowych zwyczajach panny Draper, za to jego śledztwo nie posunęło się ani o milimetr naprzód. Zszedł na drugie piętro i zadzwonił do mieszkania pana Nelsona.

Tamten otworzył natychmiast. — Wiedziałem, że pan przyjdzie — oznajmił z rozbijającą szczerością. — Proszę, niech pan wejdzie. — I machnął ręką w stronę dwóch foteli, które stały na dywaniku przy kominku. Inspektor wkroczył do środka, a zlekceważony przez pana Nelsona sierżant Clay przysiadł na małym, sztywnym krześle obok drzwi.

—No więc mówi pan, że się mnie spodziewał — zaczął uprzejmie Mont zaraz po tym, jak rozsiadł się na fotelu. — A to z jakichś konkretnych powodów?

—Powód jest jeden, a pan zapewne od razu się go domyślił: prawdopodobnie to ja jako ostatni widziałem ją żywą. — Potarł zapałkę, by zapalić papierosa, i podsunął paczkę inspektorowi, ale ten odmówił. — Nie licząc, rzecz jasna, zabójcy — dodał tym samym tonem głosu.

—Oczywiście — zawtórował mu Mont.

Czekał przez chwilę, bacznie obserwując siedzącego naprzeciwko mężczyznę. Wysoki, szczupły, o popielatej, pomarszczonej twarzy i srebrzystych włosach, bladobłękitnych oczach i ściągniętych kącikach ust. Wytarty, ciemnoszary garnitur, pognieciona koszula, obwisły krawat. Nie wyglądał zamożnie, ani nawet schludnie. Mimo to mówił łagodnym, kulturalnym głosem bez cienia zawahania czy skrępowania.

—No więc pani Morris, jak zwykle, sprzątała u pana w sobotę? — zaczął Mont.

—Tak.

—I zapłacił jej pan?

—Oczywiście. Za siebie i trzech innych lokatorów. Przedtem było ich dwóch, ale pani Draper wyjeżdża teraz w soboty rano i już nie przychodzi do mnie o dwunastej, żeby zapłacić pani Morris, tylko zostawia pieniądze mnie.

—A więc dał pan pani Morris pieniądze od czterech osób, od każdej za dwie godziny, czyli w sumie...?

—Pięć szylingów za godzinę. To razem dwa funty.

—Że też w ogóle opłacało jej się tu pracować. Sześć dni w tygodniu, licząc pańskiego sąsiada, pana Fawcetta, i panią Hyde, i tylko przez dwie godziny dziennie, od dziesiątej do dwunastej...

Pan Nelson nie śpieszył się z odpowiedzią. — Sprzątała jeszcze w biurach kilka bloków dalej — powiedział wreszcie. — Codziennie, chyba jakoś od ósmej do dziesiątej, a więc przed przyjściem do nas miała co robić. Nie mam pojęcia, czym zajmowała się popołudniami.

Mont nie zamierzał nic sugerować. — A czy pan Fawcett płacił jej sam, czy zostawiał pieniądze panu? — spytał tylko.

—Zanim zaczęły się wakacje, w piątki miał zajęcia na uczelni, to zostawiał pieniądze u mnie. A potem zwykle bywał w domu, tylko czasami wyjeżdżał na jakiś czas. Nie wiem, jak się wtedy umawiali. Pewnie dozorca ją wpuszczał albo pan Fawcett dał jej klucz.

—Trochę to dziwne, nie?

—Możliwe. Pan Fawcett to w ogóle dziwny człowiek.

—A czy pan zawsze był w domu, kiedy przychodziła pani Morris?

—Tak. — Pan Nelson zdusił niedopałek papierosa. — Jestem na emeryturze — dodał. — Mam dla siebie mnóstwo czasu.

—A można wiedzieć, czym się pan przedtem zajmował?

—Pracowałem w jednej firmie.

Mont patrzył wyczekująco, ale pan Nelson nie rozwinął tematu, tylko zapalił następnego papierosa. Może skończyło się bankructwem albo jeszcze gorzej, zastanawiał się Mont.

— No dobrze, czyli wie pan, że pani Morris wyszła z bloku odwunastej w południe z dwufuntową tygodniówką w torebce.

W tym momencie pan Nelson niespodziewanie stracił zimną krew. Ręce mu zadrżały. — A niby skąd mam wiedzieć, ile pieniędzy miała w torebce? — wybuchnął podniesionym głosem. — Chyba nie myśli pan, że jej tam zaglądałem albo spytałem wprost? To nie moja sprawa, co nosiła przy sobie!

— Nic podobnego nie mówiłem — odparł spokojnie Mont. — Ani nie sugeruję, co miała w torebce, choćby z tego powodu, że jeszcze jej nie znaleźliśmy.

Twarz pana Nelsona poczerwieniała z gniewu, po czym nabrała jeszcze bardziej ohydnej szarości.

— Zdaje się, że niepotrzebnie się pan wypiera, bo doskonale pan wie, w czym rzecz — ciągnął Mont. — Proszę posłuchać, panie Nelson. Pani Morris nie była nam całkiem obca. Daję głowę, że słyszał pan o przestępczych skłonnościach jej męża tyle samo co pani Hyde i cała reszta, łącznie z Wilsonami. Zadam panu jedno konkretne pytanie, na które nie musi pan odpowiadać, ale jeśli zechciałby pan odpowiedzieć, to mógłby pan nam bardzo pomóc.

— Nie muszę odpowiadać na żadne pytania — rzucił pan Nelson, wyraźnie wzburzony. — Ale pan i tak się nie podda, więc słucham. Proszę mówić.

— Czy pani Morris pana szantażowała?

— Nie.

— A czy kiedykolwiek próbowała?

— Nie.

— A jednak pan wie lub przynajmniej się domyśla, że wychodziła stąd w sobotę ze sporą sumą pieniędzy w torebce?

— Tego nie powiedziałem.

— Ale dał pan to do zrozumienia.

— To już nie moja sprawa, jak pan interpretuje moje słowa.

— No dobrze. W takim razie zostanie pan wezwany na przesłuchanie. Jeśli



naprawdę był pan ostatnią osobą, która ją widziała.

— Nie licząc zabójcy.

Inspektor Mont, nieco rozdrażniony, uznał, że tym razem nie wyciągnie od Nelsona nic więcej. Zwrócił jednak uwagę na kilka rzeczy, które postanowił zbadać.

Wychodząc na korytarz tuż przed sierżantem Clayem, zastał Simona Fawcetta otwierającego kluczem drzwi.

— Pan Fawcett? — spytał, posuwając się o krok naprzód.

— Zgadza się. A panowie pewnie z policji? Pani Hyde mówiła mi, że tu krązycie. Wejdźcie.

Dwaj policjanci bez słowa wymienili spojrzenia. Simon wszedł do pokoju, położył na stole swoje pakunki i odwrócił się, by zamknąć drzwi.

— Pewnie dręczyliście starego, biednego Nelsona, co? — spytał, podsuwając im paczkę papierosów, tym razem obaj panowie, czując dziwne odprężenie, poczęstowali się. — Zdaje się, że to on ostatni widział panią Morris?

— Tak, bo około południa wychodziła z jego mieszkania — odparł powoli Mont. — A pan ją widział w sobotę rano?

— Nie. Właściwie to nie było mnie przez cały weekend. Ale może byśmy usiedli?

Tak też zrobili i Simon zwrócił uprzejmą, zaciekawioną twarz w stronę inspektora, patrząc wyczekująco.

— Wyjeżdżał pan w piątek czy w sobotę?

— W sobotę. Zdaje się, że o wpół do dziesiątej. Ale jeszcze wcześniej zszedłem na dół poinformować Wilsonów, że wrócę dopiero dzisiaj rano.

— To znaczy, że widział się pan z Wilsonami? A podobno wyjechali w sobotę rano, o dziewiątej, jak mówił pan Wilson.

Simon posłał mu serdeczny uśmiech. — W takim razie musiałem ich widzieć o dziewiątej. Panna Draper mijiała mnie na schodach. Proszę ją spytać. Albo panią Hyde. Kiedy wracałem na górę, wyszła na korytarz po mleko. Na

pewno obie zapamiętały lepiej niż ja, o której dokładnie to było.

—A więc w sobotę ani razu nie widział pan pani Morris?

—Nie.

—A czy można spytać, gdzie pan spędził weekend?

—Jasne. U starych znajomych w Sussex. Czy mam podać ich adres?

—Poproszę.

Idzie nad wyraz gładko, uznał Mont. Tyle że to wszystko okazywało się kompletnie bezużyteczne.

—Czy do Sussex pojechał pan samochodem?

Simon znów posłał mu szeroki uśmiech. — O nie. Nie stać mnie na samochód. Wsiadłem w pociąg na Victorii.

Czując, że rozmowa schodzi na boczne tory, Mont szybko wrócił do tematu. — A więc pani Morris pracowała u pana w piątki? — dociekał.

—Tak, ale w zeszły piątek ją zganilem. Niestety, nie byłem z niej zadowolony.

—Och, a to dlaczego?

—A czy to ważne, skoro biedna kobiecina dostała już za swoje?

—Jak to, dostała za swoje?

Simon, bynajmniej nie zbity z tropu, roześmiał się drwiąco.

—No, może źle się wyraziłem, ale takie myśli mimo woli chodzą po głowie.

—Jakie myśli?

—No cóż, sam pan wie, że miała swoje za uszami. Nie chciałbym być niedyskretny, bo nie wiem, co pan słyszał od innych.

—To znaczy, od kogo?

Simon otworzył szeroko swoje ładne oczy. — Od innych lokatorów, oczywiście. Od pani Hyde, dajmy na to...

—Proszę mówić dalej.

TLR

— Miała z panią Morris pewne utarczki — odparł powoli Simon. — Ale pani Morris nie udało się wydebić od staruszki ani pensa, i wcale się temu nie dziwię, a pan?

— To znaczy, że pani Hyde się panu zwierzała?

— Tak się pechowo składa, że budzę u ludzi zaufanie — odrzekł łagodnie Simon.

Przez ułamek sekundy inspektor doznał uczucia lekkiej odrazy, które zniknęło tak szybko, jak się pojawiło. — A pan Nelson? — spytał.

— Nelson, jak to lekarz... to znaczy, były lekarz... dopatrył się u niej jakiejś patologii.

— Nic z tego nie rozumiem, panie Fawcett.

— Skreślono go z rejestru czy jak to się tam nazywa. Nie wiedział pan o tym? W takim razie popełniłem niezłą gafę!

Mont znów poczuł odrazę, tym razem na dłużej. Zacisnął wargi. — On też się panu zwierzał? — spytał poważnym tonem.

— Ależ skąd — rzucił Simon, tryskając prostolinijną radością. — Nic podobnego. Raz tylko, kiedy nabawiłem się grypy, okropnie się przeraziłem, bo temperatura mi skoczyła i myślałem, że umrę tu, w swoim łóżku, i nikt się nawet o tym nie dowie. Doczołgałem się więc do drzwi, a potem na korytarz poprosić Nelsona, żeby wezwał jakiegoś lekarza. A że jestem kiepski w załatwianiu spraw i prawie wcale nie choruję, to nie miałem nawet swojego lekarza, sam pan rozumie. No i Nelson zaprowadził mnie z powrotem do łóżka i od razu zbadał. Przyznał mi się wtedy, że był lekarzem, ale skończył z tym i dlatego nie może przepisywać leków. Przyniósł mi tylko jakiś specyfik, który akurat miał pod ręką, i powiedział, że jeśli w ciągu paru godzin nie zadziała, to wezwie do mnie swojego lekarza. Ale zadziałał, no i na tym się skończyło.

— A czy przyznał się panu, że pozbawiono go prawa wykonywania zawodu?

— W końcu tak, ale lepiej będzie, jeśli sam pan to sprawdzi

— odparł Simon, uśmiechając się do niego promiennie.

Mont zebrał się w sobie. — Przed chwilą sugerował pan, że pani Morris miała jakichś wrogów.

— Naprawdę?

— Powiedział pan, że dostała za swoje. To znaczy, za co, panie Fawcett? Może za szantaż?

— Tak tylko sobie pomyślałem.

— A kogo właściwie szantażowała?

— Przykro mi, ale sam będzie pan musiał to zbadać, panie inspektorze — odparł grzecznie Simon.

— A może to *pana* szantażowała?

Simon roześmiał się. — Wykładowcę z uczelni? To chyba kiepski interes.

— Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

— Odpowiedź jest krótka: nie. Podobnie jak pani Hyde, nie należę do ludzi, którzy pozwalają się szantażować.

Taka odpowiedź była co najmniej dwuznaczna, uznał inspektor Mont w drodze powrotnej do Scotland Yardu.

### 3

We wtorek rano do najbliższego posterunku policji w Kilburn trafiła torebka pani Morris. Przyniósł ją młody pracownik agencji nieruchomości. Wyjaśnił przy tym, że właśnie pokazywał potencjalnym najemcom pewien niezamieszkały dom w okolicy, kiedy natknął się na tę rzecz. Leżała tuż za wejściowymi drzwiami. Dom był stary i dlatego przez długi czas świecił pustkami. Na drzwiach miał szeroki otwór na listy, przez który łatwo zmieściła się mała i na oko pusta torebka.

—A zajął pan do niej? — spytał dyżurny policjant.

—Tak tylko rzuciłem okiem. Ludzie, którym pokazywałem dom, stwierdzili, że to dziwny sposób na pozbycie się starej torebki, i poradzili mi zostawić ją tam, gdzie leżała, ale wolałem tego nie robić.

—I bardzo dobrze.

—Mój szef kazał mi ją zabrać. Powiedział, że może trafi mi się jakaś nagroda. Ale ja jakoś w to nie wierzę. To mi nie wygląda na zgubę, raczej ktoś celowo chciał się jej pozbyć.

Policjant nic nie odpowiedział, tylko poprosił młodzieńca o nazwisko i adres i wrócił do swojego biura.

Na pierwszy rzut oka torebka rzeczywiście wyglądała na pustą. Dopiero po przetrząśnięciu jej do góry dnem wypadło małe, szklane lustro, a tuż za nim dwa skrawki papieru, które okazały się przedartym na pół czekiem na trzydzieści funtów, wypisanym na nazwisko Simon Fawcett przez niejaką Penelope Dane.

Miejscowemu inspektorowi, który już kontaktował się z nadinspektorem Montem, nazwisko Fawcett wydało się znajome. Torebkę natychmiast zabezpieczono przed dotykaniem niepożądanych rąk i wysłano do Scotland Yardu na szczegółowe badania. Ich wyniki okazały się bardzo cenne.

—Oczywiście, należała do tej Morris — oznajmił później Mont sierżantowi Clayowi. — Jej córka ją rozpoznała, no i na szczęście jest na niej parę odisków. Należą do Morrisa, jej męża.

—To znaczy, że już po sprawie? — spytał Clay. — Czyli teraz trzeba tylko go przyskrzynieć...

—Aż sam nie mogę w to uwierzyć — przyznał Mont.

Stali w kuchni w domu pani Morris w Camden Town. Jej dwaj synowie, chwilowo bezrobotni, obijali się w salonie, popalając papierosy i co jakiś czas gapiąc się w telewizor. Raz po raz tylko dawali sobie znać, gdzie poszli dwaj gliniarze. Nie byli szczególnie przejęci całą tą sytuacją, ale obecność stróżów prawa w ich domu wyraźnie im przeszkadzała. Mimo to zachowywali się nadzwyczaj spokojnie. Śmierć matki głęboko ich poruszyła — jeszcze nigdy

w życiu nie mieli do czynienia z tak brutalną przemocą. A poza tym cały ten rozgłos wprawiał ich w zakłopotanie, wręcz wydawał się szkodliwy. Dziennikarze byli zbyt wścibscy. Gdyby matka nie wykitowała, to już dawno by ich pogoniła. Mieli do niej żal o to, że nie potrafiła się obronić, a jeszcze większą urazę do ojca, że zajrzał do nich w piątek, krótko przed zabójstwem matki i, jak zwykle, wybuchła awantura: ojciec zrobił scenę, a potem sobie poszedł. Glinom musieli powiedzieć, że tu był, ale zaprzeczyli, jakoby doprowadził do kłótni, co zresztą i tak na nic się zdało. Tak naprawdę wcale nie mieli zamiaru nic dla niego robić. Bo czy on kiedykolwiek zrobił coś dla nich?

Mont i Clay dokładnie przeszukali cały dom. Nie znaleźli nic, co wskazywałoby na jakąkolwiek działalność przestępczą pani Morris, co zresztą bynajmniej ich nie zaskoczyło. W szufladzie w sypialni natknęli się jednak na mały, dziwaczny zbiór pudełek i fiolek z tabletkami i środkami uspokajającymi, z których wszystkie figurowały w wykazie niebezpiecznych leków, a przy tym zostały wyprodukowane przez tę samą firmę farmaceutyczną i opatrzone etykietą z napisem „próbka”.

Leki leżały na kuchennym stole, starannie ułożone w rzędzie. Mont wziął każdy kolejno do ręki i obejrzał. — To tylko próbki — orzekł, marszcząc brwi. W jego głowie zaświtała pewna myśl, na razie zbyt mglista, by wypowiedzieć ją na głos. Zgarnął więc wszystkie opakowania i zabrał ze sobą do Whitehall.

Synowie pani Morris odprowadzili policjantów wzrokiem, po czym bez słowa wyszli do kuchni zaparzyć herbatę, zostawiając w pokoju włączony telewizor. Od tej wizyty nieproszonego gościa strasznie zaschło im w gardłach.

Tymczasem w Scotland Yardzie Mont poprosił o książkę telefoniczną i zadzwonił do firmy farmaceutycznej, która wyprodukowała leżące przed nim na biurku leki.

— Oni zatrudniają Nelsona — oświadczył później Clayowi.

— Weiska ich produkty lekarzom. No wiesz, w tym biznesie bardzo się przydaje jakiś trefny doktorek — dodał na widok zdziwionej miny sierżanta. — Pijak, bankrut czy coś w tym stylu. Taki to przynajmniej rozumie, o czym ma tym lekarzom gadać. Sam widzisz, że to wszystko próbki. — Ruchem dłoni wskazał na maleńkie fiołki i opakowania. — Na pewno prezentuje je

klientom i lekarzom, którzy okażą zainteresowanie. Wystarczy tylko, że się potem podpiszą. Nic prostszego niż podrobić podpisy lekarzy, a próbki wziąć dla siebie, nie?

—I sprzedać jakimś lekomanom na czarnym rynku za pośrednictwem pani Morris?

—Mniej więcej. Oczywiście, część zysków trafiała do niej. I tu mam dla ciebie zadanie, Fred. Przejdź się po lekarzach i dowiedz się, ile wzięli tych próbek i kiedy to było.

—Po jakich lekarzach? A wiemy chociaż, w jakim rejonie pracował Nelson?

—Nie wiemy. Słuchaj, nie chciałbym narobić mu bigosu w firmie z powodu zwykłych domysłów. Będziesz musiał trochę za nim połązić i ustalić, gdzie dokładnie pracuje. Z tego, co wiem, nie ma samochodu ani roweru i nie wyjeżdża z miasta, więc to musi być gdzieś tu, w Londynie.

—Niezmiernie mi to pomoże, nie ma co! No więc założmy, że trafię do tych lekarzy — i co wtedy? Przecież żaden z nich nie maczał w tym palców. Myśli pan, że w ogóle będą pamiętać, czy brali jakieś próbki leków?

—Na pewno, jeśli tylko podawali je pacjentom. W przeciwnym razie nadal trzymają je w apteczce. Muszę wiedzieć, jakim cudem te leki trafiły do pani Morris. Ślad prowadzi do Nelsona i nie potrzeba bujnej wyobraźni, by się domyślić, że właśnie to mogło stanowić motyw zabójstwa.

—Zakładając, że bardziej opłacało jej się szantażować go za ich kradzież kamuflowaną fałszywymi podpisami niż zwyczajnie je sprzedać?

—No, powiedzmy. Ale najpierw musimy mieć dowody na to, że rzeczywiście je ukradł. A to już twoja robota.

—Jasne, szefie.

Po wyjściu Clay Mont zamknął próbki na klucz i przez dłuższą chwilę znów uważnie oglądał podarty czek. Najprościej byłoby udać się do Simona Fawcetta, skoro czek wypisano na jego nazwisko, ale inspektor uznał, że ciężko się z nim dogadać, a poza tym zawsze korzystniej jest rozszerzyć śledztwo. Zatelefonował więc do banku, którego nazwa widniała na czeku, i



poprosił z dyrektorem. Tamten, choć uprzejmy, okazał się raczej powściągliwy.

— No więc mówi pan, że znaleźliście jakąś torebkę... — powtórzył.

— Właściwie to ktoś ją do nas przyniósł, a w środku jest czek waszego banku z podpisem Penelope Dane. D-A-N-E. Może mi pan powiedzieć, czy ta osoba ma u was konto?

— Tak, zgadza się. Mamy tu konto panny Dane.

— A poda mi pan jej adres, żebym mógł się z nią skontaktować?

— Proszę napisać do niej na adres banku, a prześlemy jej informację — odparł sztywno dyrektor.

— Ale to bardzo pilna sprawa. Skoro nie chce mi pan podać jej adresu, to niech mi pan powie chociaż, gdzie ją znajdzie.

W słuchawce zapadła cisza. — Studiuję na Uniwersytecie Londyńskim — odparł wreszcie dyrektor. — Nic więcej nie mogę powiedzieć.

Byleby potem nie było na niego, pomyślał Mont, poirytowany. Podziękował dyrektorowi banku, wyciągając od niego jeszcze nazwę wydziału, na którym studiowała Penelope.

To, co nastąpiło potem, było tylko męczącą stratą czasu: nowy rok akademicki jeszcze się nie zaczął i kwestor uczelni odesłał Monta do Huberta Dane'a, gdzie zastał jedynie zdziwioną gosposię, która, dziwnie przerażona, poleciła mu udać się do niejakiej panny Caroline Feathers. Jej adres znalazł w książce telefonicznej, ale dziewcząt akurat nie było w domu. Penelope zastał dopiero późnym wieczorem.

Jej zdziwienie, jak zauważył, było ogromne i szczere. Dziewczyna nie miała nawet pojęcia o śmierci pani Morris. W gazecie, którą Mont dostrzegł na stole, nie było na ten temat choćby najmniejszej wzmianki. Po usłyszeniu rysopisu denatki dziewczyna przyznała, że widziała ją tylko raz, i wszystko wskazywało na to, że mówi prawdę. — To znaczy, jeśli ta kobieta, którą mijalam na schodach, to była pani Morris — dodała.

— A swoją drogą to trochę dziwna pora na jej wizyty w mieszkaniach, co?

— Naprawdę trudno mi powiedzieć.

Mont zastanawiał się, który z lokatorów mógłby to potwierdzić. W końcu postawił na pana Nelsona. I spytał: — A więc nie zna pani szczegółów jej grafiku w tym bloku?

— Byłam tam tylko raz — odparła Penelope, w duchu dziękując Bogu, że się nie rumieni. — Wróciliśmy... to znaczy, wróciłam właśnie z Francji... — Zerknęła na niego wyzywająco, wściekła na siebie za to przejęzyczenie.

— A czy pan Fawcett też był we Francji? — zagadnął inspektor wymijającym tonem.

— Tak. Ten wyjazd zorganizowała uczelnia. W sumie pojechało nas dwadzieścioro.

— Rozumiem.

Mont pokazał jej dwie połówki podartego czeku. — Tak się składa, że to wpadło w nasze ręce. Czy może pani potwierdzić, że to pani pismo?

Penelope wydała z siebie stłumiony okrzyk. Szok był ogromny, tym bardziej że od razu przypomniał się jej tamten fatalny wieczór, który usilnie próbowała wymazać z pamięci. Na czole poczuła chłód, a cały pokój, nagle pogrążony we mgle, zawirował wokół niej. Siłą woli jednak wyprostowała się na krześle i spojrzała na inspektora, który przyglądał się jej ze spokojną uwagą. A gdy poczuła się na tyle silna, by wydobyć z siebie głos, odparła powoli: — Tak, to moje pismo. Gdzie to znaleźliście?

Głupi ten Simon, że go tak podarł i rozrzucił pewnie po pokoju, pomyślała. Wszystko wskazywało na to, że tak właśnie zrobił. Tylko jakim cudem czek dostał się w ręce tego policjanta? I co ma wspólnego z panią Morris, od której zaczęła się cała rozmowa? Penelope żałowała, że nic nie wie o tej sprawie i że od początku jej nie śledziła.

Inspektor zignorował jej pytanie. Chciał za to wiedzieć, kiedy i w jakim celu wypisała czek.

— Tamtego wieczoru, zaraz przed wyjściem od pana Fawcetta. To... były pieniądze za wycieczkę.

— I wpłaciła je pani dopiero po powrocie? Zwykle chyba płaci się przed

wyjazdem?

—No tak — przyznała Penelope i, zmyślając na poczekaniu, dodała: — Ale tak się złożyło, że przed wyjazdem nie miałam pieniędzy, bo kieszonkowe... od ojca, miało wpłynąć dopiero później, no i pan Fawcett był tak miły, że... no, w każdym razie po powrocie zapłaciłam mu należną kwotę.

—A jednak czeku nie zrealizowano — zauważył cierpliwie Mont. — I jak to pani wytłumaczy?

Penelope była u kresu wytrzymałości. — A niby z jakiej racji mam to panu tłumaczyć? — rzuciła gniewnie. — Ja mu tylko dałam czek. Mógł z nim zrobić to, co mu się żywnie podoba, prawda? Nic nie widziałam, bo mnie tam nie było.

—Niby skąd ja mam to wiedzieć — odparł łagodnie Mont. Widok czeku tak dziewczynę zaszokował, że cała zbladła i omal nie zemdląła, a potem poczerwieniała ze złości. Najwyraźniej był dla niej czymś więcej niż zwykłą transakcją.

—Mówię przecież, że mnie tam nie było — fuknęła Penelope. Czuła, że facet łyknął wszystkie jej blefy i nabrała pewności siebie. — No, ale nie powiedział mi pan jeszcze, gdzie go znaleźliście.

—W torebce pani Morris.

—A, u pani Morris... — westchnęła głęboko z ulgą. — To czemu od razu pan nie mówił? Teraz wszystko rozumiem. Pani Morris! Na pewno wyszperała podarte kawałki papieru w koszu na śmieci w pokoju Simona. Widocznie nie chciał ode mnie tych pieniędzy. Z tego, co wiem, przed wycieczką wpisał mnie na listę osób, które zapłaciły, bo — jak już panu wspomniałam — sam za mnie zapłacił. On jest bardzo miły dla studentów, sam pan rozumie.

—Na to wygląda — przyznał Mont. Nie omieszkał zauważyć, że dziewczyna mówiła o nim po imieniu, co zresztą zbytnio go nie zdziwiło.

—Tyle że zrobił to samowolnie i nie bardzo wiem, co teraz zrobić.

—Najlepiej nic.

Popatrzyła na niego, unosząc brwi. Przecież to nie jego sprawa. — Chyba jednak powinnam wypisać mu nowy czek — odparła chłodno, wyciągając

dłoń po skrawki podartego papieru.

Ale inspektor Mont włożył je z powrotem do portfela, który wsunął do kieszeni. — Proszę stawić się jutro rano w Scotland Yardzie, panno Dane — powiedział przy tym. — Podpisze pani zeznanie, które mi pani dzisiaj złożyła. Dopilnuję, żeby je sporządzono, i jeśli nie zgodzi się pani z jego treścią, będzie pani mogła zmienić to i owo.

Mówiąc do niej, mierzył ją surowym wzrokiem, od którego niemal się skurczyła. Dobrze wiedziała, jak kiepsko idzie jej wymyślanie kłamstw, i bała się, że policjant zdążył już to zauważyć.

Gdy tylko Mont wyszedł z mieszkania, Penelope zatelefonowała do Simona. Wprawdzie nie widzieli się ani nie rozmawiali od tamtego wieczoru po powrocie z Francji, ale nagła sytuacja pozbawiła Penelope wszelkiego skrępowania, a chłodna aczkolwiek przychylna reakcja Simona ułatwiła jej wyjaśnienie całej sprawy.

Ostatecznie pochwalił jej pomysłowość, przyznał, że faktycznie podał czek i wyrzucił go do kosza, i spokojnym tonem oznajmił, że pani Morris niewątpliwie zabrała go po to, by móc szantażować jego, a nawet ich oboje.

— Jak to, szantażować?! — wykrzyknęła przerażona Penelope.

— Spokojna głowa — odparł Simon, śmiejąc się lekko. — Przecież już nic nam nie zrobi, nie?

— Myślisz, że ten inspektor wie...?

— Zdaje się, że o pani Morris wie dużo więcej niż ja czy ty kiedykolwiek będziemy w stanie się dowiedzieć — odparł łagodnie. — Ale potwierdzę wszystko, co mu powiedziałaś, i na tym powinno się skończyć. A w ogóle co tam u ciebie? Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę na rozpoczęciu roku na uczelni. A to już za dziesięć dni, prawda?

Ale Penelope nie odpowiedziała i odłożyła słuchawkę. Co za tupet! Cholerny bezczelny arogant! I z takim spokojem mówi o szantażu! Przypomniały jej się opowiadane przez Simona historie — niekiedy przyprawiające ją o dreszcz obrzydzenia — o różnych świństwach i przestępstwach wśród ludzi, których nikt by o nic nie podejrzewał. W okolicy serca poczuła lodowaty chłód. Najwyraźniej to wszystko prawda, skoro teraz jedna

z tych historii miała miejsce tak blisko niej. Postanowiła zdobyć egzemplarze gazet z ostatnich dziesięciu dni i dowiedzieć się, co tak naprawdę przydarzyło się pani Morris. Dopiero wtedy zdecyduje, czy rzeczywiście trzeba ustrzec Simona, siebie, krewnych i przyjaciół przed wplątaniem się w ten koszmar.

Po wyjściu od panny Dane inspektor Mont był niemal pewien, że pierwsze, co zrobi dziewczyna, to zadzwoni do Fawcetta. Zastanawiała go ta sprawa z czekiem. Może powinien był od razu zawieźć dziewczynę na komendę, żeby złożyła zeznania, a sam udać się do Fawcetta. A może ten czek wcale nie był aż tak ważny i stanowił tylko kolejny dowód skłonności pani Morris do zbieractwa. Tylko skąd taka gwałtowna reakcja dziewczyny? Czy miało to jakiś związek z Fawcettem, czy może z zabójstwem? Mont uznał, że chodziło tylko i wyłącznie o Fawcetta, i ruszył do Kilburn, gdyż jedynym rozsądnym krokiem, jaki mógł teraz zrobić, było potwierdzenie wersji dziewczyny, które właśnie tam, jak sądził, na niego czekało.

I się nie pomylił, jednak mimo usilnych starań nie mógł się połapać, ile było w tym prawdy, a ile kłamstwa. Bo niby skąd wziąć inne wytłumaczenie niż to, które usłyszał od dziewczyny, a które Fawcett niewzruszenie potwierdził? Zresztą nawet jeśli tych dwoje łączył romans, to w kwestii czeku nie miało to żadnego znaczenia, a co najwyżej tłumaczyło podenerwowanie dziewczyny. Do głowy przyszło mu kilka prostych i jeden czy dwa mgliste powody, dla których ta dziewczyna miałaby dać czy choćby tylko pożyczyć starszemu od siebie mężczyźnie trzydzieści funtów. Tylko czy miało to jakiegokolwiek odniesienie do rzeczywistości, w jakiej żyli ci dwoje? Raczej nie. Za to kompletnie nie widział powodu, dla którego zniszczono czek zamiast zrealizować go w banku — chyba że Fawcett naprawdę zdobył się na taką hojność. Mont wprawdzie ledwo go znał, ale jakoś nie chciało mu się wierzyć, że Fawcett to hojny człowiek. Wygadany, czarujący, uprzejmy — ale tylko w pewnym sensie. I — także w pewnym sensie — sympatyczny. Ale żeby zaraz rozdawał pieniądze? Wystarczyło się rozejrzeć po jego nędznym pokoju, zawalonym książkami wysypującymi się ze zbyt wąskich regałów,

by się domyślić, że ten człowiek ledwo wiąże koniec z końcem ze swojej pensji i że nie stać go na taką donkiszotowską hojność.

O co więc tu chodzi?

Simon tymczasem rozsiadł się w swoim ulubionym fotelu i z rozbawieniem obserwował poważną twarz policjanta, w duchu próbującego go podsumować. Czuł się odprężony, jakby panował nad sytuacją. Na szczęście pamiętał, że przed wyjazdem do Francji zebrał pieniądze od uczestników, po czym całą kwotę, podjętą z jego własnego konta w banku, wpłacił kwestorowi uczelni. Tym sposobem ten sumienny gość nigdy nie dojdzie do tego, że Penelope tak naprawdę wpłaciła pieniądze na czas. Jedyne dowód to rachunki na ich kontach, a takiej informacji bank nie może ujawnić i na pewno tego nie zrobi. Tak więc, gdy tylko Mont zaczął go wypytywać, Fawcett odpowiadał swobodnie, zadowolony, że nic mu nie grozi.

— Pochodzę z zachodniej części kraju — oznajmił. — Z Beltonston, w samym sercu Anglii. Okolice Szekspira, prawdziwa angielska wieś: pola, żywopłoty, spokojne rzeki. Tam gdzie rodziły się wszystkie największe bunty i protesty. W bliskim sąsiedztwie Walii, która jest, rzekłbym, bezpieczną kryjówką. — I zaśmiał się, po części ze swojej poetyckiej mowy, a przede wszystkim z pełnej szacunku konsternacji, którą dostrzegł na twarzy Monta.

— Rozumiem, że dotąd zajmował się pan nauczaniem? — zagadnął ten drugi, licząc na to, że poza nazwą rodzinnego miasta wyciągnie z niego więcej konkretów.

— Tak. Studiowałem na Oksfordzie. Zacząłem późno, zaraz po wojnie i zrobiłem dyplom z historii. A potem uczyłem w Summermoor i w gimnazjum w Yorkshire.

— I jak długo pan tam pracował?

— Kopę lat! Siedem czy osiem, zresztą sam pan się doliczy. Na uczelni pracuję od sześciu lat.

— A kiedy dokładnie studiował pan na Oksfordzie?

— Zaraz, niech pomyślę. Kiepski jestem, jeśli chodzi o daty. Co za absurd, jak na historyka, nie?

Obaj się roześmiali, ale Mont nie odpuścił.

— No dobrze. Sześć plus siedem..., tak, chyba siedem... równa się trzynastu. Plus trzy... to szesnaście, a więc to musiało być w roku...

—tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym — odpowiedział szybko Mont. — Wtedy zaczął pan studia na Oksfordzie.

—Na to wygląda.

—Po wojnie?

—Tak, to było zaraz po wojnie.

—A gdzie pan służył w czasie wojny?

Twarz Simona zachmurzyła się na krótko. — Wcale nie służyłem. Dostałem kategorię E — odparł.

Mont zdziwił się. — Jeśli wolno mi zauważyć, wygląda pan na zdrowego.

—Astma — uciął Simon, a jego pociemniałe oczy dziwnie pustym wzrokiem zaczęły błądzić gdzieś po ścianie za plecami inspektora. — Tak mi napisał lekarz w zaświadczeniu, które przekazał komisji.

Jego frapująca relacja o chorobie wprowadziła Montę w zakłopotanie. — I *naprawdę* była to astma? — spytał.

—Oczywiście, jak najbardziej.

—A przeszedł pan jakieś leczenie?

—I to bardzo pomyślne. Na Oksfordzie byłem już całkiem zdrowy i od tamtej pory prawie wcale nie choruję.

Uśmiechnął się, a Mont nagle oprzytomniał. Najwyraźniej Fawcett nie miał ochoty przyznać się do choroby, którą w dużej mierze można by uznać za psychiczną. To przez tego typu chorobę został zwolniony z czynnej służby wojskowej.

Simon znowu się uśmiechnął. — Daję głowę, że byłby ze mnie bardzo kiepski żołnierz — powiedział, co tylko utwierdziło Montę w przekonaniu, że się co do niego nie myli.

—Leczyli pana w domu czy w szpitalu? — dociekał, by dotrzeć do innych źródeł informacji na wypadek, gdyby było to konieczne.

—W domu.

—A jak się nazywał pański lekarz?

—Och, to ciężka sprawa — odparł Simon, uśmiechając się pogodnie. — Minęło już tyle lat. Chyba jakoś... Gordon? Zdaje się, że jakoś tak. Ale ostatnio bardzo rzadko bywam u lekarza.

—A tak, już mi pan mówił. Szczęściarz z pana, nie? Z tego, co wiem, astma to przewlekła choroba z częstymi nawrotami.

—O, to *tym bardziej* szczęściarz ze mnie.

Mont uznał, że nie da się dalej przeciągać tej rozmowy. Facet sprawiał wrażenie zaprzysięgłego kawalera: nie pozostawał w żadnym poważnym związku, oboje rodzice nie żyli, miał tylko paru przyjaciół wśród mężczyzn, pracę na uczelni i studentów. Topowy intelektualista. Jak to się o takim mówi? Zamknięty w wieży z kości słoniowej? Nic, tylko siedzi z nosem w książkach. W sprawie zabójstwa pani Morris za wiele nie pomoże, jest zanadto roz-targniony. Nie zauważyłby nawet, gdyby ta kobieta okradała go na jego oczach.

I wtedy coś sobie przypomniał: podobno Fawcett ją zwolnił, jak sam zresztą przyznał, unikając wszelkich wyjaśnień.

Zafrapowany krążącymi mu po głowie myślami, inspektor podniósł się z miejsca. Simon zrobił to samo, uprzejmie kierując się do drzwi, by wypuścić gościa.

—A tak przy okazji — rzekł Mont, wychodząc z mieszkania. — Nie powiedział mi pan jeszcze, dlaczego zwolnił pan panią Morris.

—Naprawdę? — Simon, niższy od niego o pół głowy, podniósł na niego pytający wzrok. — Chodzi o to, że zabierała stąd różne rzeczy. Przeważnie jedzenie, czasami książki. A ja nie mogłem na to pozwolić. Mówiłem jej o tym, ostrzegałem, ale na próżno. No i w zeszły piątek postanowiłem, że musi odejść.

Mont pokiwał głową i ruszył schodami na dół. Nasłuchując jego kroków



na korytarzu, Simon zaczekał, aż tamten wyszedł na ulicę, po czym wrócił do swojego pokoju z podniesioną głową i lekkim uśmiechem zadowolenia na twarzy.

## 4

Przez następne dwadzieścia cztery godziny Penelope zachodziła w głowę, o co policja wypytywała Simona i co on sam im powiedział. Była już w Scotland Yardzie złożyć zeznanie i miała tylko nadzieję, że podała im te same szczegóły, które wymyśliła zeszłego wieczoru. Co za szczęście, że jednak nie anulowała tego czeku, pomyślała. Odkąd wróciła z Francji, nie dostała jeszcze wyciągu z konta i nie miała pojęcia, że Simon nie zrealizował czeku. No i wymyśliła na poczekaniu byle wymówkę, bardzo prostą zresztą, a Simon przyjął ją bez problemu. Czy to oznaczało, że wymówka rzeczywiście była aż tak świetna?

Próbowwała sobie przypomnieć, jak dokonywali wpłat za wycieczkę. Na ostatnim zebraniu, na którym omawiali szczegóły wyjazdu, Simon musiał dostać jakieś чеки od paru studentów. Wcześniej prosił zresztą, by wypisać je na jego nazwisko. Jeszcze inni płacili mu gotówką. Prawdopodobnie Simon zapłacił organizatorowi wycieczki чеkiem ze swojego konta. Tylko czy policja zdoła do tego wszystkiego dojść? Czy uda im się wywęszyć, że ona zapłaciła za wycieczkę jeszcze przed wyjazdem?

Po wyjściu z Yardu zaczęło ją dręczyć sumienie. Bądź co bądź, dopuściła się krzywoprzysięstwa. Podpisała zeznanie, które od początku do końca było kłamstwem. Za coś takiego można przecież trafić do więzienia. A poza tym, jeśli prawda wyjdzie na jaw, to pewnie zaczną ją podejrzewać, że jest zamieszana w to paskudne morderstwo? Tego właśnie najbardziej chciała uniknąć.

Ruszyła wzdłuż Whitehall, odtwarzając smętnie w pamięci krótką rozmowę telefoniczną z Simonem. Nie wydawał się ani trochę zadowolony, co zresztą było do niego podobne, zważywszy na jego charakter, tak dobrze znany Penelope. W sprawach praktycznych zawsze wydawał się zdumiewająco młody i niewinny, co dziwnie przeplatało się z jego ogromnym wyrafinowa-

niem wobec ludzi i ich zachowań.

Uznała, że nie ma ochoty dalej nad tym rozmyślać. Po raz pierwszy niespodziewanie zdała sobie sprawę, że cały ten temat Simona zaczyna ją nudzić. Nie tylko psychicznie, tak jak we Francji, ale i emocjonalnie. Dopadła ją kompletna nuda. To słowo rozbrzmiewało jej w głowie raz po raz, jakby wyryte wielkimi literami: NUDA. Simon ją nudził. Nacierpiała się przez niego bardziej niż przez kogokolwiek w całym swoim życiu. Ale teraz to wszystko z niej wyparowało i nagle uznała, że ta miłość, ta wielka namiętność, też ją nudzi.

Zatrzymała się na Trafalgar Square i stanęła w miejscu. Ciągłe towarzyszył jej niepokój, głównie z powodu zeznania, który rósł z każdą chwilą. Postanowiła się kogoś poradzić. Byle nie ojca. Za bardzo się od siebie odsunęli, a poza tym jako prawnik byłby głęboko zszokowany tym, co zrobiła, i oczywiście uznałby ją za osobę wielce niemoralną czy wręcz za przestępczynię.

A może John? Nie, John odpada. To byłoby nie fair, a zresztą i tak wrócił już do Portsmouth. Najlepiej Diana, zdecydowała w duchu. Tak, Diana była właściwą osobą. Teraz Penelope mogłaby powiedzieć jej wszystko, i to bez najmniejszego skrepowania. Bo na dobrą sprawę Diana powinna o tym wiedzieć. Przy okazji podartego czeku Simon wspomniał o szantażu, a to stawało zarówno Dianę, jak i ją samą, nad krawędzią niebezpieczeństwa. Groziło ono zwłaszcza Dianie, ze względu na Billa. Biedny Bill... I nagle Penelope poczuła się nad wyraz dojrzała, rozsądna i niezależna, litując się nad biednym Billem i, rzecz jasna, nad tą biedną Dianą.

Diana tymczasem wcale nie była zachwycona widokiem Penelope. Po pierwsze — zbliżała się pora lunchu i zamierzała zjeść w domu kanapkę z serem, bo Bill pojechał do szpitala, a w tej sytuacji musiała też zaproponować posiłek dziewczynie. Najprościej byłoby zabrać ją do jakiejś restauracji, ale to za duży kłopot. A poza tym wcześniej dzwonił Simon i miał wpaść po południu, a to oznaczało, że trzeba będzie jak najszybciej spławić Penelope. Co za udręka. Piekielne utrapienie...

Penelope też nie spodziewała się serdecznego powitania, dlatego chłód ani gorączkowa krzątanina Diany wcale jej nie zdziwiły. Nie widziała się z Allinghamami od czasu, gdy matka Billa wyjechała do domu, a przedtem dwa razy zaprosili ją na obiad, co wówczas było dla niej zaskoczeniem. Pewnie

dlatego, że starsza pani nalegała — pomyślała dziewczyna, kiedy między nią a Dianą zapadło milczenie. Albo z czystej uprzejmości. Albo po to, żeby wyperswadować jej związek z Simonem, chociaż starsza pani ani razu nie próbowała prawić jej kazań. To dziwne, że wtedy w ogóle nie przyszło jej to do głowy. Wiadomo — była zakochana po uszy. Czy zawsze już tak będzie?

—No więc — zaczęła Diana, kiedy Penelope usiadła, wpatrując się w nią dłuższą chwilę bez słowa. — Jak było na wycieczce?

—We Francji? Cudownie.

W głosie Penelope nie było cienia entuzjazmu, a wręcz zabrzmiała w nim nuta zdziwienia, że coś, co miało miejsce już dawno temu, ma jeszcze dla Diany jakieś znaczenie.

Diana zerknęła na zegarek. — Przykro mi, ale nie mam nic dojedzenia — oznajmiła. — Możemy zjeść coś na mieście.

—Nie, nie. — Penelope otrząsnęła się z zamyślenia. — Nie, Di, nie trzeba. Nie czekam na to. Przyszłam, bo muszę ci coś powiedzieć. Chciałabym cię tylko uprzedzić.

—*Uprzedzić?* A niby przed czym?

I Penelope wszystko jej opowiedziała: o śmierci sprzątaczkii, o tym, że to było zabójstwo, że policja wypytuje wszystkich lokatorów bloku i że w torebce zamordowanej znaleźli jej czek.

—Rany boskie! — szepnęła Diana. Czek z nazwiskiem Simona. Nieważne, że z podpisem Penny. Ten czek sugeruje powiązania Simona z tą starą wiedźmą, co u niego sprzątała. Tyle opowiadał jej o pani Morris i o jej pogroźkach, ale zawsze przedstawiał to tak, jakby udało mu się ją odstraszyć.

—Wszystko przez tę jego lekkomyślność — dorzuciła Penelope. — Widać podarł mój czek i wyrzucił, a ona go znalazła i zabrała.

—Ale dlaczego go podarł?

Penelope opowiedziała jej całą prawdę. Diana wlepiła w nią wzrok. — A czy Simon wspomniał, po co masz mu pożyczyć te trzydzieści funtów? — spytała ostro.

—Nie. Chyba że... to ta kobieta wyłudziła je od niego przez szantaż? To znaczy, że ona wiedziała...? — tym razem Penelope wlepiła w Dianę przerażony wzrok. Z każdą chwilą zgubna czeluść zapadała się coraz głębiej.

—O mnie? Simon uważa, że pani Morris sama się domyśliła, chociaż nigdy tam nie byłam. Ale masz rację, on bywa czasem bardzo lekkomyślny. Ostrożny, a zarazem cholernie beztroski. Z nim to nigdy nic nie wiadomo. Ale czemu nie pożyczył tych pieniędzy *ode mnie*? Uniknąłby tych wszystkich... tarapatów z twojego powodu.

—Chyba jednak nie mógł, skoro cię zostawił, prawda?

—On mnie zostawił? Biedactwo, ty chyba nie myślisz, że twój głupi romans z Simonem przeszkodził *naszemu* związkowi?

Szkoda, że spóźniła się ze swoją zemstą — pomyślała Penelope, uśmiechając się do Diany, której gniewną minę miała przed oczami.

—Tego nie wiem — odparła spokojnie. — Gdybym z nim była, to mnie na pewno by przeszkadzało. Ale ty widocznie potrafisz się dzielić.

I zanim Diana zdążyła pośpieszyć z ripostą, zrelacjonowała jej rozmowę z inspektorem i jej zakończenie.

—Dlatego właśnie tu przyszedłam — dodała. — Żeby ci o tym powiedzieć. Od razu powiadomiłam też Simona, żeby podał tę samą wersję.

—A kiedy się z nim widziałas?

—Wcale się z nim nie widziałam. Przestaliśmy się spotykać. To koniec. Myślałam, że wiesz — mówiła Penelope spokojnym, stanowczym tonem. Na twarzy Diany dostrzegła niedowierzanie. Mimo to nie mogła się powstrzymać, by nie zadać swojej byłej, zwycięskiej rywalce jeszcze jednego ciosu. — A wszystko przez tę różnicę wieku. Sęk w tym, że ja i Simon to dwa różne pokolenia. A poglądy na świat znacznie się zmieniły od czasów jego młodości.

Diana zaśmiała się szorstko. — Ty chyba sama nie wiesz, co mówisz — odparła. — Ale cieszę się, że z tym skończyłaś. Simon na pewno też się ucieszy.

—To znaczy, że jeszcze ci nie powiedział? Po tym, co mówiłaś, byłam

pewna, że od razu ci się zwierzy. Podobno wyznaje ci wszystko jak księdzu na spowiedzi... czy może raczej jak własnej matce.

Stały, rzucając sobie nawzajem gromiące spojrzenia, obie zawzięcie szukając słów, byleby tylko zranić tę drugą. Diana wycofała się jako pierwsza. Już od dawna czekała na to, by związek Simona i tej dziewczyny zakończył się fiaskiem. Bo Penelope nie należała do takich, które potrafiłyby zatrzymać Simona na dłużej — dla niego była jedynie przelotną fascynacją. A poza tym dziewczyna nie umiała sobie radzić z jego trudnym charakterem i skomplikowaną osobowością. I w ogóle tak naprawdę pewnie wcale go nie kochała, a przynajmniej nie tym stałym, żarliwym uczuciem co ona sama.

W jednej chwili Diana uspokoiła się i zdobyła na pobłażliwość. — I po co się tak gryźć jak pies z kotem? — powiedziała spokojniejszym tonem. — Zapamiętam, co mi powiedziałaś. Powinnaś chyba przestrzec jeszcze parę innych osób, które mogą być w to wmieszane.

— Na przykład, kogo?

— Nie wiem... Słuchaj, najlepiej pogadaj z Johnem, niech on ci doradzi.

— Z Johnem?! W życiu bym nie mogła go o to poprosić...

— A powinnaś. Właśnie przypomniało mi się, jak Simon mówił, że John był u niego i nieźle mu nawrzucał.

— A więc jednak do niego poszedł! A mówiłam mu, żeby tego nie robił.

— Co ty wygadujesz?

— No, bo to było tamtego wieczoru, kiedy wróciliśmy z Francji. Zostałam go w mieszkaniu Caroline. Byłam wtedy trochę nie w sosie. No i John wyparował stamtąd jak dziki, mimo że prosiłam go, żeby nie szedł do Simona. A on wściekł się na niego, bo nie chciałam powiedzieć, co się stało.

— W takim razie *koniecznie musisz* zobaczyć się z Johnem. Jeśli policja się dowie, że tamtego wieczoru był u Simona po twoim wyjściu i zrobił awanturę z *twojego* powodu, to ta twoja historyjka z czekiem zabrzmii raczej głupawo, nie?

Penelope skinęła głową. Tego właśnie się obawiała: jeśli nie uprzedzi ich wszystkich zawczasu, to zostaną wmieszani w to śledztwo.

Diana podeszła do telefonu. — Chcesz, żebym sama wykręciła jego numer? Chyba nawet lepiej będzie, jeśli zadzwoni jego ciotka, co?

Przy słowie „ciotka” skrzywiła się, a Penelope, która nie umiała długo żywić urazy i nie lubiła się kłócić, zwłaszcza z kimś tak skłonny do odwetu jak Diana, uśmiechnęła się i skinęła głową. Teraz, gdy zniknęła między nimi kość niezgody, nie miały już powodu do niesnasek.

John Allingham miał swoje powody, żeby pilnie zobaczyć się z Penelope, ale tym razem chodziło raczej o Simona niż o nią samą. Wysłuchał jej relacji o zdarzeniu z czekiem i zaraz spytał:

— Czy on kiedykolwiek potraktował cię brutalnie?

— Simon? Brutalny? W żadnym wypadku. A dlaczego pytasz, John? — dodała, kiedy się nie odezwał. — Pewnie przy tobie nie bawił się w delikatności?

Wtedy opowiedział jej, jak Simon się na niego rzucił i czym się to skończyło.

Penelope nie kryła przerażenia. — To zupełnie niepodobne do jego zasad... jeśli w ogóle jakieś ma. Nic z tego nie pojmuję, wierzyć mi się nie chce...

— Ale mnie chyba wierzysz?

— Absolutnie. Tobie zawsze, John.

— Dziękuję.

Siedzieli, wpatrzeni w siebie, nie mając śmiałości wyrazić tego, co krążyło im obojgu po głowie.

— Słuchaj, nie wydaje ci się, że coś z nim nie tak? — spytał wreszcie John. — No wiesz, leżał wtedy bez ruchu, a okazuje się, że nic mu nie było. Pomyślałem sobie, że w sumie to trochę podejrzany typ...

— Myślisz, że ma coś z głową? To znaczy, że Simon to wariat?

— No wiesz, po takich nie zawsze od razu widać. Czasem taka choroba objawia się bardzo powoli. Jak byłem w sierpniu na Gibraltarze, to jednemu facetowi odbiło z dnia na dzień. Nie mówiłem ci o tym? To pewnie przez to, że

tak rzadko się widywaliśmy.

Pokręciła smutno głową.

— Powinniśmy chyba powiedzieć o wszystkim twojemu ojcu — ciągnął. — Jak chcesz, to będę się trzymał twojej wersji z tym czekiem. Jeśli w ogóle będą mnie wypytywać, bo to mało prawdopodobne. Zrozum, gliny pojedą do twojego ojca i zaczną dociekać, czy rzeczywiście wysyłał ci kieszonkowe, i tak dalej. Lepiej chyba, żeby nie wystrzelił od razu z Simonem. Zresztą nie sądzę, żeby to zrobił, chociaż musiało mu być strasznie ciężko, co?

Dziewczyna skinęła ponuro głową.

— Myślę, że jeszcze dziś z nim pogadam — orzekł John. — Czy będzie wieczorem w klubie?

— Chyba tak — odparła Penelope i zanim zdążył wyjść, dodała: — Wiesz, tamtego wieczoru zerwałam z Simonem. Już mi na nim nie zależy...

Stali w drzwiach mieszkania Caroline. John nic nie odpowiedział, tylko wziął ją w ramiona, pożegnał długim, mocnym pocałunkiem i wyszedł, a ona została z ciepłym poczuciem ulgi i bezpieczeństwa, których nie zaznała od wielu miesięcy.

Hubert był nieco skrepowany, witając się z Johnem, ale kiedy dotarło do niego, że sprawa tyczy się nie tyle Penelope, co Simona Fawcetta, od razu okazał zainteresowanie.

— Słuchaj, to chyba niezbyt odpowiednie miejsce na taką rozmowę, co? — spytał. — Nawet jeśli znajdziemy jakiś zaciszny kąt czy pustą salę, to nie mogę ręczyć za całkowity spokój.

— No racja. Lepiej chodźmy do mojego auta.

— W takim razie jedźmy do mnie — orzekł Hubert, wyraźnie uspokojony. — Jadłeś już kolację?

— Owszem — odparł John nieco zgryźliwie, rozdrażniony sztywną postawą i drętwą mową Huberta. — Dziękuję, ale Penny przyrządziła mi pyszny posiłek.

Hubert przemilczał to, a kiedy dotarli do jego domu, polecił pani Byrne

zaparzyć kawę, a sam wyjął brandy i szklanki, nalał kapkę Johnowi, za to sobie nie pożałował.

— Podobno jeszcze dziś wyjeżdżasz — powiedział, jakby usprawiedliwiając swoje skapstwo.

John roześmiał się i przytaknął, że rzeczywiście musi zachować trzeźwość. Przez chwilę rozmawiali o jego pracy na statku Jej Królewskiej Mości *Excellent*, czekając, aż pani Byrne przyniesie kawę i wyjdzie.

— No, to mów, co z tym Fawcettem — zachęcił go Hubert.

John opowiedział mu, zmieniając nieco okoliczności zdarzenia tak, aby wyglądało na to, że poszedł przestrzec Simona o jego zagrożonym stanowisku na uczelni, gdyby romans z Penelope wyszedł na jaw, co pewnie stałoby się zaraz po wakacjach. Nie wspomniał tylko, że postraszył go Hubertem jako prawnikiem.

— Ale on zupełnie nie przejął się moimi słowami i dał mi do zrozumienia, że skończył z Penelope, a ona to potwierdza.

Ojciec dziewczyny przez dłuższą chwilę siedział w milczeniu.

— W takim razie powinienem chyba się cieszyć — powiedział wreszcie. — Choć nie będę ukrywał, że nie pojmuję dzisiejszych zasad moralnych, czy raczej ich braku... No, ale nie przyszedłeś tutaj wysłuchiwać mojego marudzenia o współczesnym świecie. Mów dalej, co i jak.

John wspomniał pobieżnie o czeku, powtarzając w skrócie wersję Penelope, i czym prędzej przeszedł do swojej szarpaniny z Simonem. Nie podał żadnego konkretnego powodu tej sprzeczki, za to szczegółowo opowiedział, jak tamten się na niego rzucił.

— Pal licha, że chwycił za nóż i się na mnie rzucił. Chodzi o to, co było potem: wytrąciłem mu nóż i dość mocno mu przyłożyłem, ale on zrobił unik i dostał w skroń. Mało brakowało, a połamałbym sobie knykcie. A Simon upadł i leżał tak bez ruchu. I właśnie to mnie zbiło z tropu. Puls miał w porządku, kolor twarzy mu się nie zmienił, oddech też był normalny, ale on leżał tylko z zamkniętymi oczami. Głowę daję, że był całkiem przytomny. Co do tego nie miałem wątpliwości, dlatego po prostu wyszedłem.



— Pewnie zwyczajnie stchórzył — skwitował Hubert z pogardą.

— A skąd. Mógłbym przysiąc, że on nigdy by nie stchórzył. Nie mam pojęcia, dlaczego się tak zachował. Wiem tylko, że w jednej chwili kompletnie stracił panowanie nad sobą. I jeśli ten czek, który znaleźli przy sprzątacze, świadczy o tym, że była zamieszana w jakieś świństwo...

— To znaczy szantaż? — wtrącił Hubert. Po raz pierwszy na jego twarzy malował się prawdziwy niepokój.

— Jak najbardziej.

— Myślisz, że to Fawcett ją załatwił?

— Cokolwiek by się nie stało, nie chcę mieszać w to Penelope — odparł stanowczo John. — Więc gdyby zawitała tu policja i pytała o czek na trzydzieści funtów, to niech się pan trzyma wersji Penny.

— Tak zrobię. Ale jeśli tylko spytają mnie o Fawcetta, to nie zamierzam przemilczeć, że cię zaatakował.

— Tylko niech im pan nie podaje mojego nazwiska. Ja też nie chcę pakować się w tę sprawę.

— Ale musisz to potwierdzić, żeby mieli dowód.

— W takim razie nie będzie żadnego dowodu. Powiedziałem to panu w tajemnicy, aby pana przekonać, że koniecznie trzeba chronić Penny.

— No dobrze. Zresztą pewnie i tak nikt nie będzie mnie o nic pytał. Ja w każdym razie nie zrobię pierwszego kroku, to jedno mogę ci obiecać.

## 5

Dwa dni później inspektor Mont ponownie złożył panu Nelsonowi wizytę. Zastał go w domu, podobnie jak przedtem, tyle że tym razem mężczyzna najwyraźniej nie spodziewał się kolejnych odwiedzin policji. Zdziwiony, stanął niepewnie w drzwiach, dopóki Mont nie spytał, czy może zamienić z nim

słówko. Dopiero wtedy niechętnie zszedł mu z drogi.

—Przepraszam, że znowu pana niepokoję — zaczął Mont nieszczerym tonem — ale zmusiły mnie do tego pewne informacje.

—A konkretnie? — Pan Nelson zeszywniał, lecz mimo to zachował swój spokojny ton.

—Nie będę owijał w bawełnę — odparł Mont. — Siedem lat temu skreślono pana z rejestru lekarzy za to, że nabywał pan leki na własny użytek, wypisując fałszywe recepty swoim pacjentom. Za to został pan pozbawiony prawa wykonywania zawodu, a pańskie nazwisko figuruje aktualnie w wykazie osób uzależnionych, co oznacza, że...

—Czy musi pan mówić dalej? — przerwał Nelson znużonym tonem. — To już stare dzieje.

—Niestety, muszę. Obecnie pracuje pan jako przedstawiciel firmy farmaceutycznej produkującej głównie leki i środki uspokajające. Od jakiegoś czasu nabywa pan spore zapasy tych leków na własny użytek, fałszując podpisy lekarzy, którzy rzekomo wzięli od pana próbki.

—To znaczy, że pytał pan wszystkich lekarzy, u których byłem, czy brali ode mnie próbki? Myśli pan, że oni pamiętają? W dzisiejszych czasach firmy zasypują lekarzy próbkami, a ci je biorą i podpisują dla świętego spokoju. Nie zdziwiłbym się, jeśli potem wrzucają te leki do ognia.

—Ale te tutaj nie trafiły do ognia, tylko do szuflady w sypialni pani Morris.

Nelson wydał z siebie gwałtowny, rozpaczliwy krzyk, opadł na krzesło i zakrył twarz dłońmi.

—Muszę zadać panu to pytanie: co pani Morris miała z tym wspólnego?

Nelson podniósł swoją pobladłą, mizerną twarz. — Wszystko zaczęło się, gdy jeden z lekarzy oddał mi próbkę po tym, jak podpisał jej odbiór. Twierdził, że się rozmyślił i nie chce już wypróbować leku. Dla mnie to żaden problem, bo miałem już w zeszycie kwit z jego podpisem. No i wzięłem ten lek dla siebie. A to mi dało do myślenia.

Mont pokiwał głową. Ten biedny stary dureń uzależnił się od leków, a

przy tym łudził się, że stopniowo je ograniczy i całkiem je odstawi. Płonne nadzieje! typowy z niego przypadek. Wystarczyło popatrzeć na jego pokój, ubranie, brudny, niechlujny wygląd, i wszystko było jasne.

—Nadal nie rozumiem, co ma z tym wspólnego pani Morris.

Nelson westchnął ciężko. — Natknęła się na kilka próbek. Przypuszczam, że przychodząc do mieszkań, zwyczajnie grzebała w naszych rzeczach.

—Mogłem się tego spodziewać. — Montowi przyszła na myśl pani Hyde: w jej wypadku chodziło pewnie o jakiś mało dyskretny list. A roztargniony, odurzony lekami Nelson okazał się łatwym kąskiem dla szantażystki.

—Wiedziała, czym się zajmuję i że za wiele nie zarabiam. No i zaproponowała współpracę. Ja załatwiałbym towar, a ona miała go sprzedawać.

— I pan dał się na to nabrać?

— Jak ostatni głupiec. Już dawno się połapałem.

— Proszę mówić dalej.

—No więc nie sprzedawała tego towaru, a przynajmniej tak twierdziła. Zagroziła za to, że ujawni w mojej firmie, co zrobiłem.

— Nawet jeśli miała jakieś kontakty, w co wątpię, to i tak bałaby się uwickłać w tak podejrzanym interesie — stwierdził Mont. — To nie było w jej stylu. Jej opłacały się tylko drobne rodzinne przekręty. No więc zaczęła pana szantażować?

— Właśnie.

— A ile chciała?

— Jakoś nigdy nie liczyłem. Robiła to co miesiąc. Kompletnie mnie osaczyła.

— Ale nigdy pan tego nie zgłosił?

— Żeby wszystko wyszło na jaw? Straciłbym jedyną pracę dostępną dla kogoś takiego jak ja.

Rozpaczliwa gorycz w jego głosie poruszyła nawet zawziętą duszę Monta. Jak by nie patrzeć, ten biedny starzec był kiedyś lekarzem. — A ile pan jej dał

w tamtą sobotę, kiedy została zamordowana?

—Dziesięć funciaków. Chciała dwadzieścia, ale uparłem się, że nie dam jej ani pensa więcej. I mówiłem serio.

—Czy to pan ją udusił, zabrał jej torebkę, wrzucił przez otwór na listy do opustoszałego domu, a pieniądze zabrał ze sobą? Czy w ten sposób ukrócił pan jej szantaż?

—Ależ skąd! — Nelson zerwał się na równe nogi, dysząc z przerażenia. — Nie, nie, nie!

—W porządku. Nie ma się co gorączkować, skoro jej pan nie zabił, prawda? Proszę tylko nie opuszczać mieszkania, panie Nelson. To znaczy, może pan nadal chodzić do pracy, tylko niech pan nie zmienia adresu. Być może będzie mi potrzebna pańska pomoc.

Po wyjściu Monta Nelson chwiejnym krokiem podszedł do telefonu i wykręcił numer. Nie był to jednak numer jego lekarza. Musiał przynajmniej podjąć próbę, byle szybko...

Tymczasem w Yardzie sierżant Clay miał dla nadinspektora obiecujący raport: Morrisa widziano w Great Yarmouth.

—W Yarmouth?! — wykrzyknął Mont. — A czego on tam, do diabła, szuka?

—Charlie Pike dostał tam robotę w pubie po tym, jak w kwietniu wyszedł z paki. To jeden z dawnych kumpli Morrisa.

—No racja. I powiedziałaś, Yarmouth? Widzę, młody, że nie próżnujesz.

—Polecił mi pan go odszukać. Ale najpierw miałem wypytać lekarzy o te leki. Kurczę, ależ było ciężko. Zupełnie jakbym otwierał zardzewiały zamek.

—Oni są szkoleni, żeby siedzieć cicho. Ale nie szkodzi, i tak się opłaciło. Oprócz dwufuntowego zarobku pani Morris miała w torebce jeszcze dziesięć funtów. Szantażowała Nelsona.

—Co też pan mówi!

—No, ale wróćmy do Morrisa. Ma jakąś pracę?

— Tego nie wiem. Po prostu widziano go tam na molo. Może już stamtąd wyjechał, tylko tyle udało mi się ustalić.

Mont postanowił zadziałać i dopisało mu szczęście: pan Morris, wściekły, lecz wystraszony, został aresztowany na pokładzie trawlera, który właśnie miał wypłynąć na połów na głębokie morze na całe dwa tygodnie. Zgłosił się na pomocnika pokładowego w zastępstwie za stałego członka załogi, który rozchorował się przed samym wypływem. Morris nie mógł przepuścić takiej okazji — jak wyjaśnił Mont miejscowemu komisarzowi, gdy już dotarł do Yarmouth przesłuchać więźnia.

— A czy kiedykolwiek pływał na statkach? — dociekał komisarz. — Bo jeśli nie, to kapitan będzie miał kłopoty.

— Nie będzie, skoro udało nam się już przyskrzynić Morrisa. Zresztą kapitan trawlera dowiedziałyby się całej prawdy dopiero na morzu, bo Morris nieźle im nazmyślał, żeby dostać tę robotę.

— Ale nie miał dokumentów.

— Podobno to była jakaś nagła sytuacja?

— Rzeczywiście. Omal nie ominął ich przypyływ.

— No i sam pan widzi.

Morris nigdy przedtem nie widział Monta, ale szybko się połapał, że to poważna sprawa i że szczerść tu popłaci.

— Wiemy już, że miał pan w ręku tę torebkę — zaczął Mont. — Znaleźliśmy ją pustą, chociaż podobno było w niej co najmniej dwanaście funtów. A więc to pan zabrał te pieniądze?

— Sama mi je dała, jak Boga kocham. Od dwóch dni zem nie był w chałupie...

— A jednak najpierw poszedł pan do domu i wtedy wybuchła awantura, bo żona nie chciała, żeby pan został. Zgadza się?

— Niektóre ludzie wszystko wygadają, byleby tylko podlizać się glinom.

— No więc była awantura czy nie? Zresztą szkoda naszego czasu. Potem pojechał pan do Bermondsey i o wszystkim opowiedział kolegom.

—Dobra, panie władzo, poprzytykaliśmy się trochę. Ona zawsze miała niewyparzoną gębę.

—I nie dała panu tego, o co pan prosił: pieniędzy. No i napadł ją pan koło bloku następnego dnia rano, zawłókł na podwórze, udusił i zabrał torebkę.

Morris zerwał się z krzesła, rycząc wściekle jak lew. — Co to, to nie! — krzyknął. — Nic na mnie nie macie! Nie udowodnicie mi tego! Może i czasem jej przyłożyłem, ale w życiu bym jej tak nie załatwił! — I opadł na krzesło, zrozpaczony. — Co to, to nie! — powtórzył chrypliwie. — Spróbujcie tylko mi udowodnić! Nic z tego!

—A jednak wziął pan jej pieniądze i torebkę — twierdził uparcie Mont.

—No i co z tego? Kiedy odchodziłem, klęła jak szewc — szkoda, żeś pan nie słyszał, jakimi rzucała słowami! Nic dziwnego, że dzieciaki mają namieszane w głowach.

Mont przytaknął tylko. Słyszając oskarżenie o zabójstwo, Morris nie wyglądał na wstrząśniętego czy przestraszonego, tylko zwyczajnie wpadł w gniew. Może nie dowodziło to jego niewinności, ale i nie potwierdzało jego winy.

—Nic na mnie nie macie — ciągnął Morris. — A zarobki mojej żony chyba mi się należą, nie?

—Myli się pan.

—Mam prawo do swojej części. W końcu to przez nią trafiłem ostatnio do kicia. Mogła mi chociaż przynieść paczkę.

—Rozumiem. To może zechce pan wyjaśnić nieco dokładniej, co takiego zrobiła, że trafił pan przez nią do więzienia?

—Chyba raczej nie zechcę. — Morris zacisnął wargi i siedział, patrząc gniewnie na przesłuchującego go inspektora.

—A więc twierdzi pan, że żona obrzucała pana obelgami — ciągnął cierpliwie Mont. — Czy nikt z ulicy tego nie słyszał? Nikt nie wszedł na podwórze zobaczyć, co się dzieje? Żaden z sąsiadów nie podszedł do okna?

—Najlepiej niech pan spyta ich — odparł Morris. — Nie miałem głowy zwracać uwagę na takie rzeczy.

Dozorcy też nie było, przypomniał sobie Mont. To pewnie dlatego, gdy zanosilo się na kłótnię, pani Morris wyszła z mężem na podwórze, żeby inni nie słyszeli ich wyzwisk.

— A po co wyszedł pan z nią na podwórze? Chciał ją pan okraść? Wiedział pan, że dojdzie do sprzeczki?

— Jak to, ja z nią wyszedłem...? Tu się pan myli, panie władzo. Ona już tam była.

— Na podwórzu?

— No jasne.

— I po co pan tam poszedł?

— Bo chciałem poprosić kogoś, żeby zawołał ją tylnymi drzwiami, a jak inaczej?

— A jednak nikogo pan nie poprosił?

— Przecież mówię panu, że żona już tam czekała.

— Czekala? A na co?

— Mówila, że ma jakiegoś gościa. Nie wiem, kto to był. Nie pytałem.

A więc to było umówione spotkanie. Może, dajmy na to, z panem Nelsonem? On przynajmniej wiedział, że dozorca nie było w domu, podobnie jak reszta lokatorów. Za to Morris nie miał o tym pojęcia. A to przemawiało na jego korzyść.

— Czy mógłby pan przysiąc, że po tym, jak wyrwał pan jej torebkę, żona żyła i miała się dobrze?

— No jasne. Przysięgam na własne życie.

I nic nie zdołało go złamać. W końcu Morrisa oskarżono o kradzież, a on sam przyznał się do tego przed sądem i przez tydzień przebywał w areszcie. Mont tymczasem rozpoczął kolejną serię przesłuchań lokatorów bloku.

Tym razem postanowił ustalić, którzy z nich byli umówieni z panią Morris na rano w dniu jej zabójstwa, ale w rezultacie nic nie osiągnął. Nadal podejrzany był Nelson, bo był w tym czasie w mieszkaniu. Odpadała za to pani

Hyde, mimo że okno jej sypialni na pierwszym piętrze wychodziło na podwórze. A spośród pozostałych lokatorów tylko jeden z urzędników był o tej porze w domu.

Czy Nelsonowi zależało na tym, by tamtego dnia znowu zobaczyć się z panią Morris? Zapłacił jej przecież za pracę i dał pieniądze, które wymusiła od niego szantażem. Czy to nie wystarczało? Chyba że planował zabójstwo. Ale za to pani Morris raczej nie miałyby ochoty ponownie się z nim widzieć. Nawet jeśli nie podejrzewała go o zbrodnicze zamiary, to mogła się domyślić, że będzie chciał odzyskać swoje pieniądze. Nie — jeśli wierzyć Morrisowi, to musiał to być jeszcze ktoś inny. Wersja Morrisa, jakkolwiek niespójna, wskazywała na to, że mówił prawdę.

W towarzystwie sierżanta Claya Mont bardzo uważnie przejrzał każde zeznanie i każdy zapis sporządzony z chwilą rozpoczęcia sprawy, aż wreszcie sierżant dopatrywał się pewnej rozbieżności.

— Chodzi o tego pana Fawcetta, panie inspektorze — zaczął. — Podobno wyszedł z mieszkania o wpół do dziesiątej i pojechał na dworzec Victoria, a o wpół do trzeciej był u znajomych. Przywiezienie go ze stacji samochodem zabrało im kwadrans. Pociąg nadjechał piętnaście po drugiej. To był pośpieszny, z Victorii ruszał pięć po pierwszej. Ciekawe, co Fawcett robił między dziewiątą trzydzieści a pierwszą pięć?

— Twierdzi, że był na zakupach i zjadł lunch — odparł Mont.

— A podał jakieś szczegóły?

— Nie. Mówił tylko, że oglądał obrazy w galerii Tate.

— To znaczy, że koło dwunastej czy chwilę później zdążyłby jeszcze wrócić do mieszkania...

— Żeby załatwić panią Morris, a potem pojechać na pociąg? Masz rację. Ale swoją drogą, jeśli to zabójstwo z premedytacją, to taki bystry gość jak Fawcett nie zostawiłby tak ogromnej luki w swoim alibi, prawda?

— A jeśli nie było w tym premedytacji?

— To po co by się wracał? Miał przed sobą całe przedpołudnie. Dlaczego nie zobaczył się z nią jeszcze przed wyjściem? Tak czy siak, to bez sensu,



prawda?

— A może Morris kręci, mówiąc, że żona na kogoś czekała.

— Zgoda, to urodzony krętacz, ale tym razem jestem skłonny mu uwierzyć.

— A może przycisnąłby pan jeszcze tego Fawcetta, panie inspektorze?

— Nie tak od razu. Bystry z niego gość, od razu się połapie, w czym rzecz. Myślę, że rzucę jeszcze parę uprzejmych pytań na uczelni.

Najpierw, bardzo rozsądnie zresztą, Mont umówił się na spotkanie z samym rektorem. W takim miejscu nie wypadało stwarzać powodów do plotek, a poza tym tak naprawdę nie miał nic przeciwko Fawcettowi, który swoim zachowaniem ani trochę nie zdradzał, że jest winny, chociaż, jak na inteligentnego przestępcę, to wcale nic nie znaczy.

Rektor od razu miał się na baczności, pragnąc za wszelką cenę trzymać policję z daleka od uczelni. Mont musiał wyjawić mu więcej, niż wstępnie zamierzał, by w ogóle wydobyć z niego jakiegokolwiek informacje.

— Nie bardzo rozumiem, po co pan do mnie przyszedł — użalał się rektor.

— Pan Fawcett na pewno sam panu wszystko powie.

— Mamy obowiązek sprawdzać wszystkie złożone zeznania, proszę pana.

— Są przecież dokumenty.

— Ale one nie zawsze zawierają to, co nas interesuje — upierał się Mont.

— Podobno pan Fawcett pracuje tu już od sześciu lat, a to oznacza, że uczelnia jest w pełni zadowolona z jego pracy. Mam rację?

— Jak najbardziej. Nie rozumiem tylko...

— Czy wszyscy mają o nim dobre zdanie? I czy jest lubiany?

— I to bardzo — odparł rektor z nadzieją, że tymi słowami wykręci się od odpowiedzi na pierwsze pytanie. Niestety, mylił się.

— Czy pan i jego współpracownicy też macie o nim dobre zdanie?

— Jego praca zasługuje na podziw, a do tego z wszystkimi ma świetny kontakt.

—A czy wśród kadry ma jakichś bliższych przyjaciół?

—Wydaje mi się, że raczej nie.

—To może poza uczelnią?

—Nie mam zwyczaju śledzić życia prywatnego pracowników. Ani naszych studentów — dodał niechętny rektor, mimo woli wskazując na powiązania między jednymi i drugimi. Od razu dostrzegł, że Mont wziął to za złą monetę.

—Ma pan na myśli kogoś szczególnego? — spytał spokojnie inspektor.

— Zupełnie pana nie rozumiem. Myślałem, że rozmawiamy o panu Fawcettie.

—Niech pan posłucha — odezwał się zniecierpliwiony Mont. — Sprawa dotyczy zabójstwa. Denatka była doskonale znana policji. Lubiła węszyć skandale i wyciągać z tego korzyści, jeśli pan wie, o co mi chodzi. Czy między panem Fawcettem a kimś z uczelni były jakieś zajścia, o których ta kobieta mogła wiedzieć?

—Mowy nie ma — odrzekł w popłochu rektor. Najpierw ten młody Dawson, a teraz dziewczyna od Dane'ow. Słyszał to i owo o pewnych zajściach, jak to je określił inspektor, ale z tego, co wiedział, to w żadnym z tych przypadków Fawcett nie przekroczył obowiązujących zasad. A jego życie prywatne, jak już wspomniał temu wścibskiemu gliniarzowi, było tylko i wyłącznie jego sprawą. Ponadto rektor uznał, że osobista jego niechęć do Fawcetta jest nieuzasadniona i nie ma tu nic do rzeczy. — Z całą pewnością nie — dodał.

Mont opuścił uczelnię, głęboko przekonany, że rektor kłamie. Z Simonem Fawcettem najwyraźniej coś było nie tak, ale w jego miejscu pracy nie zdoła uzyskać żadnych wyjaśnień.

Miał jednak jeszcze jedno, ostatnie źródło, a właściwie nawet dwa: ojciec panny Dane i kolega, z którym Fawcett spotkał się na lunchu, jeszcze zanim odjechał pociągiem ze stacji Victoria.

—Jeśli o mnie chodzi, to wypłem tylko kawę — zeznał George Clark. — Lunch jadam zwykle później.

—A o której się spotkaliście?

— Jakoś krótko po jedenastej. Simon twierdził, że nie jadł śniadania, bo musiał się pakować, a poza tym nie chciało mu się potem zmywać. Ale zdążył już zgłodnieć, a pociąg miał o niezbyt dogodnej porze, akurat wtedy, kiedy normalnie jadłby lunch.

— I to był ten pociąg o pierwszej pięć?

— Możliwe. Simon pewnie mi mówił, ale nie pamiętam.

— No i gdzie poszliście coś... przekąsić?

— To było tuż obok stacji Victoria. Simon zostawił tam bagaż. Mówił, że musi jeszcze kupić koszulę, bo zapomniał spakować czystą. I chciał jeszcze obejrzeć jakąś wystawę w Tate.

— A pan poszedł z nim?

— Nie. Sztuka to nie moja działka.

— To o której się pożegnaliście?

— Nie pamiętam, ale miał jeszcze sporo czasu na zrobienie tego, co sobie zaplanował.

Czy raczej na odstępstwa od swoich planów, pomyślał Mont. Nie ma sensu wypytywać go o wystawę w Tate, bo na pewno odpowie bezbłędnie. Nie ma co też liczyć na to, że w galerii ktoś go zapamiętał; w dzisiejszych czasach na wystawy ludzie tłoczą się w kolejkach. Mont dobrze o tym wiedział, bo w takich kolejkach zawsze grasowali kieszonkowcy.

— A więc zna pan pana Fawcetta już od dawna? — dociekał, próbując zmienić taktykę.

— Od wielu lat. Uczyliśmy w tej samej szkole w Summer-moor. Simon pracował tam kilka lat wcześniej niż ja. Odszedłem po trzech latach i rozpocząłem obecną pracę, a on po paru latach odszedł na uczelnię w Londynie. Mamy jednak ze sobą kontakt i często się widzimy.

— W porządku. — To wszystko zgadzało się z wersją Fawcetta. — To znaczy, że znacie się panowie od bardzo dawna — podsumował powoli Mont. — A czy kiedykolwiek był pan w jego rodzinnych stronach w Beltonston?

— *W Beltonston ?* — zdziwił się George. — To nie są jego rodzinne stro-

ny! Jego rodzina pochodzi z Pontley. Tak, bywałem tam czasem w weekendy i nocowałem na miejscowej plebanii. Ale to było jeszcze przed śmiercią jego matki, bo potem nie mógł już dłużej znieść widoku tego miejsca. A później jego ojciec odszedł na emeryturę i wyjechał na stałe do pensjonatu na południowym wybrzeżu. Nie pamiętam dokładnie, gdzie. Stary zmarł krótko po swojej żonie. To strasznie przykra sprawa, bo dobry był z niego chłop.

— Pontley? A gdzie to jest? — spytał niepewnie Mont.

— To mała wieś w hrabstwie Warwickshire, jakieś siedem mil od Stratford, czyli okolice Szekspira.

Okolice Szekspira. Tak właśnie powiedział Fawcett, opowiadając o rodzinnych stronach. Warwickshire, hrabstwo Szekspira. Jakoś nie przyszło mu do głowy odszukać na mapie Belton- ston.

George gapił się na inspektora, wyraźnie zdziwiony. — Coś się chyba panu pomyliło? — powiedział. — W Beltonston mieszkali Sewellowie, zaprzyjaźniona rodzina Fawcettów. To jest w hrabstwie Gloucestershire, niedaleko wzgórz Malvern. Simon nie wspominał panu o nich? No tak, bo i po co, skoro nie byli przyjaciółmi jego, tylko rodziców...

## 6

Ale dlaczego twierdził, że to jego rodzinne miasto? — spytał Mont sierżanta Claya po tym, jak wrócił do Yardu i przekazał najświeższe informacje. — To było rutynowe pytanie, Fawcett odpowiedział jednym tchem, bez zawahania. Zwykła rutynowa odpowiedź. Po co zmyślać?

— Widocznie miał powody, żeby ukryć przed panem prawdę.

— Co za dziecinada. Przecież doskonale wiedział, że prędzej czy później to sprawdzę. — Zamilkł na chwilę, po czym dodał: — Z tego, co twierdzi pan Clark, Fawcett wychował się w Pontley na plebanii, która po śmierci ojca nie należy już do jego rodziny. Wątpię, czy uda nam się odszukać tam kogoś, kto znał Fawcettów.

— Tylko po co zataił miejsce pochodzenia? Może to miało jakiś związek z tym, że nie wzięli go do wojska?

— Całkiem możliwe. Trzeba odszukać tego lekarza. Fawcett pewnie podał nam fałszywe nazwisko.

— Mam to sprawdzić, panie inspektorze?

Mont nie odpowiedział. — Ale dlaczego właśnie Beltonston? — powtórzył tylko.

Sierżant Clay nie bardzo wiedział, jaki pomysł mu podsunąć.

— Musimy po prostu tam jechać, Fred. Trzeba to sprawdzić — zdecydował po chwili Mont.

— Sprawdzić? Ale jak?

— Pan Clark twierdzi, że mieszkała tam rodzina Sewellów. To starzy znajomi Fawcettów. Miejmy tylko nadzieję, że nie wszyscy powymierali.

— Sam pan Fawcett na pewno coś o tym wie.

— Jasne, ale na razie wolałbym go nie pytać.

Obaj udali się do Beltonston, małej miejsciny położonej w dolinie niedaleko Tewkesbury. Na początek złożyli kurtuazyjną wizytę na miejscowej komendzie, gdzie komisarz poinformował ich, że w miasteczku mieszkają trzy rodziny nazwiskiem Sewell, a następnie ruszyli się z nimi spotkać.

Pierwsza wizyta zakończyła się fiaskiem. W domu zastali dwoje starszków, którzy przenieśli się do Beltonston z Manchesteru. Drugi adres zaprowadził ich na jakieś nowe osiedle i już na oko było widać, że nie tego miejsca szukają, ale woleli się jeszcze upewnić. Dopiero trzeci adres okazał się właściwy.

— Gdyby ten komisarz nam powiedział, jak wygląda ich dom, to pewnie od razu byśmy tu trafili — zauważył Clay.

— Chyba że sam nie wie. Może już dawno tu nie był.

Dom nie był duży, za to stanowił doskonały przykład luksusu klasy średniej ze środkowego okresu epoki wiktoriańskiej. Otoczony sporej wielkości

ogrodem, znajdował się w starszej dzielnicy miasteczka. Wyglądał na dobrze zachowany, a żwirowy placyk przed frontowymi drzwiami oczyszczony był z chwastów i starannie poprzycinane krzewy.

Drzwi otworzyła młoda kobieta w kwiecistym fartuchu i kiedy policjanci wyjaśnili cel swojej wizyty, zawołała przez ramię:

— Pani Sewell, jacyś dwaj panowie chcą z panią rozmawiać. — Następnie cofnęła się do holu, zostawiając otwarte drzwi.

Pani Sewell zbiegła ze schodów i nieco zasapana stanęła w progu. — W jakiej sprawie? — rzuciła.

Inspektor Mont upewnił się, z kim ma do czynienia. — Jesteśmy z policji, proszę pani — wyjaśnił potem. — Chcemy zadać pani kilka pytań odnośnie pani znajomych.

— Mnie... kilka pytań... odnośnie moich znajomych... A to niesłychane! Skąd mam wiedzieć, czy... — Słyszając za sobą jakiś dźwięk, odwróciła głowę i dostrzegła oddalającą się postać w kwiecistym fartuchu. — Proszę wejść — dodała.

Zaprowadziła ich do przytulnego pokoju z widokiem na trawnik opadający skosem w stronę szeregu gęstych krzewów i rosnących za nimi drzew. Podobnie jak przed domem, ta część ogrodu także była zadbana, chociaż niemal pozbawiona kwiatów. Lśniące, staroświeckie meble i pięknie dopasowane ornamenty również świadczyły o dawnym dobrobycie i dostatnim życiu bez przepychu.

— A więc mówicie panowie, że jesteście z policji — zaczęła pani Sewell. — Ale chyba nie miejscowi?

— Nie, proszę pani. Ze Scotland Yardu.

Mont wyjął legitymację, a pani Sewell wzięła ją do ręki i po dokładnym obejrzeniu mu oddała.

— A o kogo dokładnie panom chodzi? — spytała.

— O rodzinę Fawcettów.

Pani Sewell nie kryła zaskoczenia. — Oni nie są stąd! Nigdy tu nie

mieszkali.

— Zgadza się, ale z tego, co wiem, to pani bliscy przyjaciele.

— Kiedyś nimi byli — poprawiła go smutnym głosem. — W dzieciństwie pani Fawcett i ja chodziłyśmy razem do szkoły. A później wyszła za pana Fawcetta, który był pastorem, jak zapewne panowie wiecie, no i wyjechała do Pontley, bo tam miał swoją parafię.

— To by się zgadzało.

— No więc co w takim razie chcecie wiedzieć?

— Państwo Fawcett mieli syna — zaczął ostrożnie Mont.

— A tak, Simona. I córkę Muriel, która wyszła za męża i mieszka w Nowej Zelandii, z tego, co pamiętam, bo nie miałam z nią żadnego kontaktu. Kto wie, czy jeszcze żyje. Zawsze była raczej słabowita.

— A pan Simon Fawcett? Jak pani zapewne wiadomo, mieszka w Londynie.

— I po co mi pan to mówi? — spytała pani Sewell, wyraźnie poirytowana. — Żadne z ich dzieci nie utrzymuje ze mną kontaktu. A o Simonie nie wiem prawie nic; już od lat nie mam od niego żadnych wieści.

— Naprawdę? A więc ostatnio pani nie odwiedzał?

— Nigdy mnie nie odwiedza ani do mnie nie pisze. Nie odpisał nawet na moje kondolencje po śmierci jego ojca. Przeczytałam o tym w gazecie, inaczej pewnie nigdy bym się nie dowiedziała.

— A jednak wspomniał Beltonston jako... dobrze mu znaną miejscowość.

Rozmowa szła w takim kierunku, że Montowi nie bardzo wypadało wyjaśnić błąd Fawcetta czy użyć stwierdzenia „drugi dom” albo „często odwiedzane miejsce”. Z drugiej jednak strony ciekawość nie dawała mu spokoju.

Pani Sewell, która dostrzegła surowe, ożywione spojrzenie w oczach gościa, wyraźnie się zaniepokoiła. — To pan przyszedł w sprawie Simona? — spytała, przejęta. — Pewnie ma jakieś kłopoty?

— Czy to dla niego typowe?

—Ależ skąd. Oczywiście, że nie. Ale skoro interesuje się nim policja, to chyba naturalne, że o to pytam, prawda? Niech mi pan lepiej powie, o co tu chodzi, zanim zaczniesz pan mi zadawać kolejne pytania.

Mont natychmiast ją uspokoił. Wyjaśnił, że chce ustalić pewne fakty z przeszłości pana Fawcetta na potwierdzenie tego, co tamten sam mu powiedział.

—Ale po co? Chyba mam prawo wiedzieć.

Mont pokrótce przybliżył jej sprawę zabójstwa pani Morris. Dodał też, że przesłuchano wszystkich lokatorów bloku w Kilburn i że należy sprawdzić, czy to, co zeznali o swojej przeszłości, jest zgodne z prawdą.

—A, teraz rozumiem. — Rzecz jasna, pani Sewell nie była zainteresowana sprawą pani Morris i w żadnym wypadku nie chciała się mieszać w śledztwo jakiejś sprzątaczkii z Londynu. — Przecież już panu mówiłam — dodała. — Prawie wcale nie widywałam Simona ani jego rodziców, odkąd ukończył szkołę.

—A kiedy dokładnie to było?

—W czasie wojny. Ciężko im było nas odwiedzać. Brakowało benzyny, pociągi jeździły rzadko i były zatłoczone. Muriel była ochotniczką i wcale nie przyjeżdżała, a Simon po skończeniu szkoły był tu wtedy tylko raz, w letnie wakacje. Szykował się do studiów na Oksfordzie i okropnie się bał, że go wezmą do wojska. Tak mówiła mi jego matka.

—A nie on sam?

—Zawsze był bardzo małomówny. I wyjątkowo nieśmiały jako chłopiec. Z początku to się nawet nie rzucało w oczy, bo przyjeżdżali razem z Muriel i bawili się razem w ogrodzie, kiedy my, dorośli, byliśmy zajęci rozmową. Zwykle bywali u nas na lunchu i po podwieczorku jechali do domu.

—I wtedy w czasie wojny odwiedził Beltonston po raz ostatni?

—Z całą pewnością. Jego rodziny też już potem nie widywałam. Zdaje się, że to przez tę jego chorobę. Chociaż tak naprawdę nigdy do końca nie rozumiałam, o co tak naprawdę z tym chodziło. Jego matka tak bardzo się tym przejęła, że z nikim nie chciała o tym rozmawiać. Nawet ze mną.



To by się nawet zgadzało, pomyślał Mont. — Astma to naprawdę uciążliwa choroba, prawda? — zagadnął współczująco, by zachęcić ją do dalszej rozmowy. — I ciężko ją wyleczyć.

— A więc Simon już panu mówił? — zauważyła pani Sewell z wyraźną ulgą. — Dopadło go nagle w czasie wojny. Właśnie z tego powodu nie mógł pójść do wojska. Mój mąż podejrzewał, że chłopak udaje, bo jego matka twierdziła, że po prostu bał się iść na wojnę. Ale głowę bym dała, że tak nie było. On miał wrodzoną dumę i gardził tchórzostwem. Był trochę próżny i zarozumiały, jak mawiał mój mąż. A kiedy miał pięć lat, taki śliczny był z niego chłopczyk. Na pewno było mu przykro, że go odrzucili z powodu fizycznej słabości.

— No tak — mruknął Mont, uznając w duchu, że to by było na tyle. A więc wielka przyjaźń Sewellów i Fawcettów nie przetrwała ciężkiej próby. Ale dla niego to było bez znaczenia. — No cóż, dziękuję pani za tę rozmowę — powiedział, szykując się do wyjścia. — Mam nadzieję, że nie zabrałem pani zbyt wiele czasu.

— Dla syna mojej drogiej przyjaciółki zrobiłabym wszystko

— zakłęta się w odpowiedzi, całkiem szczerze zresztą, w duchu licząc na to, że jej relacja w zupełności inspektorowi wystarczy.

— I jeszcze jedno — dodał Mont. — Czy mogłaby mi pani przybliżyć, kiedy dokładnie widziała się pani z Simonem Fawcettem? Mówiła pani, że latem w czasie wojny. Może pamięta pani dokładną datę?

— To musiało być jakoś pod koniec lipca albo na początku sierpnia czterdziestego trzeciego roku — odparła. — Na pewno przed świętem państwowym. W tym samym tygodniu znaleźli w rzece ciało tego biednego chłopca. Pamiętam, jak pisałam o tym w liście do pani Fawcett. Co za szczęście, pisałam, że to się stało *po* ich wyjeździe. Policja cały dzień przeczesywała rzekę. Dopiero później znaleźli go przy brzegu. Może pan pamięta? To była wtedy dość głośna sprawa.

Ale Mont nie pamiętał. Wtedy jeszcze nie był w policji; służył w wojsku w północnej Afryce. Uprzejmie się pożegnał i wyszedł razem z sierżantem Clayem. Obaj też pojechali z powrotem na komendę w Beltonston.

—No i jak? Udało się? — spytał komisarz.

—I tak, i nie.

Mont zdał relację z rozmowy, z której wynikało, że Simon nie kłamał, choć nieco inaczej przedstawił swoje relacje z Beltonston i z rodziną Sewellów.

—Okazuje się, że nie przyjeżdżał tu całe wieki — zakomunikował Mont. — A mimo to twierdził, że to jego rodzinne miasto. Trochę dziwna sprawa. A latem czterdziestego trzeciego roku miała tu miejsce jakaś głośna sprawa, jak to określiła pani Sewell. Podobno utonął jakiś chłopiec?

— Co roku latem toną tu dzieciaki. Mówi pan, że w czterdziestym trzecim? Wtedy jeszcze tu nie pracowałem, ale znam kogoś, kto mógłby coś o tym wiedzieć. Czy to ważna sprawa?

— Być może.

— W takim razie skontaktuję się ze starym Joe. To emerytowany komisarz policji, a teraz właściciel miejscowego pubu. Ten interes idzie mu całkiem nieźle.

Rozmowa przez telefon trwała dość długo, po czym komisarz zabrał się do przeszukiwania akt. Wyjął to, czego szukał, i pokazał Montowi. — Zmylił mnie pan tym utonięciem. Trzeba było od razu mówić, że chodzi o zamordowanego chłopaka.

Mont zerknął przelotnie na Claya, który pokiwał ochoczo głową.

— No, to niech pan mówi — zachęcił go Mont.

— Dzieciak miał około dwunastu lat. Drugiego sierpnia czterdziestego trzeciego roku po południu poszedł nad rzekę łowić ryby z pomostu.

— Rok się zgadza, kobieta ma dobrą pamięć — zauważył Mont.

— Wieczorem, biedaczysko, nie wrócił do domu i o dziewiątej powiadomiono nas, że zaginął. Na brzegu znaleźliśmy wędkę, wykonaną domowym sposobem, i słoik po dzemie z wodą, ale nie było w nim żadnych ryb. Przesialiśmy całą rzekę, no i nazajutrz znaleźliśmy ciało. Sekcja zwłok wykazała, że śmierć nastąpiła nie przez utonięcie, ale przez uduszenie rękami. Motyw nie-

znany, bo nie było to zabójstwo na tle seksualnym.

— A potencjalny zabójca?

— Z tego, co napisano w aktach, jest jedna wzmianka. Sprawdzę potem, jeśli to pana interesuje. Mieliliśmy wskazówki od waszych ludzi z Londynu, ale śledztwo prowadziliśmy sami. Na słoiku chłopaka znaleźliśmy odciski kciuka i środkowego palca, należące do mężczyzny czy w każdym razie do jakiejś osoby dorosłej. Było też mnóstwo odcisków palców chłopaka.

— I nie ustalono, do kogo należał słoik?

— Niestety, nie. Ostatecznie zdjęliśmy odciski palców wszystkich miejscowych mężczyzn. Sprawdziliśmy też pół tuzina włóczęgów widzianych nad rzeką.

— A przyjezdnych nie sprawdzaliście? Chodzi o tych, którzy w tym dniu przyjechali z wizytą do rodzin i znajomych.

— To przysporzyłoby nam roboty, nie sądzi pan? Trzeba by dotrzeć, kto u kogo przebywał, i pewnie dałoby się to zrobić, ale pokpiliśmy sprawę. Myśli pan, że ten znajomy Sewellów mógłby coś wiedzieć? A to ci niezła sensacja po latach.

— Może i tak. Tyle, że w mojej sprawie to nic nie da.

— Jak to, inspektorze? — ośmielił się dorzucić sierżant Clay. — Przecież tu też doszło do uduszenia rękami...

Jednak tamci dwaj policjanci, patrząc na siebie nawzajem, nie zwracali na niego żadnej uwagi.

— Będę wdzięczny, jeśli przejrzy pan ten dokument o odciskach palców — powiedział Mont. — Niech się pan upewni, że gdzieś go macie.

— Na pewno. Jeśli nie tu, to w Londynie.

— I jeszcze jedno. Chciałbym pojechać nad rzekę i zobaczyć, gdzie dokładnie znaleziono zwłoki, wędkę i słoik. Jeśli można, oczywiście.

— Jak najbardziej — odparł komisarz, raz jeszcze przejrzał akta, po czym wstał z krzesła.

—Mamy tu schemat miejsca znalezienia ciała. Wiem, gdzie to jest. Najlepiej sam pana zawiozę.

Po chwili trzech mężczyźni wyruszyli przez miasto na most, a potem na następny. — Nasza rzeka jest bardzo kręta — rzucił komisarz, zupełnie bez powodu. — Szybciej się człowiek przeprawi mostami niż idąc wzdłuż brzegu.

Zatrzymał się na wąskiej dróżce, skąd widać było rozciągającą się przed nimi wodę.

—Na pomost nie wjedziemy autem — oznajmił. — Dalej musimy pójść pieszo.

W tym miejscu kończyło się miasto. W dali, na brzegu, widać było tylne ściany jakichś kwadratowych budynków, przypominających małe fabryki o brudnych, wąskich oknach wychodzących na rzekę. Po drugiej stronie pojedyncze domy wylaniały się zza gęstwiny drzew i krzewów, których liście zaczęły już zmieniać kolor z zieleni na złoty i brąz.

—To tutaj — oznajmił komisarz i zatrzymał się. — W aktach jest napisane, że wędka była popękana, ale leżała w jednym kawałku, zanurzona do połowy w wodzie. A słoik stał przy żywopłocie po drugiej stronie ścieżki. Te domy należą do...

—Jeden z nich to dom pani Sewell — przerwał mu sierżant Clay. — Rozpoznaję tę antenę na dachu. Różni się nieco od innych.

—Żadne wielkie odkrycie — rzucił surowo Mont, poirytowany, że sierżant zdążył go ubiec. — Za to bardziej interesuje mnie ta akacja. — Wyciągnął rękę, sięgając po gałąź zwisającą tuż nad drewnianym płotem. — Zauważyłem ją z okna pokoju, gdzie przeprowadziliśmy rozmowę... — Odwrócił się do komisarza. — Ciekawe, czy ta furtka przy płocie jest zamknięta — powiedział i chwycił za klamkę, dostrzegając po bokach zardzewiałe zawiasy. — Rzeczywiście, zamknięta. Ale osiemnastoletni chłopak łatwo by przez nią przeskoczył... I to na pewno dom pani Sewell?

—Tak, zgadza się. Nikomu tylko nie przyszło do głowy, żeby sprawdzić przyjezdnych. Szczerze mówiąc, sam też o tym nie pomyślałem. A już w ogóle nie brałbym pod uwagę tej części miasta.

No i wszystko wskazuje na to, że to wariat, prawda, inspektorze? — zagadnął sierżant Clay w drodze powrotnej do Londynu.

— Wyciągasz pochopne wnioski. Za wcześnie jeszcze na takie domysły — uciał Mont. — Tamto zabójstwo w Beltonston to dawne dzieje, zimny trup. Jak stara mumia, co sypie się w proch. Nie mają nic oprócz tych odcisków, a jedyny człowiek, który osobiście pamięta tę sprawę, to jakiś tam stary Joe, były policjant, obecnie właściciel pubu. W tej sytuacji nie możemy

powiedzieć przeciw Fawcettowi ani słowa. Zresztą i tak nie mamy żadnych dowodów, że jest psychicznie chory. Nieważne, czy chłopaki z Beltonston znajdują raport o tych odciskach, czy nie. Jak tylko załatwię parę spraw i zajrzę na komendę po nowe informacje, to od razu jedziemy do Pontley.

Nazajutrz sprawy zatrzymały inspektora Monta w Londynie na cały dzień. Dopiero dwa dni później wybrał się wraz z sierżantem Clayem do Pontley.

Tam sprawdziły się ich przeczucia: zamieszkały obecnie na tamtejszej plebanii pastor wiedział o Fawcettach bardzo niewiele.

— Staruszek odszedł na emeryturę krótko po śmierci żony — poinformował pastor. — Byłem wtedy wikariuszem w północnej Anglii i bardzo mi zależało, żeby przenieść się z rodziną gdzieś na wieś. Tak się złożyło, że znałem osobiście naszego biskupa i chętnie objąłem dwie maleńkie parafie plus tę jedną, prowadzoną przez świeckich kaznodziejów, którą od czasu do czasu tylko odwiedzał archidiakon...

— Oczywiście — wtrącił stanowczo Mont. — A Fawcett odszedł, jak tylko pastor tu przyjechał?

— Nie. Został jeszcze przez miesiąc, żeby mnie poznać z parafianami. Ale śmierć jego żony głęboko nim wstrząsnęła. Całkiem się załamał i już nigdy się nie pozbierał.

— Tak też słyszałem. A więc pastor naprawdę nic więcej nie wie o rodzinie Fawcettów? A zwłaszcza o jej młodszych członkach?

— Wiem tylko, że ich córka wyszła za mąż i wyjechała do Nowej Zelandii. A syn podobno jest nauczycielem.

— Ale nigdy go pastor nie poznał?

— Niestety nie. Ale, jeśli dobrze pamiętam, to jego osoba budzi dotąd we wsi silne emocje. Bo widzi pan, pastorowa Fawcett leży tutaj, na przykościelnym cmentarzu. No i zanim jej mąż stąd wyjechał, nie raz mówił mi, że chciałby zostać pochowany obok niej, wręcz jak najszybciej. I rzeczywiście zmarło mu się wkrótce, biedaczysku. Ale jego syn, wbrew deklarowanej woli ojca, pochował go w miejscu jego śmierci. Pewnie dlatego nigdy nie poznałem młodego Fawcetta. Napisałem do niego list, żeby przypomnieć mu o woli jego ojca, i zaproponowałem, że wszystkim się zajmę, ale nawet mi nie od-

powiedział. W końcu skontaktowałem się z właścicielką pensjonatu, gdzie staruszek spędził ostatnie miesiące życia. Odpisała, że pogrzeb odbył się w parafii, do której pan Fawcett należał w czasie pobytu u niej. Żeby pan wiedział, jaki smutek i oburzenie zapanowały wtedy wśród wielu moich starszych parafian. Bardzo szanowali starego Fawcetta.

—A czy we wsi mieszkają jeszcze jacyś ludzie, którzy pamiętają jego rodzinę? — dociekał Mont.

—A tak, znalazłoby się parę osób. Emily, to znaczy panna Skinner, powie panu najwięcej. Podobno przed wojną pracowała u nich jako kucharka. Już wtedy jej wiek nie pozwalał na jakąkolwiek służbę wojskową. Pracowała tu aż do wyjazdu pana Fawcetta. Moja żona bardzo chciała ją zatrzymać, ale staruszka nalegała, by odejść. Zresztą miała już swoje lata; była wtedy po siedemdziesiątce. Bóg raczy wiedzieć, ile lat ma teraz...

—Chyba marny z niej pożytek, co? — zagadnął sierżant Clay, kiedy wyszli z plebanii, kierując się do domu pani Skinner.

—Kobieta ma przeszło osiemdziesiąt lat, sam pan rozumie.

—Nie wiem, o co ci chodzi. Znałem jeszcze starszych ludzi, nawet dziewięćdziesięciokilkulatków, co to pamiętali dawne dzieje, jakby to było wczoraj. Za to zwykle zapominają, co robili przed chwilą.

Clay nie do końca był przekonany, ale posłusznie szedł obok inspektora.

Panna Skinner mieszkała z siostrzenicą, siwowłosą kobietą po pięćdziesiątce. To właśnie ona otworzyła policjantom drzwi. Najpierw nie bardzo chciała pozwolić im rozmawiać z ciotką, ale donośny, stanowczy głos z głębi domu sprawił, że cofnęła się i wpuściła ich do środka.

Panna Skinner istotnie była już bardzo sędziwa i mocno przygarbiona, za to wzrok miała bystry i przenikliwy i, w przeciwieństwie do swojej siostrzenicy, od razu się połapała, w czym rzecz. Pewnie dlatego, że tak świetnie знаła rodzinę Fawcettów, podczas gdy jej siostrzenica przyjechała do Pontley dopiero jako wdowa i nie miała o nich pojęcia.

—Święty człowiek był z tego pastora Fawcetta — oświadczyła panna Skinner. — A ona starała się jak mogła, ale nie dorastała mu do pięt. Była ciut za nerwowa.

— Ona, to znaczy pastorowa Fawcett?

— A któżby inny? Ale miała też swoje utrapienia, a my, jak by nie patrzeć, przeżywaliśmy je razem z nią.

— My? Czyli kto?

— A o co pan właściwie pytał?

— Kto przeżywał z nią te utrapienia?

Pannę Skinner wyraźnie to rozbawiło. Swą postarzałą twarz rozciągnęła w szerokim uśmiechu, zaczęła prychać i chichotać, aż popłynęły jej łzy. Na koniec zrobiła parę krótkich wdechów, by odzyskać powagę. — No, miałam na myśli pomoc kuchenną — wyjaśniła. — To znaczy, siebie i Joan, dziewczynę, która przychodziła sprzątać. Miała zaledwie czternaście lat i dopiero co skończyła szkołę.

— A kiedy dokładnie to było?

— W czasie choroby pana Simona. Pastor chciał go odesłać na leczenie, ale ona, pastorowa, nie chciała o tym słyszeć. Uparła się, żeby leczyć go w domu. Sama postanowiła się nim zająć. Teraz pan rozumie. Jak już mówiłam, wszyscy mieliśmy z nim utrapienie. Aż w końcu dziewczyna odeszła, bo nie mogła już dłużej tego znieść.

— To znaczy, czego?

— Zachowania pana Simona. To przesypiał całe dni od rana do wieczora, to znów snuł się po pokoju tam i z powrotem, i tak w kółko. Tyle się nacierpiał, biedaczysko. A my razem z nim. W szpitalu byłoby mu lepiej, ale pastor Fawcett to był święty człowiek i bardzo jej oddany. Nic nie chciał na niej wymuszać. Chociaż mnie się zdaje, że gdyby się uparł, to by mu uległa...

I wtedy nagle jej dziwna wesołość ją opuściła, czy może po prostu wizyta nieznanomych wzbudziła w niej tak silne emocje. Łzy rozbawienia, które spływały po jej pomarszczonej twarzy, przerodziły się w łzy smutku. W końcu spędziła na tej plebanii kawał życia, dzieliła troski, współczuła w niedoli. Sierżant Clay, rodowity i zasiedziały londyńczyk, za nic nie potrafił pojąć jej wzruszenia i uznał, że te silne emocje idą w parze z jej sędziwym wiekiem.

— Najlepiej będzie, jeśli panowie już pójdą — nakazała jej siostrzenica



ostrym tonem. — Tylko ją zdenerwowaliście.

Jednak Mont uparł się, żeby doprowadzić tę obiecującą rozmowę do końca.

—Z tego, co mi wiadomo — ciągnął — to młody Fawcett cierpiał na astmę.

Na co panna Skinner jakby nagle zmieniła wyraz twarzy. Powoli przybrała chytrą minę, pochyliła się i dotknęła rękawa inspektora. — Tak napisali w papierach — powiedziała. — Zresztą taka była prawda. Ale moja najdroższa, rodzona matka też miała astmę i niech mnie kule biją, jeśli jest coś, czego jeszcze nie wiem o tym świństwie.

—A więc to nie astma. W takim razie może jakieś załamanie nerwowe? Z tego, co pani o nim mówiła, można by tak pomyśleć.

Ale kobieta pokręciła głową. — Skoro przysięgam, to dotrzymam słowa — oświadczyła stanowczo. — A w ogóle nie rozumiem, po coście do mnie przyszli z tymi wszystkimi pytaniami. Skoro żeście tacy ciekawi, to zapytajcie lepiej doktora Marshalla — on się zajmował tą sprawą. Albo tego młodego, z którym teraz pracuje. Choć i tak pewnie nie pisną wam ani słówka — dodała, patrząc triumfalnie Montowi prosto w oczy. — Ci lekarze zawsze trzymają język za zębami, nie?

—To znaczy, że doktor Marshall jeszcze tu pracuje? — dociekał, ale panna Skinner przymknęła oczy, jakby wcale go nie słyszała.

Mont wyszedł, a Clay za nim. A kiedy siostrzenica otworzyła przed nimi drzwi, powtórzył swoje ostatnie pytanie.

—Doktor Marshall nie żyje — odparła. — Ale ciocia o tym nie wie. Uznaliśmy, że mogłaby sobie z tym nie poradzić, to byłby dla niej za wielki szok. Teraz przychodzi doktor Campbell. Ciocia myśli, że zastępuje doktora Marshalla, bo tamten jest zbyt zajęty. Zresztą doktor Campbell jest dla cioci bardzo dobry.

—A czy tu, w Pontley, mieszka jeszcze ktoś, kto znał rodzinę Fawcettów? — spytał Mont.

—Niestety, nie mam pojęcia.

Nawet gdyby miała, to i tak nie puściłaby pary z ust, uznał Mont. Najważniejsze, że dowiedział się paru nowych rzeczy. Nie mógł, co prawda, wezwać staruszki na świadka, ale ta przynajmniej wskazała mu pewien ważny ślad. Bo Fawcett, zapytany o miejscowego lekarza z Pontley, wspomniał nazwisko Gordon, nie Marshall. Czy rzeczywiście pamięć go zawiodła, czy po prostu umyślnie kłamał? I czy ten Gordon miał dla niego jakieś szczególne znaczenie, podobnie jak miasteczko Beltonston?

W drodze powrotnej do Londynu inspektor podzielił się swoimi przemyśleniami z sierżantem Clayem, a na komendzie rozpoczął nowy wątek śledztwa. Miał ustalić, co dokładnie doktor Marshall napisał w oświadczeniu wysłanym do komisji wojskowej, że ta, po uprzednim przebadaniu Fawcetta, zwolniła go ze służby wojskowej. Te dokumenty na pewno gdzieś jeszcze się zachowały i powinny być dostępne, a w razie konieczności w ich zdobyciu pomoże Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. A skoro doktor Marshall nie żyje, to mało prawdopodobne jest, że jego następca zachował historie chorób jego dawnych pacjentów, zwłaszcza tych, którzy po jego śmierci zmienili lekarza lub rejon. A poza tym Fawcett zachorował na pięć lat przed utworzeniem publicznej służby zdrowia, a wtedy jeszcze nie prowadzono kart zdrowia pacjentów. Zresztą, jak sam przyznał, rzadko chorował i nie był zapisany do żadnego lekarza. Tak więc jedynym dowodem na to, że cierpiał na astmę czy jakąkolwiek inną chorobę, były akta komisji wojskowej.

Jednak Mont przestał już wierzyć w tę astmę. Nigdzie nie znalazł niczego, co potwierdzałoby tę wersję. Dajmy na to, na Oksfordzie, gdzie w ogóle ciężko było zdobyć jakiegokolwiek dane na temat Fawcetta. W papierach mieli tylko jego nazwisko i rok ukończenia studiów. A poza tym niczym się nie zasłużył i nie miał żadnych przyjaciół. — To był bardzo spokojny chłopak — orzekł starszy portier uczelni, który jako jedyny dość dobrze go pamiętał.

Za to całkiem inny obraz Fawcetta przedstawili w szkole w Summermoor. Jako nauczyciel był tam bardzo popularny, odnosił duże sukcesy i ani razu nie wziął zwolnienia z powodu choroby. Spotykał się z pełną aprobatą dyrekcji i rady szkoły, był lubiany i szanowany przez innych nauczycieli, a z jednym z nich, niejakim George'em Clarkiem, łączyła go bliska przyjaźń. A kiedy tamten dostał w Londynie pracę nie związaną z nauczaniem i odszedł ze szkoły, to pan Fawcett też zrezygnował, jak przypuszczano, właśnie z powodu przyjaciela. Było im bardzo przykro, że odchodzi.

—To ideał — rzucił z goryczą Mont. — Po prostu chodzący ideał. To samo zresztą twierdzi Clark. I wiesz co?

—Tak? — zaciekał się sierżant Clay.

—Ten Clark to rozsądny gość, naukowiec. Stąpa twardo po ziemi. Ale, powiedziałbym, że trochę niedoświadczony i bez wyobraźni. Najwyraźniej nie zetknął się jeszcze z ciemną stroną życia, a jeśli nawet, to wcale jej nie dostrzega. Rozumiesz, co mam na myśli?

—Bo pewnie nie zdarza mu się widywać Fawcetta w gorsze dni, kiedy nie ma humoru i zachowuje się, jak to określiła pani Sewell, nieco dziwacznie. Albo pan Clark po prostu przymyka na to oko.

—No racja. Zupełnie jakby tego nie zauważał. Ale jest jeszcze coś: wygląda na to, że ta niby astma jakoś przestała Fawcettowi dokuczać, a to bardzo nietypowe, jeśli chodzi o tę chorobę.

—No właśnie — przyznał tylko lakonicznie Clay, bo z braku wiedzy wolał nie wyrażać jakiegokolwiek opinii.

Wiedząc, że nie działa nic, dopóki nie dostanie raportu z komisji wojskowej, inspektor postanowił raz jeszcze wypytać Fawcetta, co dokładnie robił przed południem w dniu zabójstwa pani Morris. Zastał go w domu, ślęczącego nad planem zajęć na nowy rok akademicki, który rozpoczynał się już w następnym tygodniu.

Simon przywitał gościa bardzo serdecznie, nie kryjąc przy tym lekkiego zaskoczenia. — O, to znowu pan? — rzucił, przysuwając krzesło do kominka. — A ja myślałem, że macie już tego zabójcę. No więc to nie jej mąż?

—Pan Morris twierdzi, że kiedy opuszczał podwórze, jego żona jeszcze żyła.

—A tak, czytałem o tym w prasie. Podobno przyznał się też do kradzieży torebki?

—Zgadza się. Nie bardzo mógł tak po prostu się tego wyprzeć.

—A ona tak łatwo nie oddałaby mu tej torebki — dodał Simon z błyskiem zaciekawienia w oku. — Z tego, co wiem, taka kobieta jak ona pędziłaby za nim i wrzeszczała na całe gardło.

—Przerwał, wzdrygając się, po czym wybuchnął śmiechem. — No, ale ktoś jej to gardło zacisnął, prawda? A więc to nie jej mąż?

Jego brutalne poczucie humoru budziło w Moncie odrazę. A jednak słowa Simona przypomniały mu o czymś, co Morris powtarzał z uporem maniaka mimo ich drażących pytań. — Morris twierdzi, że była z kimś umówiona — powiedział, bacznie obserwując Simona. — Tak przynajmniej mu powiedziała. Może nie chciała przepuścić takiej okazji. Załóżmy, że spodziewała się dostać od tego kogoś jakąś większą sumę pieniędzy niż ta, którą miała w torebce skradzionej przez męża.

—Co za pomysłowość — przyznał Simon, pełen szczerego podziwu. — Nigdy bym na to nie wpadł. I pan myśli, że niby z kim była umówiona? Może ze mną?

Jego ton wprowadził Montę w zakłopotanie. — Musimy rozważyć wszystkie możliwości — odparł gniewnie. — W tym bloku mieszkają różni ludzie... — przerwał, a po chwili wziął się w garść i zapytał Simona, co robił tamtego dnia rano. Wszystkie szczegóły i godziny zgadzały się z poprzednim zeznaniem Fawcetta i z tym, co powiedział Montowi Clark. — Jadł pan wtedy lunch o dość wczesnej porze, prawda? — dodał po chwili. — I miał pan sporo czasu, żeby zdążyć wrócić do domu, jeszcze zanim wsiadł pan w pociąg na Victorii.

— Tyle że wtedy kupowałem akurat koszulę, a potem oglądałem obrazy w Tate.

—A tego się nie da udowodnić.

Simon wzruszył ramionami. Skoro ktoś jest takim kretynem i draniem, że nie wierzył mu na słowo, to zasługuje tylko na pogardliwe milczenie.

Inspektorowi wyraźnie nie podobał się jego arogancki sposób bycia i nic nie mógł na to poradzić. Czuł się skępowany, ale nie dał się zapędzić w kozie róg i swego prawdziwego asa ukrywał jeszcze w rękawie. Nie wspomniał ani słowem o astmie ani o Pontley.

—A przy okazji — rzucił Simon, kiedy Mont zbierał się do wyjścia. — George... to znaczy pan Clark, mówił mi, że pomylił pan nazwę miejscowości, skąd pochodzili moi rodzice. Pontley, panie inspektorze, a nie Beltonston.

Pontley w Warwickshire. Mówiłem panu przecież, że to okolice Szekspira.

— Powiedział pan Beltonston.

— Beltonston leży w Gloucestershire, a to kawał drogi od rodzinnych stron Szekspira, jak sam pan zresztą wie. — I figlarnie pokiwał Montowi palcem, co po raz wtóry wyprowadziło Monta z równowagi.

— Mówił pan, że pochodzi Beltonston — powtórzył uparcie.

— Może jestem kiepski w łapaniu literackich aluzji, bo to nie moja działka, ale jestem pewien, że powiedział pan Beltonston.

— To niemożliwe — zbeształ go Simon subtelnym tonem. — Co prawda, z Sewellami łączyła nas bliska przyjaźń, ale to nie powód, żebym aż tak się pomylił.

Mont nie odpowiedział. W duchu znał już jeden wystarczający i oczywisty powód: obciążone sumienie i poczucie winy, skrywane gdzieś w głębi niezrównoważonego umysłu: kluczowe słowo wyłaniające się z otchłani podświadomości — czy to przypadkiem nie zakrawa na język sztukmistrzów?!

Wyszedł pośpiesznie, sztywniejąc na tę myśl, która budziła w nim chłód przerażenia — chłód z braku dowodów, a do tego mętlik w głowie, bo nie wiedział, jak zachowa się podejrzany. Jak dotąd podczas rozmów z Fawcettem nie zdołał dopatrzeć się w nim choćby najdrobniejszej skłonności do przemocy. Wręcz przeciwnie: to był kulturalny, wykształcony mężczyzna, który doskonale panował nad uczuciami, może tylko o nieco beztroskim usposobieniu. Mont nie wyobrażał sobie Fawcetta podenerwowanego, rozszalałego ani w żadnym innym stanie, który mógłby nakłonić go do jakiegokolwiek przemocy.

Dreńczony uporczywą obawą, że ktoś kolejny tu zginie, Mont był w rozterce. Raz jeszcze przejrzał wszystkie akta sprawy. I wtedy sierżant Clay podsunął mu zbawienną myśl.

— Zastanawiałem się nad tym czekiem, który pani Morris miała w torebce — zaczął.

— No i co?

— Nie sądzi pan, że może szantażowała nim Fawcetta? Może to z nim się

umówiła, żeby oddać mu go za odpowiednią sumę.

—Fawcett nie dałby się na to nabrać. Zresztą ten czek nie był aż tak ważny, by posłużyć jako szantaż. Dziewczyna i Fawcett zgodnie zeznali, że to miała być opłata za wycieczkę. A jeśli nie, to i tak nie da się tego udowodnić.

—No dobrze, powiedzmy, że *my* to wiemy. Ale *on*? Przecież wykładowcom nie wolno uwodzić studentek, prawda? Nie mógł przecież się narazić władzom uczelni. Może pani Morris zagroziła, że doniesie o jego bliskich kontaktach z dziewczyną.

Mont zastanawiał się, czy Clay przypadkiem nie ma racji. Tak, to byłby dobry powód szantażowania kogoś, komu zależało na pracy na uczelni...

—A panna Dane to śliczna dziewczyna, prawda? — ciągnął dalej Clay. — W sumie to nie kupuję tej bajeczki o płaceniu czekiem za wyjazd.

—Załóżmy, że masz rację. A to znaczy, że głód forsy występował u Fawcetta, a nie u naszej panny.

—No właśnie. Logicznie rzecz biorąc.

—Chociaż z drugiej strony pani Morris lubiła węszyć za skandalami nawet tam, gdzie ich nie było, a przynajmniej na razie. Weźmy, na przykład, Nelsona. Gdyby go nie szantażowała, to nigdy byśmy do niego nie dotarli.

—Dotarliśmy do niego dzięki informacji od Fawcetta.

Mont machnął niecierpliwie ręką. — Nieważne, miałeś mi coś powiedzieć.

—No więc, wracając do tego czeku: załóżmy, że pani Morris chciała oddać go Fawcettowi za pieniądze. Fawcett zjawia się na podwórzu z forszą, a tymczasem okazuje się, że pani Morris nie ma czeku przy sobie.

—Wiem, co ci chodzi po głowie — rzekł Mont, wyraźnie zaintrygowany. — Fawcett jej nie wierzy. Podejrzewa, że go wyrolo- wała, i wpada w szal...

—I rzuca się na nią.

—I tu mamy problem — jęknął Mont, uderzając w blat otwartą dłonią. — Czy ten człowiek byłby w stanie aż tak się wściec?

—Oczywiście, jeśli to czubek. A takim to się często zdarza, nie? Już raz

wściekł się na tamtego chłopaka w Beltonston, jeśli mówimy o tym samym sprawcy.

—No i wracamy do punktu wyjścia — mruknął znużony Mont. — Będę chyba musiał zamienić słowo z ojcem dziewczyny. Dane trzyma język za zębami, jeśli chodzi o córkę, ale może powie nam coś nowego o Fawcetcie...

Hubert Dane nie był ani trochę zdziwiony wizytą inspektora. Zamierzał, jeśli tylko się dało, wyciągnąć z niej jakieś korzyści dla siebie. I, dzięki wyczynom umiejętnościom, dopiął swego w niespełna pół godziny za pomocą subtelnych aluzji, zastrzeżeń i znacznej rozwagi.

—Uprzedzam, że nie odwołuję się do osobistych przeżyć tego człowieka — orzekł poważnym tonem. — Rzadko go widywałem, i to przeważnie w towarzystwie, kiedy robił wszystko, by wypaść jak najlepiej. A wtedy potrafi być naprawdę czarujący — dodał z uśmiechem pełnym dezaprobaty. — No a poza tym jest znajomym paru moich bliskich przyjaciół i nie śmiałybym powiedzieć na niego nic, co wzbudziłoby podejrzenia co do jego, że tak powiem, uznanej pozycji, a którym zresztą w tych okolicznościach i tak nikt nie dałby wiary. Ale tak na marginesie — tu przerwał, by wyrzucić zamierzone wrażenie — to pewne dość przerażające zdarzenie utkwiło mi w pamięci... Bo pytał pan, czy Fawcett miał skłonność do przemocy?

—Zgadza się.

—Wprawdzie nie doświadczyłem tego osobiście, więc nie będę wchodził w szczegóły. Ale poradziłbym panu skontaktować się z kimś... — I znów zamilkł, by spotęgować ciekawość inspektora, co zresztą mu się udało.

—Proszę, niech pan mówi dalej. Z kim mam się skontaktować?

— Z porucznikiem Johnem Allinghamem — odparł Hubert.

—To marynarz. Obecnie pełni służbę w Portsmouth, na statku Jej Królewskiej Mości *Excellent*.

—Bardzo panu dziękuję.

—I niech mu pan powie, że bynajmniej nie zawiodłem jego zaufania. Nadal ma prawo zachować pewne rzeczy tylko dla siebie. Ale skoro miałby panu pomóc, to będzie pan musiał wyciągnąć je z niego swoimi sposobami,

inspektorze.

Jeśli tylko John zechce współpracować, pomyślał Hubert po tym, jak odprowadził Monta do drzwi, to na pewno dorwą tego szatana. Byleby tylko nie mieszać w to Penny. Z tego, co słyszał, to dziewczyna dostała już nauczkę i kara, jaką poniosła, i bez tego była wystarczająco surowa. No i Allinghamowie — ich też nie wolno w to mieszać. Sprawa niosła ze sobą niebywałe ryzyko. Czy można zaufać Johnowi, że nie wpakuje Penny w kłopoty? Jasne, że tak. Może przecież odmówić zeznań. Ale to już bez znaczenia, bo wtedy inspektor tylko utwierdzi się w przekonaniu, które celowo próbował wpoić mu do świadomości: że Fawcett to niebezpieczny typ, zdolny do popełnienia każdego przestępstwa, jakie tylko figuruje w kodeksie karnym.

## 8

Inspektor Mont postąpił zgodnie z sugestią Huberta. Mając świadomość, że dotychczas zgromadzone dowody okazały się bardzo kruche, tym skwapliwiej poszedł za jego wskazówkami, dość oczywistymi zresztą. Sprawa zabójstwa w Beltonston należała już do przeszłości. Istniała wprawdzie jeszcze w policyjnych aktach i, jak mu powiedziano, dałoby się odtworzyć dla porównania dwa odciski palców. Niestety, te okazały się nie dość wyraźne, a ta starsza kobieta, zapytana o datę wizyty Fawcettów w Beltonston, nie była pewna. Bez niezbitych dowodów Mont nie mógł więc wytoczyć Fawcettowi sprawy o zbrodnię z zamierzchłej przeszłości.

Z drugiej strony ostatnie dowody na jego skłonność do przemocy przynajmniej wskazywałyby na jego udział w zabójstwie Morris. A potem...? No cóż, trzeba by pobrać od Fawcetta odciski palców i skłonić go, by wyśpiewał całą prawdę o swojej chorobie.

I tu właśnie Mont napotkał pewne problemy. Przeszukano akta komisji wojskowej dla rekrutowanych z okolicy Pontley, ale nie znaleziono nic, co dotyczyłoby Simona Fawcetta, czy raczej tylko jeden stosowny formularz, przekreślony linią, opatrzony lakoniczną adnotacją „niezdatny do służby woj-



skowej; patrz: list w załączniku”, ale żadnego listu nie było. Może gdzieś się zapodział albo ktoś go zniszczył. W każdym razie w związku z poborem Fawcett nigdy nie przeszedł żadnych badań, a jego niestawienie się zostało usprawiedliwione bez podania jakiegokolwiek powodu.

Odpowiedź знаła staruszka, panna Skinner, ale nie było na to żadnych medycznych dowodów. Dla Monta jej zeznanie brzmiało dość przekonująco, ale dla sądu nie miało żadnego znaczenia. Pani Fawcett doskonale udało się uchronić syna poprzez zatajenie jego choroby, cokolwiek nią było. Czy tym samym doprowadziła do śmierci niewinnego dziecka i szantrapy- -złodziejki? Bezsilność wprawiła Monta w niebywałą złość na ukrytą anarchię, bezkarność, zuchwalstwo czy jak by to nazwać, które cechowały tę szanowaną i poważaną grupę społeczną.

Szybko jednak się opanował, uznając, że złość to droga donikąd i że powinien raczej udać się do Portsmouth odszukać Johna Allinghama. I tak też zrobił. Ale ów młody człowiek nie bardzo chciał rozmawiać o Fawcetcie i szybko się połapał, jaki jest cel wizyty inspektora.

— Widzę, że pan Dane puścił farbę — rzucił, poirytowany.

— Prosiłem go tylko, żeby w miarę możliwości mi pomógł — odparł sztywno Mont. — I pana proszę o to samo.

— Dane żywi do Fawcetta osobistą urazę, a to nie powinno mieć żadnego wpływu na śledztwo.

— Pozwoli pan, że sam o tym zdecyduję.

— W tym wypadku chyba się nie da. Z tego, co wiem, Dane jest gotów chwycić się najróżniejszych środków, byleby tylko przydybać Fawcetta na czymś, co zrujnuje mu karierę na uczelni.

— Naprawdę? W takim razie pan Dane widocznie ma swoje powody.

— Czy raczej swoje uprzedzenia, jeśli w ogóle można to określić jako zasadny motyw.

— Chyba nie do końca pana rozumiem.

— Niestety, nic na to nie poradzę. Chodzi mi tylko o to, że wszystko, co Dane nagadał panu o Fawcetcie, jest mocno zabarwione uprzedzeniami.

— Rozumiem. W takim razie powiem inaczej: pan Fawcett to na ogół spokojny i opanowany człowiek. A czy kiedykolwiek był pan świadkiem jego zachowania, które mogłoby sugerować, że ten człowiek ma jeszcze inną twarz?

Inną twarz? O tak, twarz Simona o rozwścieczonym spojrzeniu i wyszczerzonych zębach, kiedy zaatakował go tym wielkim nożem, mierząc mu prosto w szyję.

John czym prędzej wyparł tę myśl z głowy, ale Mont, który obserwował go bardzo uważnie, dostrzegł na jego twarzy przelotne napięcie, a potem wściekłość połączoną z niesmakiem.

— W przypadku skrajnej niepoczytalności winny nigdy nie trafia do sądu — zauważył Mont łagodnie. — To się nazywa niezdolność do składania zeznań — dodał sugestywnie.

John doskonale wiedział, do czego inspektor zmierza. Czy już nie przerabiał w myślach tej sytuacji, raz po raz, zwykle wyciągając te same wnioski, które najwyraźniej rodziły się też w głowie tego gliniarza?

Ale jeśli wyjawi, że wdał się z Simonem w krótką bójkę, to niechybnie wyjdzie na jaw, o co tak naprawdę im poszło. A wtedy w sprawę zostanie wmieszana Penny i okaże się, skąd u Dane^ to uprzedzenie do Fawcetta: bo zachował się podle wobec Penny. To było nie do pomyślenia.

— Bardzo mi przykro — zaczął. — Ale jeśli pan Dane zasugerował, że w czymś panu pomogę, to się pomylił. Zresztą prawie wcale nie znam tego Fawcetta, poznałem go dopiero tego lata. Zdaje się, że od tamtej pory widziałem się z nim tylko raz.

— Pewnie u niego w mieszkaniu?

John zawahał się. Widocznie ktoś z sąsiadów widział go na schodach. W tej sytuacji lepiej nie kłamać. — Tak, zgadza się — odparł.

— Pokłóciliście się? Zastosował wobec pana przemoc?

Tego było już za wiele. A więc jednak Hubert nie dotrzymał słowa. To nie do wiary, że pozwolił na to, by jego nienawiść do Fawcetta ściągnęła kłopoty na jego własną córkę.

— Skoro pan Dane już wszystko wyśpiewał, to po co przyjechał pan do

mnie?

—Pan Dane nie pisał ani słowa. Za to pan właśnie udzielił odpowiedzi na moje pytanie.

I to by było na tyle, pomyślał Mont przy lodowatym pożegnaniu z oburżonym młodzieńcem. Szczegóły były już nieistotne. Wystarczy, że Fawcett rzeczywiście dopuścił się przemocy.

—Naprawdę pan tak sądzi, inspektorze? — spytał sierżant Clay po wysłuchaniu relacji z wizyty w Portsmouth. — No dobrze, a więc dwóch facetów wpada w szal i jeden rzuca się na drugiego, ale przecież to od razu nie znaczy, że jest stuknięty, prawda?

—Jasne, że nie. — Przez chwilę inspektor zastanawiał się, czy sam przypadkiem nie zbzikował. — I właśnie taki argument padnie w sądzie. Ale dla nas to chyba jeszcze nie koniec.

Clay zrobił niepewną minę. — No to co dalej? — spytał.

—Jedziemy do Kilburn po odciski palców Fawcetta, a przy okazji wypytamy go trochę o tę jego astmę.

— Plan Monta musiał jednak poczekać, bo z budynku w Kilburn dotarły nowe wieści: dozorca zastał w łóżku zwłoki pana Nelsona, a zaadresowana do koronera notka jednoznacznie wskazywała na to, że dobrowolnie odebrał sobie życie. Jej treść sugerowała też, że nie miał innego wyjścia, bo został zaszczyty przez policję. Koroner przekazał raport prosto do miejscowej komendy, żądając wyjaśnień.

—Zawiniło tu tylko i wyłącznie nieczyste sumienie — orzekł tamtejszy komisarz w rozmowie z inspektorem.

—A to ciekawe — mruknął Mont. Wprawdzie ta wiadomość zszokowała go, ale bynajmniej nie czuł się winny czegoś, co można by nazwać „szczytem”.

—Pewnie uznał, że depreczecie mu po piętach i lada chwila go dorwiecie.

—Ależ skąd. Zbadałem jego narkotykową przeszłość i dałem mu ostrzeżenie, dlatego nie mógł zaprzeczyć, że był szantażowany przez panią Morris. I to wszystko. Nie był przecież głównym podejrzanym.

—Za to teraz nim będzie, w oczach dziennikarzy i opinii publicznej. I może nawet samego koronera. Słyszał pan, co powiedział: że to Nelson prawdopodobnie był zabójcą, bo chciał odzyskać swoje pieniądze, a kiedy okazało się, że kobieta nie ma ich przy sobie, wpadł w szal i ją załatwił.

To samo Clay sugerował o Fawcetcie, podsumował w duchu Mont. Kto wie, całkiem możliwe.

—I nie ma żadnych wątpliwości, że to samobójstwo? — dociekał. — A może z udziałem osób trzecich? Upozorowane, z fałszywym listem, z którego wynika, że to on był zabójcą i nie wytrzymał tego psychicznie?

—Raczej nie, ale proszę samemu się rozejrzeć. Jeszcze go nie ruszaliśmy.

I tak kolejna wizyta Monta w bloku w Kilburn zaczęła się w salonie pana Nelsona, gdzie czekał na niego Wilson, dozorca. Był blady i wściekły. — Dość już mam tych dramatów — żalił się. — Nie wiem, ki czort nawiedził ten dom. Mieszkam tu już kupę lat i zawsze był tu spokój, a teraz? Jednego dnia morderstwo, drugiego samobójstwo.

—Od morderstwa pani Morris minęło już dziesięć dni — zauważył surowo Mont. — Jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

—Jak to nie? Po mojemu ma, i to cholernie dużo.

Mont zażądał krótkiej relacji ze znalezienia zwłok i Wilson posłusznie, choć z obrażoną miną, opowiedział mu, jak było. Po śmierci pani Morris pani Wilson postanowiła odwiedzić wszystkich lokatorów, którzy zatrudniali ją do sprzątania. Weszła też na piętro do pana Nelsona, czekając, aż tamten jej otworzy. A kiedy mimo jej pukania i dzwonienia nie podchodził do drzwi, zeszła po męża. Wilson wziął klucz, wszedł do środka i zastał byłego lekarza leżącego na łóżku, obok którego na stoliku leżała kartka. No i od razu wezwał policję.

—A czy zanim pan zszedł do telefonu, upewnił się pan, że Nelson nie żyje?

—Nie musiałem, wystarczyło rzucić na niego okiem.

Mont nie miał ochoty dalej o tym dyskutować. Odprawił Wilsona i zarządził rutynowe i metodyczne oględziny miejsca łącznie z jego sfotografowa-

niem i zdjęciem odcisków palców.

Dopiero później, gdy wnoszono już ciało Nelsona, Mont dojrzał kątem oka Fawcetta. Stał w drzwiach swojego mieszkania i przyglądał się całej akcji. Korzystając z okazji przeprowadzenia z nim nieoficjalnej rozmowy, Mont ruszył w jego stronę.

— Biedaczysko — odezwał się Simon przejętym głosem. — Oto smutny koniec nędznego życia.

Mont pokiwał głową. Tak mniej więcej można by to ująć, przyznał w duchu. — A może widział go pan jeszcze wczoraj? — spytał.

— A tak, widziałem. Jeśli ciekawi pana to, w jakim był stanie, to dodam, że zachowywał się jak zawsze. Był wprawdzie lekko roztrzęsiony, bo okropnie bał się, że po tym, jak grzebaliście w jego przeszłości, straci pracę, jedyne zajęcie, jakim jeszcze mógł się parać.

— A co pan wie o jego przeszłości, panie Fawcett?

— Tylko to, co sam mi powiedział, inspektorze. W zaufaniu.

Mont znów doznał tej samej niechęci, zażenowania i poczucia porażki, które już przedtem dręczyły go w towarzystwie tego człowieka. — A czy wczoraj nie był pan przypadkiem u niego w mieszkaniu?

— Byłem. Po cóż te wszystkie pytania?

Mont uznał to za dodatkową szansę. — Chcemy w miarę możliwości ustalić, kto ostatnio go odwiedzał. W ten sposób dowiemy się coś niecoś o jego stanie psychicznym. Zdjęliśmy też odciski palców i tym podobne. Musimy jeszcze pobrać je od państwa Wilsonów. No i od pana, jeśli będzie pan tak uprzejmy. To nam pozwoli wyeliminować podejrzanych.

— Oczywiście. A swoją drogą pierwsze słyszę, żeby w przypadku samobójstwa pobierano odciski palców. — Bez cienia zawahania czy obawy Simon utkwiał spokojny wzrok w inspektorze. — Myśli pan, że to coś da? — spytał.

— Tak przynajmniej mi się wydaje — odparł Mont. — Zaraz przyślę do pana kogoś z moich ludzi.

A więc zwłoka i nieprzewidziane zmiany w śledztwie zadziałały na naszą korzyść — pomyślał Mont, kiedy wracali z Clayem do Whitehall. Mają już jego odciski. Wystarczy porównać je z tymi z Beltonston i wtedy wszystko będzie jasne.

—A jeśli rzeczywiście odciski się zgadzają? — zagadnął Clay. — Wciąż nie mamy żadnych dowodów, że to on załatwił panią Morris.

— Ale za to będziemy mieli podstawy, by podejrzewać go o zabójstwo tamtego dzieciaka. Trzeba tylko ustalić, czy dotykał słoika znalezionego nad rzeką.

—Przecież to było tak dawno temu!

—Dla nas czas nie ma żadnego znaczenia, a dla niego tak. Możliwe, że pod wpływem szoku pęknie. W końcu przez tyle lat żył w przekonaniu, że ujdzie mu to na sucho.

—Tak pan sądzi? A jeśli to czubek? Może już całkiem o tym zapomniał albo, że się tak wyrażę, przeszedł nad tym do porządku dziennego? Pan, zdaje się, jest już na sto procent pewien, że to on, prawda, inspektorze?

—Niczego nie jestem pewien — rzucił rozpaczliwie Mont.

Okazało się, że Simona dręczą te same wątpliwości. Nie przejął się wprawdzie zdjęciem odcisków palców, bynajmniej nieświadom prawdziwego celu tego przedsięwzięcia, bo feralnego dnia przed południem na lunchu z George'em Clarkiem i później, w pociągu z Victorii, miał założone rękawiczki.

Niepokoiliła go jednak śmierć Nelsona. Podobno stary zostawił jakąś kartkę. Co takiego napisał? A może wspomniał coś o nim? Czy Nelson był kolejnym z kręgu jego wrogów, który coraz mocniej zacieśnia się wokół niego, rzucając groźby...

Rzecz jasna, i tak byli bezsilni. Atakowali go od samego początku i zawsze przegrywali. Już nigdy im się nie uda.

Mimo wszystko odczuwał pewien niepokój, zmęczenie i rozdrażnienie z powodu jakichś błahostek. Postanowił wyjść i pospacerować, by wywietrzyć z głowy swoje troski.

Zanim wyszedł, zajrzał do portfela. Zostało mu sporo pieniędzy. Miał tam jeszcze trzydzieści funtów, które wypłacił z banku dla pani Morris, a które wcale do niej nie trafiły. Nie wydał jeszcze ani pensa. A do tego z dodatkowej sumy, jaką przeznaczył na dwutygodniowe wydatki, zostało mu dziesięć szylingów. Właśnie dzisiaj, w sobotę, mijały dwa tygodnie. No jasne! To dlatego dziś rano znaleźli Nelsona. Zawsze zamawiał sprzątanie na sobotę. No i ta pani Wilson. Rzeczywiście. Że też wcześniej się nie zorientował, jaki dziś dzień. No i miał jeszcze te trzydzieści funtów...

Nałożył stary, poplamiony płaszcz przeciwdeszczowy, szukając w kieszeniach rękawic. To mieszkanie budziło w nim wstręt. Od śmierci pani Morris nikt tu nie sprzątał i choć Simon zwykle jadał na mieście, to na śniadanie zostawał jeszcze w domu i w kuchennym zlewie piętrzyły się brudne filiżanki, spodki i talerze, pokryte fusami z kawy, wylewanymi codziennie rano, kiedy parzył sobie świeżą. W sypialni też panował bałagan: łóżko nie zasłane, na podłodze brudne koszule i chustki do nosa. Na krześle leżała paczka z czystą bielizną, rozdarta z jednej strony. Wyjął z niej potrzebne rzeczy, nie dbając o to, by pozostałe poukładać na miejsce.

Zostawiając cały ten nieład, Simon wyszedł i zamknął za sobą drzwi na klucz. Na klatce schodowej nikogo nie było. Strażnik policyjny, który stał tam przez cały ranek, widocznie zakończył służbę. Simon miał świadomość, że mieszkanie Nelsona stoi puste. Zbliżając się do schodów, zerknął nawet na jego drzwi, choć w gruncie rzeczy to nie Nelson zaprzętał mu w tej chwili głowę.

Na pierwszym piętrze minął panią Hyde. Ciężko pochylona, usiłowała postawić przy drzwiach pustą butelkę po mleku. Zatrzymał się, by jej pomóc, i już miał oddalić się z uprzejmym uśmiechem, gdy nagle chwyciła go za rękaw. — No i znów nieszczęście! Nie mam pojęcia, czym sobie na to zasłużyliśmy!

— To rzeczywiście pech dla nas wszystkich — przyznał, w duchu wykluczając siebie samego.

— Biedny pan Nelson. Zawsze wydawał mi się jakiś dziwny. Niby na emeryturze, a stale coś kombinował. Wilson mówi, że to przez narkotyki. Może i tak. Zresztą wcale bym się nie zdziwiła, jeśli to pan Nelson zabił panią Morris.

—Naprawdę? — rzucił Simon, wstrzymując się od wyrażenia własnego zdania na ten temat.

—I znowu pan wyjeżdża? — ciągnęła pani Hyde. — E, chyba nie... tak bez bagażu?

— Wrócę wieczorem — oznajmił Simon, który myślami był już gdzie indziej.

Kobieta odprowadziła go wzrokiem, dopóki nie straciła go z oczu. Co za interesujący mężczyzna. Kulturalny, a do tego jeszcze taki przystojny.

Simon wsiadł do autobusu jadącego poza granice Edgware, a dalej poszedł już pieszo, bez żadnego konkretnego celu. Spacer po głównej drodze działał na niego kojąco. Mijał coraz mniejsze, starsze domy w wiejskim stylu, które wraz z narastaniem mroku jakby się chowały. Kończyły się też chodniki, a zaczynały żywopłoty.auta i ciężarówki mijały go coraz bliżej, a kiedy znużyło go schodzenie im z drogi, skręcił w jakąś zapomnianą dróżkę, aż wreszcie niebo pociemniało, zabłyśły na nim gwiazdy i nad porośniętym drzewami wzniesieniem, niczym ogromna, pękata, złocista dynia, wyłonił się księżyc w pełni. Tam zaczynał się przełaz, a dalej prowadziła wiejska ścieżka.

Zachciało mu się pić, lecz w zasięgu wzroku nie było żadnych willi ani wiejskich domów — tylko opustoszałe pola, skazane na nudę i wyobcowanie typowe dla każdego przedmieścia. W tyle zaś, na nocnym niebie, jaśniał blask od świateł miasta, które właśnie zostawił za sobą.

Idąc powoli przez pastwisko, dostrzegł opuszczone koryto. W tafli wypełniającej je do połowy wody błysnął bowiem wschodzący księżyc, co od razu przykuło jego uwagę. Pochylił się, nabrał wody w dłonie, wypił, po czym rozejrzał się wokół. Wystarczyło, że wreszcie zatrzymał się po długim spacerze, a już poczuł ogromne zmęczenie. Mimo że nogi odmawiały mu posłuszeństwa, powłókł się jeszcze na sąsiednie pastwisko, gdzie w starej szopie na gołej ziemi leżał rozrzucony stóg siana.

Zgarnął je rękami, wspiął się na sam szczyt, ułożył się wygodnie i leżał bez ruchu. Tu, na tym miękkim łożu, mógł rozprostować zmęczone nogi, rozkoszować się spokojem i wreszcie poczuć się wolnym od swoich wrogów. Tu nikt nie zakłócał mu myśli, nikt nie przeszkadzał, nikt nic od niego nie chciał.



Przewracając się na drugi bok i wtulając w siano, czuł, jak portfel uciska go w żebra. Zaklął, wyjął go i już miał go rzucić na ziemię, ale wtedy zorientował się, co trzyma w dłoni. Przycisnął portfel do piersi i leżał po ciemku z otwartymi oczami. Tam było trzydzieści funtów. Całe trzydzieści funtów, które udało mu się wyrwać z rąk tej jędzy. Jak umowa, to umowa. Trzeba grać fair. Nie ma czeku — nie ma pieniędzy.

W głowie zadźwięczały mu jej obelżywe słowa, potęgowane jego dziką wyobraźnią. Szantaż. Chciwość. A teraz robią wokół niej tyle hałasu.

Przepędził myśli o pani Morris i o zdarzeniu nad rzeką w Beltonston, które ostatnio tak często wracało mu w pamięci: tamta wędka i gałąź akacji, na której wtedy siedział i pisał wiersz, dopóki tamten chłopak nie zaczął rzucać w niego kamieniami, a wtedy zeskoczył z drzewa, zabrał mu słoik i wylał wszystkie ryby na ziemię. Tamten uderzył go, a on...

A on, Simon Fawcett — to znaczy ty, Simonie Fawcetcie — przegoniłeś ich. Przegoniłeś ich wszystkich, Simonie. I tamtą dziewczynę, Joan, też. Czy śmiała się wtedy, gdy złapałeś ją na schodach? A może to był krzyk? Tak, krzyk... Ale przecież ty spałeś. Mimo że codziennie wychodziłeś do łazienki, to tak naprawdę spałeś, odpoczywałeś.

To choroba, powtarzała w kółko matka. Choroba. Co za bezsens. Ale kretyń z tego doktora Marshalla. I te jego pigułki, które wyrzucałeś za okno.

No a inni — czy byli jeszcze inni, czy słyszał tylko ich głosy? Wrogowie. Te głosy to wrogowie. Zniszczy ich wszystkich, raz na zawsze, zniszczy...

Księżyc przesunął się po niebie i zniknął, a nad pastwiskiem i szopą weszło słońce, ale jego promienie nie zdołały dotknąć śpiącego Simona. Zbudził się dopiero w niedzielne południe, głodny, a przede wszystkim spragniony. Wrócił do koryta i pił jak zwierzę, zanurzając w wodzie wargi, chlepcząc głośno.

Nikt go nie widział, a kiedy już się napił, załatwił się jeszcze pod żywoplotem i wrócił do swojego gniazdka w sianie. Opadł na miękkie podłoże, nie zważając na kurz, owady, kolące źdźbła słomy ani na wrześniowe słońce, które rozpalało żelazny dach szopy. Zasypiał, budził się po serii chaotycznych wizji z wyobraźni i pamięci, i znowu zapadał w sen. I tak upłynęła mu cała niedziela aż do wieczora, kiedy to krople deszczu zaczęły dzwonić o dach,

jakby zrzucano na niego metalowe puszki. Mimo to nie zdołał zebrać swoich rozbieganych, pogmatwanych myśli.

W poniedziałek rano obudził się, drżąc z zimna, osłabiony z braku jedzenia, ale w pełni przytomny. Nie bardzo wiedział tylko, gdzie jest.

## 9

Pani Allingham znowu przyjechała do Londynu, tym razem z krótką, parodniową wizytą. Po remoncie w domku na wsi i założeniu kanalizacji zaczęła dostrzegać jeszcze inne niedoskonałości, jak na przykład przestarzałe oświetlenie, wyblakłe, zniszczone zasłony w jadalni i tym podobne. Dlatego też postanowiła zmienić również parę innych rzeczy, aby pasowały do jej nowocześnie wyposażonego domu.

Koniec letnich wakacji sprzyjał jej wizycie. Diana zwykle odwoziła dzieci do szkół samochodem, który William chętnie przeznaczył na ten cel. Obie szkoły mieściły się w Somerset, gdzie mieszkali także znajomi Diany. W tym roku postanowiła zawieźć dzieci w czwartek i spędzić weekend u swoich znajomych, a do domu wrócić dopiero na poniedziałkowy lunch. Pani Allingham przyjechała w czwartek na tyle wcześnie, by zdążyć jeszcze zjeść z wnukami lunch, zanim wyjechały do szkoły.

A do poniedziałku rano zrobiła też wszystkie zakupy i złożyła zamówienia, aby nazajutrz udać się z powrotem na wieś. Mogła wyjechać już wcześniej, ale poczucie obowiązku nakazało jej zostać i zobaczyć się z Dianą.

Martwiła się o swoją synową. Odkąd pani Allingham gościła u nich w czerwcu i lipcu, Diana schudła, zrobiła się drażliwa i nerwowa i nawet urlop w Bretanii z Williamem i dziećmi w drugiej połowie sierpnia nie bardzo jej pomógł.

Pani Allingham wiedziała o wyjeździe Penelope na festiwal do Arles, na który pojechała z grupą osób z uczelni, w tym także z Simonem, i była przekonana, że dziewczyna nadal spotyka się z tym okropnym człowiekiem. Nie miała pojęcia, jaki obrót przybrały sprawy. Diana nigdy nie mówiła o Simo-

nie, a William, zagadnięty o romans Penelope, przyznał matce, że nie widział się z Fawcettem od dnia, kiedy tamten nadużył jego gościnności, i że wcale nie ma ochoty się z nim spotkać. To do Williama niepodobne, pomyślała pani Allingham, zupełnie jakbym słyszała Huberta. I choć nie dawało jej to spokoju, to nie bardzo wypadało jej nalegać, by syn powiedział cokolwiek więcej, a że wołała nie czytać w gazetach o szczegółach zabójstw, to nawet do głowy jej nie przyszło, że Simon mógłby być zamieszany w morderstwo pani Morris.

Za to William, ze względu na Huberta, śledził całą sprawę z wyraźnym zaniepokojeniem. Nienawiść, jaka bez reszty opętała jego przyjaciela, budziła w nim grozę, a zarazem rozgoryczenie. Jeszcze nigdy od tylu lat nie kłócili się tak zaciekle. Od zabójstwa pani Morris minęły już przeszło dwa tygodnie, i niecałe dwa, odkąd aresztowali jej męża, ale gazety podały, że nie postawiono mu zarzutu zbrodni, tylko zatrzymano za kradzież.

Sprzeczka z Hubertem miała miejsce wtedy, gdy tamten przyszedł powtórzyć Williamowi, co zeznał w Scotland Yardzie. Najwyraźniej Hubert chciał go uprzedzić, że wymienił Johna tylko jako osobę, która mogłaby udzielić dalszych informacji o Simonie, ale William uznał, że to fałszywa wymówka. Od razu się domyślił, zgodnie z zamierzeniem Huberta zresztą, że tak naprawdę chodzi o Dianę. A kiedy wreszcie do niego dotarło i uświadomił sobie własną bezsilność, William wpadł w niepohamowaną wściekłość. Hubert poczuł się urażony, no i doszło do kłótni. Oba powiedzieli więcej, niż zamierzali czy naprawdę myśleli, a przy rozstaniu towarzyszyło im uczucie rozdarcia i smutku, a mimo to dalej byli wściekli jeden na drugiego.

W niedzielę rano w gazecie, zaraz na pierwszej stronie, William przeczytał o samobójstwie niejakiego Nelsona, zamieszkałego w Kilburn pod adresem, który wydał mu się znajomy. W notatce, napisanej w dyskretnym i taktownym tonie, wspomniano też, że zmarły był kiedyś lekarzem, a do niedawna pracował jako przedstawiciel firmy farmaceutycznej. W ostatnim zdaniu stwierdzono złowieszczo, że dwa tygodnie temu w tym samym bloku doszło również do zabójstwa pani Morris, którego okoliczności jeszcze nie wyjaśniono.

Williamowi kamień spadł z serca. Oby tylko przeczucia dziennikarzy się sprawdziły. Niech to samobójstwo okaże się przyznaniem się tego człowieka

do winy. Pisali chyba o jakiejś kartce znalezionej przy zwłokach? Może nawet przyznał się na piśmie. Oby tylko to była prawda...

W pierwszym odruchu chciał zadzwonić do Huberta i spytać go, czy sły-  
szał już najnowsze wieści, ale wspomnienie ich ostatniego rozstania go po-  
wstrzymało. Trzeba będzie z tym zaczekać.

Pani Allingham dostrzegła jego bladość i podenerwowanie i spytała, co się  
stało. Z początku nie chciał jej powiedzieć ani słowa, ale w jednej chwili pękł.  
Rozmowa z Hubertem była wykluczona, Diany nie było w domu. Nie mógł  
już dłużej znosić tego napięcia w samotności.

Pani Allingham była wstrząśnięta usłyszaną historią, a zwłaszcza tym, co  
Hubert powiedział o czeku podpisanym przez Penelope. — Teraz rozumiesz,  
dokąd to wszystko zmierza? — spytał. Odkąd się ożenił, jeszcze nigdy nie  
zdobył się na taką szczerłość wobec matki.

— Do Diany — odparła bez wahania. William skrzywił się, ale kobieta cią-  
gnęła dalej: — A Diana, niestety, robi, co jej się żywnie podoba. Wiem, że  
bardzo ją kochasz, ale nie potrafisz na nią wpłynąć.

— Widocznie za mało ją kochałem — odparł smutno. — Nie tak, jak sobie  
tego życzyła.

Pani Allingham nic nie odpowiedziała. Jawne potępienie Diany nikomu by  
nie pomogło, a zwłaszcza Williamowi. A poza tym jej purytańska dusza bro-  
niła się przed rozmową na tematy intymne, i to z własnym synem.

— No więc jeśli się okaże, że ten Nelson rzeczywiście był zabójcą, to poli-  
cja na pewno przerwie dochodzenie — orzekł William, wdzięczny matce za  
wrozumiałość, i od razu poczuł się lepiej.

— Naprawdę myślisz, że to on? — spytała. — I czy zachowywałbyś się te-  
raz w ten sposób, gdybyś rzeczywiście w to wierzył?

— Chyba wolno mi być obiektywnym — krzyknął. — Interesują mnie do-  
wody, a nie uprzedzenia!

Wyszedł i udał się na dół, do gabinetu, próbując zagłuszyć pracą wszelkie  
wątpliwości i obawy. Za to pani Allingham, która została na górze, nietrudno  
było uwierzyć w winę Simona. Ten człowiek był dla niej obrazem wcielonego

zła. Kobieta oddała się więc modlitwom o opiekę nad rodziną, jej dobrym imieniem i przyszłością.

Poniedziałkowa prasa nie napisała nic nowego poza przedrukiem niedziel- nego tekstu i podaniem daty rozpoczęcia śledztwa w sprawie śmierci pana Nelsona. Po porannych konsultacjach William wszedł do salonu, gdzie sie- działa jego matka.

—Diany jeszcze nie ma? — spytał, próbując ukryć rozczarowanie tym, że jej tam nie zastał.

—Nie, kochanie.

—To może chociaż dzwoniła?

—Nie. Zresztą nie było mnie prawie przez cały ranek.

Wszedł do kuchni i zastał pomoc domową, która właśnie kończyła przygotowywać lunch. — Są jakieś wiadomości od pani Diany? Mówiła, że wróci przed pierwszą.

—Nie, proszę pana.

—W takim razie zaczekamy nie dłużej niż kwadrans po pierwszej. O dru- giej muszę być w szpitalu.

—Oczywiście, proszę pana.

—Może złapała gumę — dodał, wściekły sam na siebie, że usprawiedliwia ją na głos. — Z samochodami różnie bywa — dodał niby od niechcienia.

—Miejmy tylko nadzieję, że to nie wypadek — odparła pomoc domowa zupełnie niewzruszonym tonem.

—Och, na pewno nie.

Chwilę po tym, jak wrócił do salonu, zadzwieczał dzwonek u drzwi. Pew- nie zgubiła klucz, pomyślał, biegnąc do holu. Ale w drzwiach, zamiast Diany, stał Hubert.

— To *ty*? — rzucił William, zdziwiony wizytą przyjaciela o dość niezwyklej porze.

Ale Hubert przecisnął się obok niego do salonu. — Nikt nie może nas usłyszeć — szepnął po drodze. — Mam ci do powiedzenia coś ważnego...

Na widok pani Allingham poczuł się nieco zakłopotany, ale przywitał się z nią zdawkowo i znów zwrócił się do Williama.

— Fawcett gdzieś zniknął — oznajmił, jakby podsumowując całą sprawę.

— Jak to, zniknął? To znaczy, wymeldował się i nie podał nowego adresu?

William postanowił nie ulegać panice, ale od pół godziny nie przestawał myśleć o Dianie i serce zaczęło mu kołatać.

— Zwiął raczej gdzieś. Od soboty rano nikt go nie widział.

— Przecież dziś mamy dopiero poniedziałek.

— Podobno wychodząc, mówił jakiejś sąsiadce, że wróci wieczorem. No i nie wrócił. A policja już go szuka i...

— Policja?! — Szybki słowotok Huberta nagle przerwał okrzyk pani Allingham.

— To pewnie *oni* ci powiedzieli, że zniknął? — zauważył rozgoryczony William. — A więc znów u ciebie byli. Na Boga, zostawże tego człowieka w spokoju. A w ogóle jakim prawem się wtrącasz? To życie osobiste Penny.

— Tak się składa, że Penny jest niepełnoletnia.

— Ale na tyle dorosła, żeby się spotykać, z kim chce. Przecież nikt tu nie mówił o małżeństwie.

— Niech cię szlag, Bill! Jeszcze nie przejrzałeś tego Fawcetta? To przestępca, a do tego jeszcze zbieg!

— Uspokójcie się obaj! — Pani Allingham wstała z miejsca, roztrzęsiona, z wypiekami na twarzy, ale stanowcza. — Hubercie, weź się w garść i wyjaśnij nam, o co chodzi.

— *Sam* chciałbym wiedzieć — odparł. Teraz, kiedy cała wściekłość zdążyła już z niego wyparować, okazał, co czuje naprawdę: zakłopotanie, niepokój i żal. — Bill nigdy mnie nie zrozumie. A ja robiłem wszystko, żeby uchronić Penny przed tym człowiekiem. Miałem nawet dowód jego nikczemności i

William doskonale wie, o co mi chodzi. A teraz najwyraźniej znalazło się coś, co w świetle prawa jest dowodem przestępstwa i policji potrzebna jest nasza pomoc. Jej udzielenie uważam za swój obywatelski obowiązek.

— I czym kosztem go spełniasz? Naszym czy Penny?

— Penny nie musi mieć z tym nic wspólnego, jeśli tylko ustalimy, co i jak. Policja właśnie była u mnie — po tym, jak z nią rozmawiali. Dzięki Bogu, okazało się, że zerwała z Fawcetem w dniu, kiedy wrócili z Francji, i od tamtej pory się nie widzieli. Caroline Feathers potwierdziła, że ostatni raz odwiedził je jeszcze przed wakacjami. Zdaje się, że była na tyle ostrożna, by dać im do zrozumienia, że Penny zna go jedynie z uczelni, bo ma z nim zajęcia.

— Nie wiadomo, czy uwierzą. W dzisiejszych czasach myśli się nieco inaczej. No ale skoro już nie martwisz się o Penny, to po co wpadasz tu jak wariat? Śmiertelnie nas wystraszyłeś.

Hubert machnął ręką, zniecierpliwiony, a pani Allingham skierowała się do drzwi.

— Nie zapomnij o dyżurze w szpitalu, Williamie — orzekła spokojnie. — Powiem dziewczynie, żeby podała lunch. Zjesz z nami, Hubercie?

— Nie, dziękuję. Muszę już iść, umówiłem się ze znajomym... I tak jestem już spóźniony. Policja złapała mnie w drzwiach.

Pani Allingham nie wysłuchiwała do końca jego wymówek.

— A gdzie Di? — spytał Hubert, odwracając się śpiesznie.

William podszedł do okna, zacisnął dłonie na zasłonach i wyjrzał na ulicę. — Zawiozła dzieci do szkoły i została w Somerset u znajomych na cały weekend. Allardyce'owie już od dawna ją zapraszali, i mnie też, ale wtedy była u nas mama.

— To dlaczego nie pojechałeś tym razem?

— Bo mama przyjechała kupić parę rzeczy do swojego domu. Powiedziałem, że jakoś dam sobie radę. Di jest ostatnio taka nerwowa i pomyślałem sobie, że ten wyjazd dobrze jej zrobi.

—A kiedy wraca?

—Sęk w tym, że już powinna być — odparł William, tłumiąc rozpaczliwy ton. — Ale niestety, trochę się spóźnia!

Całe szczęście, że nie widział w tym momencie twarzy przyjaciela: tej nagłej fali świadomości, przelotnego błysku zdziwienia, satysfakcji czy wręcz zadowolenia. Oto sprawdziły się jego przeczucia. Ale William usłyszał tylko jego cichy, współczujący ton: — Pewnie czekacie na nią z lunchem? Przecież jeszcze nie jest aż tak późno, prawda?

—Diana zawsze wraca o umówionej porze.

—Och wiesz, te auta...

—Już ja dobrze wiem, jak to bywa z autami.

—Słuchaj, chyba nie myślisz, że... no wiesz, nie powiedziałbym o Dianie złego słowa, ale... skoro Fawcett zniknął...

William obrócił się gwałtownie, ciężko dysząc. — Nic nie musisz mówić. Obaj dobrze wiemy, co nam chodzi po głowie. I najlepiej będzie, jak się stąd zaraz wyniesiesz!

Popatrzyli na siebie gniewnym wzrokiem niczym wrogowie, poróżnieni nienawiścią do Simona Fawcetta. W tej samej chwili do salonu weszła niezauważona Diana.

—Przyszedłem tu po to — odparł Williamowi Hubert — żeby ci powiedzieć, co się dzieje, i zapewnić, że w rozmowie z tym inspektorem nie wspominałem o tobie ani o Di. Mimo to w zeszłym tygodniu policja dotarła do Johna w Portsmouth, dlatego nazwisko Allingham nie jest im całkiem obce.

—Wynoś się! — powtórzył William. — Myślisz, że to wszystko w ogóle mnie obchodzi?

—Czy nikt się ze mną nie przywita? — usłyszeli za sobą wyraźny głos Diany.

Obaj mężczyźni obrócili się. William wydał z siebie stłumiony okrzyk, przypominający szloch, a Hubert wyjąkał coś na powitanie.

—Wiem, spóźniłam się — ciągnęła Diana. — A ty masz dzisiaj dyżur w



szpitalu, prawda? Dlaczego jeszcze nie jesz lunchu, Bill? A może Hubert zje z nami?

— Nie, właśnie wychodzę.

— A o czym to tak zawzięcie plotkowaliście? Wyglądacie jak smarkacze, których przyłapano na jakichś świństwach w toalecie. Pewnie jak zwykle się kłócicie... No tak, od razu widać. Bill, wygląda na to, że coś strasznie cię gnębi!

Podeszła do niego, a on objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Wtedy dodała: — Bałeś się, że już nigdy nie wrócę? Myślałeś, że uciekłam?

Nie zważając na obecność Huberta, pochylił się i pocałował ją. — Nie męcz mnie! — szepnął chrypliwym głosem. — Już dłużej tego nie zniosę.

Dłonią w rękawiczce delikatnie przesunęła po jego karku. To był typowo matczyzny gest. Widząc to, Hubert czuł się zniesmaczony. Jakoś nie bardzo wierzył w tę jej czułość.

— A propos ucieczki — wtrącił oschle. — Simon Fawcett gdzieś czmychnął.

Diana nie odstępowała Williama, a wręcz przysunęła się do niego jeszcze bliżej. — O czym on mówi, Bill? — spytała. — Jak to, czmychnął? Dlaczego? I dokąd?

— Tego nie wie nikt — odparł William. — Po prostu zniknął, i już.

Pani Allingham zajrzała przez uchylone drzwi. — Lunch już podany... O, już jesteś, Diano! To do ciebie niepodobne tak się spóźnić. Williamie, jeśli zaraz nie przyjdiesz do stołu, to twoi biedni pacjenci będą musieli na ciebie czekać.

— No właśnie, lepiej się pośpiesz — rzuciła Diana, trącając go lekko. — Ja też za chwilę przyjdę. Zaczynj beze mnie.

William wziął Huberta pod ramię i razem wyszli. Diana została sama. Zamknęła drzwi, podniosła słuchawkę i wybrała numer. Odezwał się jakiś niewyraźny męski głos.

— Simon? — spytała miękko, a nie słysząc żadnej odpowiedzi, powtórzyła

głośniej: — Simon, to ty?

— Kto? — spytał głos.

— Simon? Czy rozmawiam z Simonem?

— Nie — odparł głos.

— W takim razie musiałam się pomylić — powiedziała i wyrecytowała z pamięci numer telefonu Simona, przekonana, że pamięta go doskonale.

— Zgadza się. A z kim pani chciała rozmawiać?

— Z panem Fawcettem. Zastałam go?

To pewnie kolega Simona. A swoją drogą, jakiś dziwny z niego rozmówca.

— Pana Fawcetta nie ma. A kto mówi?

Wiedziała, że musi mieć się na baczności. Ani razu jeszcze nie miała z Simonem żadnej wpadki i bynajmniej nie chciała, żeby teraz nagle coś się zmieniło.

— Może najpierw pan mi powie, kim pan jest — rzekła — I kiedy zastanę pana Fawcetta?

— Jestem z policji — odparł głos. — Proszę mi podać imię, nazwisko i adres.

Diana bardzo powoli odłożyła słuchawkę i stała bez ruchu, wpatrując się w telefon. O Boże, pomyślała, co on takiego zrobił? I gdzie teraz jest?

## 10

Diana leżała w swoim pokoju na sofie. Miała zamknięte oczy. Konieczność podtrzymywania bezsensownej rozmowy podczas lunchu znacznie ją wyczerpała. Pani Allingham była dziś nadzwyczaj męcząca — taka nieobecna, poważna, a do tego nie reagowała na najmniejszy dowcip. William z kolei starał się być przerażająco zabawny, a wręcz frywolny. Próbował przebić jej

zabawne relacje z weekendowego pobytu u Allardyce'ów jakimiś głupimi historiami ze świata medycznego, które wcale nie były śmieszne. Gołym okiem widać było, że zarówno on, jak i jego matka odreagowują w ten sposób swoje napięcie. A przyczyną tego napięcia była, rzecz jasna, ona sama. Spóźniła się pół godziny, a oni już się bali, że nie wróci. A więc sprawa wyglądała aż tak fatalnie. Pomyśleli, że uciekła z Simonem.

Simon. Sama w salonie, z dala od reszty rodziny, Diana popuściła wodze wyobraźni. Po zerwaniu z Penelope wrócił do niej mimo jej zazdrości. Wiedziała, że tak zrobi. I choć tak naprawdę nigdy jej nie zaniedbywał, to miała mu za złe, że dzielił swoje uczucia między nią a tamtą, i wcale się z tym nie kryła. A teraz należał już tylko do niej, powtarzała sobie. Bardziej niż kiedykolwiek. Aż tu nagle zniknął tak po prostu, a wszystkie jego drobne aluzje — o niedostatku, tanim lokum, wstrętnych sąsiadach, okropnej sprzątacze i jej mężu recydywiście — zaczęły powracać w jej pamięci, zwłaszcza teraz, po zabójstwie tej sprzątaczkii, kiedy w mieszkaniu Simona znalazła się policja.

Myśl, jaka krążyła jej po głowie, była oczywista i jednoznaczna, a zarazem niewiarygodna, przerażająca i absurdalna. Za zamkniętymi powiekami, w ciemnych zakamarkach jej wyobraźni, kłębiły się przeróżne wizje — te drastyczne i te cudowne, sceny grozy i błogostanu.

— Nie śpisz, skarbie?

Na dźwięk głosu Simona tuż przy uchu wyprostowała się szybko na sofie i odwróciła głowę, dysząc, zaskoczona, jakby bliska omdlenia. Patrzył na nią z tym swoim nieodłącznym uśmiechem, ożywiającym jego zmęczone rysy twarzy — która, wcześniej opalona, przybrała teraz chorobliwie żółty odcień — zrytej smugami szarego pyłu, pozostałością po jego wędrówkach.

Diana szybko się opanowała. — Gdzieś ty się, do diaska, podziewał? — spytała rozpaczliwym szeptem. — I coś ty w ogóle robił?

Wziął ją za rękę, podciągnął w górę i objął ramionami. Jego pocałunek nieco ją uspokoił, ale jego stan budził w niej przerażenie. — Gdzieś ty był? — powtórzyła szeptem. — Popatrz na swoje ubranie: pełno słomy i błota, a do tego okropnie cuchniesz! Nie mogłeś się najpierw wykapać i przebrać? — rzuciła bezmyślnie, ale zaraz przybrała uprzejmy ton i zacisnęła ramiona. — Jasne, przecież nie mogłeś tam wrócić — dodała. — Wiem, że oni tam są.

Och, mój kochany, coś ty narobił? Jeśli chodzi o pieniądze, to pożyczę...

— Wcale nie chodzi o żadne pieniądze — odparł Simon, przyciągając ją do siebie. — Przyszedłem, bo chcę być z tobą. Potrzebuję cię.

Po raz pierwszy przyznał, że spotkania z nią to dla niego zaszczyt, a nie tylko spełniona zachcianka. Diana była tym głęboko wzruszona i, jak zawsze, podniecona jego obecnością.

— Pomoc domowa już wyszła — oznajmiła mu. — Ale znów jest u nas moja teściowa. Ja też dopiero wróciłam, nie było mnie od czwartku. Chyba nie uda nam się...

— Gdzie ona jest?

— W sypialni. Pewnie leży i czyta *Timesa*.

— W takim razie ja też się położę, o tutaj, przy tobie.

Oboje roześmiali się i wciąż chichocząc, zdjęli z siebie ubranie. Tym razem wziął ją brutalniej niż zwykle i zamiast przyjemności odczuwała tylko ból. Po chwili było już po wszystkim. Oboje jednak mieli świadomość, że tym razem im się nie udało. Unikając swojego wzroku, szybko się ubrali. Ledwo Diana zdążyła doprowadzić się do porządku, gdy zadzwieczał dzwonek u drzwi.

Obleciał ją zimny strach. Odwróciła się do Simona, który stał przy ścianie tuż obok drzwi, dziwnie spokojny.

— Musisz uciekać! — powiedziała. — Idź do gabinetu, to ich wpuszczę i zatrzymam, żebyś mógł się wymknąć.

— Jak to, ich? — spytał. — O kim ty mówisz? — Zrobił krok do przodu. — Słuchaj, skąd ty właściwie wiedziałaś, że nie mogę wrócić do mieszkania?

— Bo do ciebie dzwoniłam — odparła, tak przerażona, że aż zaschło jej w ustach. — Bo wiesz, Bill i Hubert mówili, że zniknąłeś, no i zadzwoniłam. Odebrał jakiś człowiek i powiedział, że jest... z policji.

— Dzwoniłaś?! Ty idiotko! Jak zwykle zazdrosna i bezmyślna!

Znów odezwał się dzwonek.

—No, idź już! — ponagliła go Diana. — Wiesz przecież, że muszę otworzyć.

Wyszedł za nią z pokoju i zniknął w gabinecie, zamykając za sobą drzwi, a Diana zeszła na dół. W drzwiach zastała już Penelope i Johna. Wszyscy troje bez słowa ruszyli do salonu.

— Czy on tu był? — spytał śpiesznie John, gdy tylko zamknęły się za nim drzwi. Rozejrzał się dookoła, a jego głos przeszedł w nagły szept.

— Tak, ale już wyszedł — odparła Diana, triumfując w duchu. A Penelope ukryła twarz w dłoniach.

— Jak tylko zjawi się tu policja, będziesz musiała ich o tym powiadomić — zauważył John.

Diana obrzuciła ich chłodnym spojrzeniem. Zebrała się w sobie, gotowa stanąć do walki. — Nie wiem, o czym mówisz — odparła.

— A mnie się zdaje, że doskonale wiesz — odrzekł.

Wtedy odezwała się Penelope, z trudem opanowując drżenie

głosu. — Przed chwilą w pracy miałam telefon od inspektora Monta. Pytał, czy to ja dzwoniłam do Simona do domu, a ja zaprzeczyłam. A chwilę później przyszedł John.

— Mont prowadzi śledztwo w sprawie zabójstwa tej sprzątaczkii. Parę dni temu przyjechał zadać mi kilka pytań. To było chyba w piątek... To Hubert dał mu moje namiary.

— Szlag by trafił tego Huberta! — rzuciła gniewnie Diana. Hubert już od dawna uprzykrzał jej życie tymi swoimi podejrzeniami i uprzedzeniami. — Niech go jasna cholera!

Ale John nie zważał na jej wybuch. — No i sama widzisz, że gliny wężą — ciągnął dalej. — Chociażby wczoraj... znowu u mnie byli. I właśnie dlatego tu jestem: bo jeśli kontaktowali się już z Hubertem, to na pewno wspomniał też o was, to znaczy

o tobie i o Williamie.

— Ale przecież Simon ma jeszcze całą masę innych znajomych, u których mógł spędzić weekend — zauważyła Diana, choć sądząc po tym, w jakim był stanie, z pewnością nikogo nie odwiedzał.

— A kiedy dokładnie tu był? — dociekał John. — Zrozum, jeśli zdradzisz miejsce jego pobytu, to oszczędzisz sobie kłopotów. Zresztą chyba sama dobrze o tym wiesz? Najlepiej zeznaj, że łączy was tylko i wyłącznie przyjaźń.

A więc Penny wszystko mu wypaplała. Mała, żałosna suka.

— Daruj sobie te przytyki pod moim adresem — rzuciła, wpatrując się wściekle w dziewczynę. — A chora wyobraźnia Penny też mnie nie obchodzi. Policja nic się ode mnie nie dowie, absolutnie nic...

— Bravo! — zawołał Simon w drzwiach. Szybki jak zawsze, wślizgnął się swym bezdźwięcznym krokiem do pokoju, nim ktokolwiek z ich trojga zdążył zauważyć jego obecność. — Niech tylko przyjadą, to sam z nimi pogadam — oświadczył. — Nie mam nic do ukrycia. Ja tylko oczyszczam świat z plagi zła, zgodnie z moim powołaniem zresztą. Po to właśnie zostałem zesłany. — I uniósł głowę, jakby przyjmował skądś aplauz i pochwały, których pozostałym trojgu nie dane było słyszeć.

Tamci wzdrygnęli się, zaskoczeni jego dziwnym zachowaniem i zmienionym głosem, i nagle dostrzegli w nim to samo, co pani Morris: człowieka wy-

niosłego, lecz fascynującego, wywyższonego swoją wizją własnej potęgi i wielkości. Ale John poznał go od tej strony już wcześniej. Penelope, która z przerażeniem wysłuchiwała jego szczegółowej relacji o bójce z Simonem, też nie była zaskoczona tymi jawnymi oznakami jego obłędu. Za to Dianę, zaślepioną namiętnością aż do granic rozumu, najzwyczajniej przerażała niefrasobliwość kochanka. Rozzłościła się na niego za to, że tak ją wystraszył.

— Mówiłam ci, żebyś wyszedł! — krzyknęła, ruszyła naprzód i złapała go za ramię, by pociągnąć go do drzwi. — Co tu jeszcze robisz? Czyś ty oszalał?!

W ciemnych oczach Simona, w miejsce wyniosłego spojrzenia, którym obrzucił ich, wchodząc do pokoju, pojawił się przewrotny błysk. Zsunął z ramienia ponaglącą dłoń Diany, posłał jej chłodny uśmiech, pełen tajemniczej złowrogości, co wzbudziło w niej szok do tego stopnia, że odruchowo się cofnęła. W tej samej chwili do pokoju wszedł William, a tuż za nim Hubert.

— No proszę! — zawołał przeciągle Hubert na widok Simona, nie kryjąc satysfakcji, ale spojrzenia i myśli Williama krążyły tylko wokół Diany.

— Dzięki Bogu! — orzekł i zwrócił się do Johna. — Co za szczęście, że byłeś tu przez ten czas.

Diana wyprostowała się sztywno. — Nie rozumiem, o co ci chodzi — rzuciła gniewnie podniesionym głosem. — A swoją drogą powinieneś chyba być w szpitalu?

— Byłem, ale zadzwoniła po mnie pani Stone. Widziała, jak Simon wchodził do naszego domu.

— Jak ona mogła? Co za cholerny tupet...

— Ty chyba naprawdę nic nie rozumiesz. — Zerknął na Simona, który stał bez ruchu, wpatrując się w Huberta. Tamten z kolei podszedł do telefonu, podniósł słuchawkę i wybrał numer Scotland Yardu, a następnie skinął głową do Johna, który spokojnym krokiem podszedł do drzwi. William tymczasem przysunął się bliżej do żony i ciągnął szeptem: — Posłuchaj, Di, dzwoniли do mnie z Yardu. Telefon odebrała pani Stone i powiadomiła ich, gdzie mogą mnie znaleźć. Rozmawiałem z nimi ze szpitala. Podejrzewali, że Simon może się tu zjawić, a ja przyznałem, że to nasz znajomy. Poleciałem pani Stone, żeby

była czujna, no i stanęła na wysokości zadania. Najpierw nie mogła się do mnie dodzwonić, bo numery do szpitala były zajęte. A kiedy już mnie złapała, to zabrałem Huberta i przyjechaliśmy tutaj.

Całe szczęście, że nie od razu się dodzwoniła — pomyślała Diana. Rozejrzała się rozpaczliwie. No i co teraz będzie? Kto im pomoże? Do jej uszu dotarł głos Huberta: — Oczywiście, i to jak najszybciej, panie inspektorze.

—Nie, nie! — zawołała, wyciągając ręce do Simona. — Idź! Uciekaj! No rusz się wreszcie! I co tak stoisz? Czyś ty oszalał?

Powiedziała to już po raz drugi. Na dźwięk tych słów Simon zmarszczył czoło, ale widząc jej wyciągnięte błagalnie ręce, nie mógł się powstrzymać. Podszedł bliżej, chwycił je i pociągnął w stronę drzwi. — Uciekniemy razem — oznajmił łagodnie. — Od tych wilków, szakali, oprawców... Nie damy się skrzywdzić. Uciekniemy razem i już nigdy więcej nas nie zobaczą.

Hubert stanął przy drzwiach obok Johna. — Nigdzie się stąd nie ruszysz, Fawcett — rzucił szorstko. — Zamordowałeś tę nieszczęsną panią Morris i odpowiesz za to, choćbym miał cię tu zatrzymać siłą, dopóki nie zgarnie cię policja. Wiesz dobrze, że to ty ją zabiłeś.

Simon pokiwał smutno głową. — Jasne, zrobiłem to. Taki zresztą miałem plan: oczyścić świat z plagi zła. A teraz rozsuńcie się i pozwólcie nam odejść!

Diana wyrwała ręce z jego uścisku. Dopiero to wyznanie, wypowiedziane takim tonem, mocno nadwątlilo jej zaufanie do niego i zachwiało jej wiarą w jego dobro i świętość, które zawsze w jej mniemaniu przysłaśniały jego niebywałe samouwielbienie. Próbowała wymazać ze świadomości jego prawdziwy obraz i wynurzyć się z tej przepaści, która powoli ją otaczała.

—Nie możemy tak po prostu uciec — wyjąkała. — Musimy zostać i stawić im czoła, rozumiesz? Udowodnij, że tego nie zrobiłeś! Przysięgnij, że to nie ty!

—Chodź ze mną — nalegał. — Zabiorę cię daleko stąd. Przecież zawsze tego chciałaś.

—Nieprawda! Nigdy tego nie chciałam!

Cały jej świat zadrżał w posadach, a jednak powiedziała dokładnie to, co



czuła.

— William da ci rozwód, a ja cię zabiorę. Pobierzemy się.

— O nie! — krzyknęła, przerażona nie tyle jego spokojem w obliczu popełnionej zbrodni, co jego publicznym wyznaniem i tym, że nie zważając na swoją beznadziejną sytuację, próbował wciągnąć ją w swoje piekło. — Nigdy w życiu! Nie chcę żadnego rozwodu. Po prostu nie mogłabym za ciebie wyjść!

Jej słowa płynęły prosto z serca. Mówiła tak szczerze i dobitnie, że wszyscy obecni osłupieli. Wiedzieli, że to prawda.

I Simon też wiedział: Diana była jedną z nich — wrogiem, zdrajczynią, dręczycielką. W okamgnieniu doskoczył do niej i zacisnął silne dłonie na jej szyi.

W jednej chwili w pokoju zrobiło się zamieszanie. Trzej mężczyźni, którzy zdumieni i przerażeni przyglądali się tej wymianie zdań, jakby zbudzili się z otępienia i rzucili się na pomoc Dianie, usiłując obezwładnić zabójcę. Ścisnął ją tak mocno, że gdy udało im się ją wyswobodzić, była bliska omdlenia. William wziął ją na ręce, ułożył na sofie i przykląkł obok niej, struchlały ze strachu i żalu.

Simon bronił się, ale tylko przez krótką chwilę. W końcu Hubert i John pokonali go wspólnymi siłami i zaraz potem leżał już na podłodze, bezwładny i nieruchomy, z zamkniętymi oczami.

— Już raz go takim widziałem — wysapał John, klękając obok niego.

— Najlepiej zwiążmy go, zanim się ocknie — zasugerował Hubert i dźwignął się do pozycji stojącej.

— Nie róbcie tego! — Penelope podbiegła do leżącego Simona, poluźniła mu krawat i zbadła puls. — On jest chory, i to poważnie!

Hałas zaniepokoił panią Allingham, która zaraz zjawiała się w pokoju i o nic nie pytając, już po chwili wiedziała, co się stało. Szybkim krokiem podeszła do sofy.

Diana drgnęła, otworzyła oczy i ujrzała nad sobą zboląłą twarz Williama.

— Moja kochana — odezwał się łamiącym głosem. — Moje ty biedactwo.

Ale ona wydała z siebie zdławiony szloch, odwróciła głowę i ukryła twarz w poduszce.

— Penny, skocz po wodę i szklanki — rzuciła pośpiesznie pani Allingham.

William wstał z klęczek. To nic, że Diana go odepchnęła. Najważniejsze, że już nigdy od niego nie odejdzie. Nie zważając na swoje złamane serce i głębokie upokorzenie, chwycił się tej jedynej nikłej pociechy.

Odsunął Johna, uklęknął i zbadał Simona, a Hubert ponownie zasugerował swoje brutalne rozwiązanie.

— Nie ma takiej potrzeby — odparł szorstko William. — Wygląda na to, że nieprędko wstanie. A jak tylko się ruszy, to zaraz dam mu zastrzyk.

I poszedł do telefonu poprosić panią Stone, by przygotowała mu strzykawkę i fiolkę z morfiną, a następnie zadzwonił do szpitala na Oddział Psychiatrii i skontaktował się z tamtejszym lekarzem.

— Schizofrenia paranoidalna — rzucił do słuchawki. — Więcej dowie się pan na miejscu. Tylko proszę się pośpieszyć, bo to pilna sprawa.

— Co ty wyprawiasz? — zbeształ go gniewnie Hubert. — Lada chwila będą tu gliny. Już oni sami na pewno sobie z nim poradzą, nawet jeśli to wariat.

— I ty jeszcze masz wątpliwości? Przecież to widać gołym okiem. Biedaczysko. Tylko mi nie mów, że jeszcze do ciebie nie dotarło.

— Po mojemu zwyczajnie udaje — odparł Hubert. — Już nie raz pokazał, jaki z niego spryciarz.

Wtedy zadźwięczał dzwonek u drzwi i John poszedł otworzyć. Hubert, spodziewając się zobaczyć inspektora Monta, ruszył za nim, ale okazało się, że to pani Stone ze strzykawką.

Podawała ją Williamowi, a ten polecił jej, by przyprowadziła na górę każdego, kogo wezwał na pomoc Simonowi. Kobieta posłusznie wsiadła do windy i zjechała na dół.

Simon, który leżał w salonie, usiadł nagle, rozejrzał się dookoła i zaczął mamrotać coś pod nosem. Penelope pochyliła się nad nim i podała mu szklanekę wody. Z litości dla niego przewyciężyła strach.

Unikając jej spojrzenia, Simon wziął szklanekę, napił się, po czym z wolna wstał i wciąż mrucząc coś sam do siebie, dotarł do biurka Diany i usiadł na blacie. Jego głos stał się nieco donośniejszy, żeby wszyscy obecni mogli go słyszeć.

— Nie dyskutuj z nimi, Simonie — mówił ten głos. — Nie zniżaj się do ich poziomu. Nie słuchaj ich. Już cię nie skrzywdzą, Simonie. Twoi wrogowie zginą. Nie mów ani słowa.

— Boże, ulituj się nad nami — modliła się głośno pani Allingham. — Uchronń nas, Panie, od tego zła i wybaw od mocy piekielnych, przez Twego Syna, naszego Zbawiciela i Odkupiciela.

— No nareszcie — zawołał spod okna Hubert. — Ciekawe, czemu się tak ociągali — dodał i ruszył do drzwi.

— Chwileczkę, to mój dom — oznajmił William. — Sam zdecyduję, kogo tu wpuścić, a kogo nie. Powiedziałem pani Stone, żeby zaprowadziła policjantów do mojego gabinetu. Porozmawiam z nimi, gdy tylko mój pacjent znajdzie się w rękach pogotowia.

— Czy wszyscy w tym domu postradali zmysły?! — zagrzemiał Hubert, ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

William podszedł do Simona. — Jesteś chory — powiedział łagodnie. — Zaraz zbada cię inny lekarz, a potem pojedziesz do szpitala. Słyszysz mnie? Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Diana podniosła się z miejsca, blada i oszołomiona. Wzięła szklanekę z rąk pani Allingham i upiła łyk wody.

— Chodź, kochanie, do swojego pokoju. Tam się położysz — nakłaniała ją teściowa. — Musisz odpocząć, dłużej tego nie wytrzymasz.

— Zostaw mnie — rzuciła Diana. Pochyliła się do przodu i wbiła wzrok w Simona, siedzącego w drugim kącie pokoju. Na jego steranej twarzy usiło-

wała doszukać się choćby cienia dawnego kochanka, którego tak uwielbiała.

TLR

Przez chwilę William stał przy nim bez ruchu, jakby czekał na jego reakcję, po czym odszedł na bok. — Zejdź na dół, Hubercie, i przekaz inspektorowi, jak sprawy stoją — polecił. — Powiedz, żeby zaczekał dla dobra pacjenta.

— Chyba raczej mordercy! I gdzie tu sprawiedliwość?!

— Och, na litość boską! — jęknął William, poirytowany.

— W takim razie może ja pójdę? — zaproponował John. — W końcu widziałem już Simona w takim stanie.

Simon jednym ruchem zerwał się na równe nogi. — Wszyscy mówicie o mnie... Dyskutujecie sobie, jakby mnie tu nie było. Już nie raz to słyszałem. Doktor Marshall... bo tak się nazywał... Powiedzcie to Montowi, że nie Gordon, tylko Marshall... On też tak o mnie mówił. To było prawdziwe piekło, tyle miesięcy... Nigdy więcej!

Jego głos brzmiał coraz głośniejsze. William przemknął do stołu, gdzie leżała strzykawka i morfina i zaczął odkręcać fiolkę. Hubert zasłonił plecami drzwi, a John stanął śpiesznie obok niego.

— A nie mówiłem wcześniej? — krzyczał Hubert do Williama. — Nic do ciebie nie docierało!

Simon zaśmiał się. Chwycił siedzącą na sofie Dianę i pociągnął w stronę okna. Tam, przytrzymując ją jednym ramieniem, drugą ręką uniósł szybę. — Idziemy, kochanie! — zawołał. — Czy ci się to podoba, czy nie. Idziemy razem i niech diabli wezmą ich wszystkich!

Diana wrzasnęła, John i Penelope ruszyli naprzód, ale William był jeszcze szybszy. Rzucił strzykawkę, jednym susem znalazł się przy parapecie i szarpnął Dianę w chwili, gdy Simon rzucił się przez okno. John zdążył jeszcze chwycić jego rozcapierzone dłonie, które przed chwilą kurczowo trzymały Dianę, i pod jego ciężarem sam wychylił się do pasa za okno, ale Simon w ostatnim spazmatycznym odruchu wyswobodził się i z krzykiem uniesienia runął na chodnik w dół.

Nikt nie był w stanie nic zrobić. Wszyscy stali, przerażeni, osłupiali, bezradni: a zwłaszcza Hubert, który nagle zdał sobie sprawę, do czego doprowadziły jego prześladowcze działania. Jako pierwszy ruszył się William. Ułożył na sofie omdlałą Dianę, poinstruował szybko matkę i ruszył schodami na dół.

Zamieszanie, jakie wybuchło na ulicy po upadku Simona, od razu dotarło do uszu pani Stone, która pośpieszyła korytarzem do gabinetu Williama powiadomić czekających tam policjantów. Na dole William więc zastał otwarte drzwi, a na progu tłum ludzi, przez który musiał się przedrzeć, ale nim zdążył przykuć uwagę zebranych i dotrzeć do inspektora Monta i sierżanta Clay'a, klęczących przy pogruchotanych zwłokach Simona, nadjechała karetka pogotowia, a parę metrów za nią na chodnik wtoczył się jakiś prywatny samochód.

Sanitariusze pomogli Clayowi wycofać tłum. Przyznali, że cała ta sytuacja bynajmniej ich nie zaskoczyła, skoro zostali wezwani do kogoś, kto miał trafić na oddział psychiatryczny. Widocznie lekarze znowu spaprali sprawę, nie po raz pierwszy zresztą w takich przypadkach. Zawsze boją się wydać decyzję o zamknięciu u czubków na wypadek, gdyby chory wyzdrowiał i zagroził im procesem. Orzekanie o chorobach psychicznych to, jak by nie patrzeć, skomplikowana sprawa.

Lekarz psychiatra, który nadjechał prywatnym autem, dołączył do kręgu otaczającego denata. Na pierwszy rzut oka ocenił sytuację i od razu zapytał o doktora Allinghama.

— To ja — odezwał się William. — Dzwoniłem po pana, ale sam pan widzi, że dotarł pan na próżno.

Mont podniósł wzrok. Zdążył już zidentyfikować Simona po jego portfelu, który w czasie skoku wypadł mu z kieszeni, a wraz z nim inne drobne przedmioty: monety, długopis, grzebień i terminarz. W portfelu Mont zauważył sześć pięciofuntowych banknotów — całe trzydzieści funtów w gotówce. Dla niego to był jakiś dowód winy Simona. W sądzie, co prawda, już się nie przyda, ale przynajmniej utwierdzi w przekonaniu ludzi z Yardu i pomoże im

ustalić szczegóły samobójstwa. — Chciałbym zamienić z panem słówko — zwrócił się do Williama.

— Oczywiście.

Sanitariusze wynieśli nosze, przykryli ciało Simona i zabrali do kostnicy, a Mont w towarzystwie Claya, Williama i lekarza psychiatry weszli do budynku. Tłum gapiów wciąż jeszcze stał na ulicy, to zadzierając głowy do góry, na okno na piętrze, które ktoś zdążył już zamknąć, to znów wlepiając wzrok w kałużę krwi na chodniku.

Tymczasem na piętrze, w salonie państwa Allingham, wciąż trwała upiorna cisza. Penelope przywarła do Johna, który objął ją ramieniem, a oprzytomniała Diana siedziała wtulona w róg sofy, z głową na oparciu. Oczy miała zamknięte, a twarz bladą i znieruchomiałą. Pani Allingham klęczała przy niej, poruszając wargami w żarliwej, pełnej trwogi modlitwie. Tylko Hubert krążył nerwowo po pokoju, raz po raz podchodząc do okna, ale i on nie odezwał się ani słowem.

Na widok Williama wszyscy oprócz Diany wydali z siebie okrzyk i rzucili się w jego stronę.

— Sami rozumiecie, że nie mogliśmy nic zrobić — oznajmił śpiesznie.

— To znaczy... że nie żyje? — spytał John.

— Tak.

Diana jęknęła cicho, poruszając głową z boku na bok. William podszedł do niej. — To musiało nastąpić natychmiast, kochanie. Założę się, że ani trochę nie cierpiał. A zresztą był w takim stanie, że pewnie nie wiedział, co robi i co go czeka.

Diana otworzyła oczy. W jej rozpaczliwie smutnym spojrzeniu pojawił się cień pogardy. — Byłam przy nim, ale ty musiałeś się wtrącić. Widziałam, jak na mnie patrzył. Bóg mi świadkiem, że nigdy, przenigdy tego nie zapomnę! On doskonale wiedział, co robi i co go czeka. — Wyrzuciła ramiona w górę. — Trzeba było mi pozwolić odejść, umrzeć razem z nim! Jak mam teraz żyć z tym ciężarem?

— Powinienem był dać mu zastrzyk, jak tylko zasłabł — szepnął chrypli-

wie William. — To moja wina, od samego początku. Wstrzymywałem się z diagnozą mimo że doskonale wiedziałem. Taka tam łagodna schizofrenia, myślałem sobie. To nic poważnego. Zawsze traktowałem go z przymrużeniem oka. Niech mi Bóg wybaczy. — I odwrócił się, zdruzgotany tym, że nie spełnił się jako lekarz ani jako mąż, nie umiając przy tym pogodzić się z rzeczywistością.

— To nie ma nic do rzeczy — odparł mu Hubert. — Powinieneś być tylko wpuścić na górę policję. Ale tego nie zrobiłeś i to jedyna wina, jaką ponosisz.

— A ty czujesz się rozczarowany, że nie widziałeś, jak go aresztują, co? — krzyknęła Penelope, wściekła z żalu i odrazy.

— Pozbawiono cię widoku kajdanek, rozgłosu, wstydu Simona? Nie dano ci zasmakować twojej paskudnej zemsty?

Hubert, przysłonił ręką oczy. Nie był przecież żadnym sadystą. Jego surowość wynikała z chłodnej kalkulacji, sztywnych zasad i bezwzględnego poszanowania dla prawa. Dlatego pogardliwe słowa córki głęboko go raniły, zwłaszcza teraz, w szoku po śmierci Simona. — Ten człowiek był mordercą — odparł tylko, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

— On był jak dziecko — szlochała Penelope na wspomnienie uroku i bystrości umysłu dawnego kochanka i jego fascynacji drobnymi przyjemnościami. Spojrzała na Johna, szukając u niego pociechy. — Jak biedne zagubione dziecko!

— Powinienem być od razu się połapać — szepnął John nad jej pochyloną głową i przytulił ją do siebie. — Ale zwykle wydawał się całkiem normalny.

Żal mu było zrozpaczonej Penny, ale w duchu wiedział, że śmierć Simona sprawi, że dziewczyna znajdzie prawdziwą miłość.

— Taka była wola Pana — odezwała się pani Allingham drżącym głosem. — Ten człowiek był wcieleniem diabła, czynił samo zło i dlatego tak skończył. Bo zło niszczy samo siebie.

— A ja na miejscu tego waszego Boga nazwałbym to bluźnierstwem! — rzucił oburzony John.

— Wszyscy próbujecie go oceniać — odezwała się Diana, z trudem cedząc



powoli słowa. — A w gruncie rzeczy usprawiedliwiacie samych siebie. Wszyscy oprócz mnie, a tylko ja tak naprawdę go kochałam. I ja też ponoszę za to winę, ale nie chcę się tłumaczyć. Po prostu go kochałam...

Zadzwoił telefon wewnętrzny. Inspektor Mont i lekarz psychiatra chcieli im coś oświadczyć.

Pani Stone, blada i roztrzęsiona, ale sumienna jak zawsze, przyprowadziła obu mężczyzn na górę i dyskretnie wyszła. Wtedy po raz pierwszy William zaczął zastanawiać się, co ta kobieta sądziła o Simonie i czego zdołała się domyślić, widząc, jaką rolę odgrywał w życiu wszystkich zebranych. Nigdy się tego nie dowie. Nawet Mont, wyprostowany, z grobową miną, sztywny i poważny jak w kościele, niczego by od niej nie wyciągnął — co od razu stało się jasne, gdy tylko inspektor się odezwał.

—Uznałem, że w zaistniałej sytuacji powinienem państwu w miarę możliwości przybliżyć... hm... osobę denata — zaczął.

Rozejrzał się po zebranych: stali w milczeniu bez ruchu. Kobieta na sofie, najbardziej wstrząśnięta z nich wszystkich, to pewnie żona doktora Allinghama, pomyślał, a ta starsza pani to jej matka albo teściowa.

—No więc w toku śledztwa w sprawie zabójstwa pani Morris wyszło na jaw parę rzeczy, które w moim uznaniu wskazywały pana Fawcetta jako winnego śmierci tej kobiety. Okazało się jednak, że winna była jego choroba psychiczna, jak potwierdził doktor Allingham w swojej diagnozie dziś po południu, kiedy Fawcett załamał się i dał dowód swego obłąkania...

Tu przerwał, patrząc na otaczające go twarze ludzi, którzy nie umieli go wesprzeć. Tacy nigdy by mu nie pomogli, pomyślał z goryczą: silni, pojętni, przywykli do indywidualnej myśli, tradycji panowania i niezachwianej pewności siebie. Widać było, że cierpią, ale przed obcymi, takimi jak on, umieli świetnie to maskować, schowam za doskonałą fasadą, której nie sposób przełamać.

—Pan Fawcett — ciągnął dalej spokojnie i wyraźnie — od osiemnastego roku życia cierpiał na schizofrenię. Jako chłopiec był nieśmiały i zamknięty w sobie. W wieku osiemnastu lat podczas pierwszego ataku zabił dwunastoletniego chłopca.

Te słowa wzbudziły w nich szok. W pokoju rozległy się kobiece jęki, stłumione okrzyki mężczyzn, bełkot pytań, głosy niedowierzania. Nareszcie zdołał do nich dotrzeć, choć na chwilę.

— Są na to niezbite dowody — oświadczył i wymienił je: — Po tym incydencie Fawcett, przez nikogo nie podejrzewany, chorował ciężko przez całe lata, a jego rodzice wbrew rozsądkowi utrzymywali to w tajemnicy, a w każdym razie robili wszystko, żeby prawda nie wyszła na jaw, choć ludzie z okolicy na pewno doskonale wiedzieli, co się święci. Jednak za bardzo szanowali i kochali jego ojca — pastora. Zdaniem doktora Allinghama taka choroba może złagodnieć na jakiś czas czy nawet do końca życia. Tak też było przez kilka lat w przypadku pana Fawcetta. Nie znam konkretnego motywu zabójstwa pani Morris, bo przy chorych umysłowo trudno jest mówić o motywach, a przynajmniej mogą się one wydać całkowicie niezrozumiałe ze zdrowo-rozsądkowego punktu widzenia.

Znowu przerwał. Trzydzieści funtów w portfelu Fawcetta mogło sugerować, że motywem był szantaż ze strony pani Morris, która za pieniądze miała oddać znaleziony czek, a ponieważ nie miała go przy sobie, Fawcett wpadł w szal. Ale na to też nie było żadnych dowodów i Mont dziękował losowi, że już nie musi ich szukać.

— W każdym razie — kontynuował — doktor Allingham twierdzi, że Fawcett sam przyznał się do zabójstwa, zaskoczony trafną diagnozą, i to w obecności innych podejrzanych...

— Był jeszcze niejaki Nelson... — zaczęła Diana chłodnym tonem i zaraz zamilkła, uznając wszelkie argumenty za puste i jałowe w obliczu śmierci Simona.

— A jednak ciężar dowodów wskazuje na Fawcetta, proszę pani — odparł uprzejmie Mont. — Mnie to wystarczy i mam nadzieję, że moim zwierzchnikom też.

— Rozumiem, że szykuje się jakieś dochodzenie — powiedział Hubert. — Które z tych faktów, które pan nam tu przytoczył, ujrzą światło dzienne?

— To zależy od koronera — odparł Mont. — Ta dawna sprawa zabójstwa została zamknięta. Już nie warto jej wspominać.

I bez tego mamy dość dowodów jego choroby. Skoro stwierdzono schizofrenię, to dalej pójdzie już gładko.

— A część z nas pewnie będzie musiała zeznawać? — dociekał Hubert.

— Zapewne tylko doktor Allingham. Chyba że koroner...

— To Jardine — rzucił Hubert do Williama. — Pogadam z nim. — Ten drugi skinął głową.

— Jest jeszcze jedna rzecz, która z pewnością państwa zainteresuje — dodał Mont, chcąc jak najszybciej zakończyć tę kłopotliwą rozmowę. — Z telefonu na parterze skontaktowałem się z niejakim George'em Clarkiem, kolegą zmarłego. Znali się bardzo dobrze i — z tego, co wiem — był jedynym serdecznym przyjacielem Simona Fawcetta. Oczywiście, pan Clark jest wstrząśnięty, ale od razu obiecał, że sam się wszystkim zajmie: zorganizuje pogrzeb, powiadomi uczelnię, odszuka krewnych, wygłosi mowę pożegnalną, i tak dalej. Mówię to dlatego, że musi wam być bardzo ciężko... zwłaszcza że do tragedii doszło właśnie tutaj, a poza tym wszyscy dobrze znaliście pana Fawcetta.

— Dziękuję panu — odezwał się William, przerywając ciszę.

I znów nastąpiło milczenie. Nie mieli nawet odwagi spojrzeć sobie w oczy. Każdy z osobna czuł się zdemaskowany przed całą resztą, obnażony w swoich słabościach i zbiorowym zaślepieniu. Gorzką karą, a zarazem ogromną ulgą był fakt, że Simon miał jednego oddanego przyjaciela, który nigdy go nie skrzywdził, a po jego tragicznej śmierci potraktował go jak pełnowartościowego człowieka i zobowiązał się zapewnić mu godny pochówek.

Penelope i pani Allingham szlochały głośno z żalu i wstydu. Diana zakryła twarz, przeszyta bólem tak głębokim, że nie dało się go wypłakać, a mężczyźni stali z grobowymi minami i patrzyli gdzieś na wprost, czekając, aż ta przykra chwila dobiegnie końca, ale żaden z nich jakoś nie potrafił jej przerwać.

— No, to ja już pójdę — rzucił inspektor Mont do Williama, wyraźnie zakłopotany, i skierował się do drzwi, szukając wzrokiem lekarza psychiatry z nadzieją, że ten wyjdzie za nim.

Jednak, w przeciwieństwie do Monta, lekarz doskonale rozumiał zamęt umy-

słów i życiową pustkę wszystkich zebranych. Już nie raz miał z tym do czynienia. Dobrze znał rozterki chorej psychiki i jej wpływ na tych, którzy mają z nią do czynienia. — Nie możecie się za to winić — powiedział otwarcie. — Pomyślcie tylko, jaki czekał go los, gdyby zabrano go do szpitala jako niepoczytalnego mordercę. Spędziłby resztę życia w zakładzie dla obłąkanych. Bo przecież sąd nie przymknąłby na to oczu, prawda? A zwłaszcza po tym, co zrobił przed laty. A to już podwójne morderstwo, sami rozumiecie. Dlatego dobrze się stało dla tego biedaka. Wiem, że z czasem się ze mną zgodzicie i każdy z was przestanie czuć się winny. Musicie mi wybaczyć, że zabrałem głos, ale — wierzcie mi — sporo już widziałem i oświadczam, że nikt z was tu nie zawinił. Zrobiliście, co w waszej mocy. Tego jestem pewien.

—Dziękujemy panu — dało się słyszeć w pokoju, tym razem nie tylko z ust Williama, ale i Penelope.

—Niech pana Bóg błogosławi — dodała pani Allingham.

Tylko Diana zastygła bez ruchu, wciąż zakrywając twarz dłońmi.

A kiedy William odprowadził obu mężczyzn i wrócił na górę, krzepiące słowa lekarza zaczęły docierać do każdego z nich. Kobiety otarły łzy i wodziły wzrokiem dookoła, a mężczyźni stanęli w grupce, czekając, aż William zaproponuje orzeźwiające drinki. *Zrobiliście, co w waszej mocy, tego jestem pewien* — podsumował lekarz. Oby koroner był tego samego zdania.

Dopiero wtedy nastał spokój, który z wolna ukoił ich udęczone sumienia.